NA CHLEBIE ŻONY.

NA CHLEBIE ŻONY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

JANA ZACHARJASIEWICZA

WARSZAWA,

NAKŁADEM KSIĘGARNI B. CASSIUSA.
(dawniej Merzbacha Miodowa Nr. 40).

1876.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 (25) Января 1876 года.

w Drukarni J. Noskowskiego Ulica Mazowiecka Nr. 11.

I.

Pachołek miejski, Jacek Berdysz, pracujący przy wydziale oświaty w magistracie miasta powiatowego, stał już od godziny na krużganku wieży ratuszowej, i jak derwisz prawowity patrzał nieruchomym wzrokiem w zachmurzone niebo.

Służba Jacka nie była tak łatwą, jakby się komu na pozór wydawało. Powierzono mu dzwonek, który dawał sygnał do zapalania lamp latarnikom miejskim. Tym sposobem oddano mu oświatę miasta powiatowego, którą miał zarządzać podług najlepszego swego rozumienia rzeczy.

A była to sprawa nielada. Jacek miał pod swoją komendą czterdzieści siedm latarń, z których stosownie do ciemności miejskich pewna liczba wieczorem czynną być miała. A ponieważ sławetny magistrat nie miał żadnego urzędowego noco-metru, podług którego stopień ciemności nocnych mógłby być należycie wymierzony, zdał więc całą sprawę na odpowiedzialność Jacka, którego duże, wypukłe oczy były w tym względzie dostateczną rękojmią.

Dzięki temu przyrodzonemu przyrządowi organizmu ludzkiego, który nawet u Jacka był w daleko lepszym stanie niżeli u samego burmistrza, wywiązywał się pachołek

miejski dosyć dobrze z trudnego swego zadania. Z wysokości krużganku ratuszowego dawał dzwonkiem trzem miejskim latarnikom stosowne sygnały, wiele na dzisiejszy wieczór latarń zapalić. W miarę współdziałania gwiazd i księżyca kazał światło sztuczne moderować lub pomnażać, stosownie do cyrkulacyi ludności miejskiej. W dzień sobotni oświecano jaśniej dzielnicę żydowską, a w niedzielę chrześciańską.

Najtrudniejsza była sprawa z kalendarzem. Gdy księżyc był w pełni, liwerant światła nie chciał dawać materyału palnego, a Jacek musiał sobie sam radzić jak tylko mógł. Wytoczył nawet tę sprawę przed radę miasta, ale sekcya oświaty publicznej przedłożyła radzie kontrakt zawarty przez tę samą autonomiczną władzę państwa z liwerantem oleju—i Jacek przegrał sprawę.

Nie zniechęciło to bynajmniej Jacka do zajmowanego stanowiska. Czytał on nieraz w dziennikach krajowych, że i rada państwa tej lub owej kwoty pieniędzy ministrowi odmówi, a przecież minister pomaga sobie jakoś i bez tych pieniędzy!

Jacek po tej przegranej postanowił pomagać sobie oszczędnościami w innych rubrykach, *recte* ulicach miejskich. Jakoż przy tej czysto parlamentarnej manipulacyi miał Jacek zawsze pewny zapasik oleju, którym mógł miasto podczas pełni księżyca oświecić, gdy na niebie chmury były.

Złośliwi ludzie podejrzywali Jacka, że podobną manipulacyą kradnie miastu olej publiczny, ale Jacek protestował przeciw temu energicznie a nawet samego burmistrza na świadka wzywał, że publicznego powierzonego mu oleju u żadnego mieszkańca miasta ani nawet za grosz nikt nie znajdzie!...

Może zgorszą się niektórzy, że miasto powiatowe ole-

jem oświecano. Przyczyna tego bardzo prosta. Miasto nie miało fabryki gazu, a nafta za drogo wypadała. Jakkolwiek do Borysławia, owej Kalifornii naftowej galicyjskiej, zaledwie kilkanaście mil było, przewóz jednak nafty koleją tyle wynosił, że szlachetny ten materyał był dla miasta wprost niemożliwym. Aptekarz nawet miejski obliczył, że transport beczki nafty z Ameryki do Europy taniej kosztuje, niżeli koleją Karola Ludwika z Przemyśla do Krakowa!...

Złośliwe języki przedstawiały tę rzecz inaczej. Zięć sławetnego burmistrza miał olejarnię, świetna więc rada miejska idąc w pomoc przemysłowi miejskiemu, uchwaliła oświetlenie miasta olejem.

Cóż temu był winien pachołek Jacek? Gdyby to od niego zależało, byłby gazem oświecił rodzinne miasto swoje! Nieraz nawet marzył o tem. Gdy był smutny, to spowiadał się z tych marzeń przed swoim przyjacielem Onufrym Obibokiem, woźnym przy sądzie powiatowym.

— Bo to widzicie, mawiał do niego w ekstazie szczęścia, coby to była za wygoda, gdyby to człowiek wyszedł na ganek, pokręcił korbą raz—pali się pięć latarń... pokręci drugi raz—pali się dziesięć... i t. d. A tu z tymi urwisami ile zgryzoty! Ja dzwonię, i dzwonię, a ten szelma w szynku u Icka wódkę pije!... Szczęście, że wynalazłem na to wszystko osobne sygnały!...

I tak sławetny Jacek pomagał sobie jak mógł, to sygnałem, to kułakiem, dosyć, że w wydziale oświaty prócz małych nieporozumień, był zawsze porządek wzorowy.

Kiedy więc dzisiaj Jacek na krużganek wieży wyszedł (a była to właśnie pełnia), ujrzał z wielką boleścią całe niebo chmurami zakryte, a o księżycu ani słychu!

Długo, długo wodził do koła wypukłemi oczyma, wezwał kilka razy pomocy swego patrona, a gdy ta nie nad-

chodziła, wyszepnął wstydliwie nazwisko czarta—kusiciela, ale wszystko nie pomagało! Niebo było czarne od wschodu do zachodu, a zmrok wieczorny już na dobre zapadał.

— Jeszcze z tem weselem djabli do miasta przyjechali! —zawołał smutno do swego kolegi, który pracował w wydziale poprawy przymusowej.

— Z jakiem weselem?—zapytał kolega.

— Przecież u fary dzisiaj ślub panny ze Złotej Wiszni!

— Aha! Co to ją nazywają panną Karolą!... Ładna panna, dobra i miłosierna! Niech jej Pan Bóg da jak najlepiej!

— Bóg tak daje człowiekowi jak sobie na to zasłużył! Co tu pomogą życzenia!... Ot trzeba będzie całą ulicę do kościoła oświecić, a tu oleju ani kapki!

— Może księżyc zaświeci!

— Et—spuść się na niego! Ręczę wam, że i tam szczędzą teraz światła! Dawniej było to przecież inaczej. Pamiętam, gdym był małym chłopcem i konie w nocy pasywał—cóż to za noce były! Jasne, pogodne, czyste! Gwiazdy skrzyły się jak brylanty, księżyc świecił się jak lampa przed wielkim ołtarzem, nikt nie żałował światła. A dzisiaj pożal się Boże! Przyjdzie wieczór, na niebo nasuną szare płótno i basta. I ludzie słyszą jakby głos macochy: Idźcie spać dzieci, nie ma światła!

— Powinni dać więcej oleju!

— Więcej oleju? A zkąd wezmą tego oleju? Czy prześwietna rada miasta ma olej, czy burmistrz ma olej, czy świetny magistrat? I gdzież tu oleju szukać!... Ot, gdyby człowiek nie miał przemysłu i żydowskim ulicom oleju nie skąpił, toby w całem chrześciańistwie naszem taka była ciemnota, jak w Egipcie za czasów króla Faraona!

Kolega z wydziału poprawy przymusowej zadumał się głęboko nad skargą Jacka.

— Wy mówicie o oleju, ozwał się po chwili—a ja wam powiadam, że jestem w większym jeszcze kłopocie. Olej jak olej! Już to w naszem mieście jeszcze za czasów dawnego burmistrza brakowało zawsze oleju, ale jednej rzeczy nie brakowało, to jest—kija. Był kij mościpanie i to kij nielada! A dzisiaj powiadają: zamiast kija jest—słowo!

— Ha, ha, ha! Słowo!

— Tak... słowo jest, powiadają—i to słowo ma dawny kij zastąpić! Gdy złapią złoczyńcę, to zamiast obić go porządnie, jak dawniej bywało—przemawiają do niego słodko, jak ksiądz na kazaniu. I to ma go poprawić! Taki dom poprawy to djabła wart! A poprawa przymusowa! Co to jest zmusić kogo do roboty w kaźni! Czy on robić będzie, gdy z kaźni wyjdzie?... kija, kija mospanie!

— Oto patrzcie!... Zakrystyan z fary już się pospieszył!

— Prawda!... Otworzył drzwi główne!

— A wewnątrz kościoła aż się ćmi od świateł!

— Ślicznie to wygląda! Bogdaj to być bogatym! Nie tylko ślub brać, ale nawet i umrzeć miło! Bo to człowieka ze wszystkich stron wykadzą, dobrze pokropią święconą wodą i przy jarzących świecach na cmentarz zawiozą!... A biednemu człowiekowi to zaledwie coś z książki ksiądz przeczyta, gdy do ślubu klęka, a gdyby potem dobrze nie upił się biedaczysko, toby nawet nie wiedział że się ożenił!... O pogrzebie już nic nie mówię, bo tego tam człowiek nie widzi i nie czuje!

— No—trzeba zadzwonić... bo już karety się zjeżdżają!... A dałbym za to gardło, że ten przeklęty Walek pije wódkę u Lejby pod słoniem!

I któżby się był spodziewał, że w tej chwili w ręku Jacka Berdysza, pachołka miejskiego, było życie człowie-

ka czyli kobiety, stosownie do silniejszych nerwów jednego lub drugiej.

Na ulicach miasta było już dobrze ciemno. Spieszący do domów mieszkańcy wymijali się jakoś szczęśliwie, a chociaż kiedy niekiedy nastąpiło boleśniejsze nad zwykłego szturchańca spotkanie, nie było ono znowu takiej doniosłości, aby groziło kalectwem lub śmiercią.

Inaczej jednak rzecz się miała na drodze, którą fury, bryczki i powozy przejeżdżały. Tam było dosyć niebezpiecznie. Szczęśliwie, jeżeli skończyło się na zawadzeniu koła, oberwaniu orczyka lub rzemienia z zaprzęgu.

Otóż właśnie w tej chwili groziło większe nieszczęście. Jakiś lekki faetonik nadjechał ulicą od północy, a od południa w tym samym czasie wysunęła się lotna amerykanka i z szybkością błyskawicy mknęła naprzód.

W środku ulicy nastąpić miało śmiertelne spotkanie....

Już kare rumaki podniosły przednie nogi do góry, aby uderzyć na ciemny toczący się ku nim przedmiot, już ogniste gniadosze z przeciwnej strony rozwarły nozdrze i białawą parą dmuchnęły na ślepych przeciwników — gdy na krużganku wieży ratuszowej ozwał się dzwonek, a latarnik Walek mimo znanego nałogu swego, lotem błyskawicy zaświecił latarnię tuż pod bokiem dwóch, jakby na rzymskiej arenie walczących z sobą powozów.

Właściciel amerykanki obaczył pierwszy niebezpieczeństwo i szybko ściągnął rękę furmana. Spienione konie skoczyły w bok i skończyło się tylko na porwaniu szorów przeciwnej strony.

Sprawca tego nieszczęścia poskoczył szybko na ratunek. Był to mężczyzna średniego wieku, twarzy grubej, trochę już pomarszczonej. Z pod krzaczystych brwi patrzyło ciemno oko dosyć bystro a nawet z pewną energią.

Wązkie zaciśnięte usta oznaczały silną wolę, a dwa zmarszczki na czole dodawały jej jeszcze więcej siły. Wzrost niski i dobrze wszędzie wypełniony, okazywał człowieka chodzącego z uwagą, ale oraz też i z pewnością po ziemi.

Gdy do faetonika się zbliżył, ujrzał tam siedzącą kobietę, z twarzą grubą woalką zakrytą.

Gdy kobieta sprawcę nieszczęścia przed sobą ujrzała, podniosła woalkę do góry, a światło zapalonej latarni i zapalające się w tej chwili oczy mężczyzny, spoczęły chwil kilka na tej demonicznie ładnej twarzy.

Trudno powiedzieć, czy mężczyzna rzeczywiście dobrze tę twarz widział i nią się zachwycił, czy tylko słabe światło oleju rzepakowego pomogło mu do rozbudzenia jego wyobraźni.

Zdawało mu się, że tak pięknej kobiety jeszcze nie widział! Wprawdzie mógł na to wiele wpłynąć przestrach, który zazwyczaj nerwy rozdrażnia, mógł olej rzepakowy nie najlepiej z części organicznych oczyszczony także do tego się przyłączyć, że zarysy twarzy kobiecej wypadły w jak najlepszej harmonii, ale wrażenie pozostało już wrażeniem i jako takie dopominało się miejsca w ustroju nerwowym siatki mózgowej.

— Nie wiem doprawdy—ozwał się zakłopotany mężczyzna—czy mam złorzeczyć tej chwili, w której tyle szkody i nieprzyjemności wyrządziłem pani—czy...

— Wątpię—przerwała sympatycznym głosem nieznajoma—wątpię, aby podobnej chwili można kiedykolwiek błogosławić!... Wszak to pan chciałeś powiedzieć?

Nieznajoma wysunęła teraz z czarnej mufki miniaturowych rozmiarów rączkę, która w czarnej rękawiczce jeszcze mniejszą się wydawała... za rączką zamigotała wiotka, batystowa chustka.

Mężczyzna spojrzał na rączkę. Woń najmodniejszej perfumy rozeszła się w powietrzu.

— Odgadłaś pani myśl moją, odpowiedział — a obawiam się, abyś pani w tej chwili i marzeń moich nie odgadła!

Nieznajoma wionęła batystową chustką kilka razy przed siebie i rozśmiała się.

— Naprawdę!—zawołała żartobliwie—nie spodziewałam się na ulicy naszego miasteczka spotkać tak skończonego Don Juana, który nietylko potargał mi uprząż angielską, ale nawet i sercu memu zbyt obcesowo zagraża! Na nasze miasteczko to za wiele!

— Więc pani jesteś mieszkanką tego miasteczka?

— Nie—tu jest tylko mój kościół parafialny! A zresztą nie widzę potrzeby odpowiadać nieznajomemu, który zamiast przepraszać mnie za wyrządzoną szkodę, odgrywa rolę śledczego sędziego!

— Niech pani sama wyda wyrok na mnie!

— Dobrze. Najprzód zaprosisz mnie pan na swój wózek i odwieziesz do fary, gdzie właśnie chcę być na ślubie! Służba tymczasem ponaprawia co się popsuło.

— Chcesz pani być na ślubie? z zadziwieniem zapytał się nieznajomy—w takim razie mam nadzieję, że pani poznasz mnie z innej strony niżeli z tej, z jakiej dzisiaj tak fatalnie się przedstawiłem!

— Bardzo żałuję, że to się stać nie może!

— Jeżeli się nie mylę, będziemy dzisiaj razem w towarzystwie...

— Z czego pan to wnosisz?

— Jestem.... drużbą pana młodego!

— Pan jesteś.... drużbą pana Zygmunta?

— Tak.... drużbą Zygmunta—a sam nazywam się jak bohater rzymski—Maryusz!

Nieznajoma westchnęła.

— Szkoda—rzekła po chwili—że do konterfektu pańskiego bohatera potrzeba koniecznie tła z ruin i gruzów!

— Ruiny i gruzy.... to przecież widok romantyczny!

— Byle nie były wspomnieniem naszego własnego życia!—dodała nieznajoma i po raz drugi westchnęła.

Nieznajomy byłby jeszcze dłużej z piękną nieznajomą w sposob tak romantyczny rozmawiał, gdyby wieża ratuszowa nie wybiła w tej chwili godziny, która mu przypomniała, że czas ostateczny, aby przy panu młodym z bukietem już stanąć.

Z romantycznej krainy zwrócił rozmowę wprost do rze czywistości.

— Nigdy mi obowiązki drużby,—rzekł spiesznie—nie były tak dokuczliwemi jak teraz. Muszę się spieszyć—proszę podać mi rękę!

Nieznajoma podniosła się przed nim jak senne widmo. Wiotka, wysmukła postać zarysowała się przed oczyma nieszczęśliwego drużby z takim urokiem, że na chwilę przytomności go pozbawiła.

— Czemuż nie podajesz mi pan ręki?—rzekła do niego z pochyloną naprzód piersią a głos jej metaliczny brzmiał tak dziwnie, tak rozkosznie!... Jakże to u mężczyzn zawsze od słów do czynów daleko! Nie mówię już nic o spojrzeniach!

Nieznajoma jeszcze więcej nachyliła się....

Była teraz cudownie piękną. Żaden artysta nie mógłby dla niej wymyślić lepszej, wdzięczniejszej pozy. Mimo słabego światła latarni uwidamiały się w tej pozie wszystkie wdzięki nieznajomej kobiety.

Zakłopotany drużba podał jej wreszcie rękę. Lekko ścisnęła tę rękę, drugą oparła się o ramię i jak sylfida skoczyła na ziemię.

Za chwilę byli już oboje przed kościołem.

— Myślałem, że pani będziesz dzisiaj gościem weselnym! smutno rzekł nieszczęśliwy Maryusz, jakby już naprzód widział ruinę i gruzy—swoich marzeń!

Nieznajoma zamiast odpowiedzi podniosła obie rączki swoje nbrane w czarne rękawiczki i rzekła z westchnieniem:

— To przecież nie jest strój weselny!

— Ale też i nie żałoba! szybko dodał zaniepokojony drużba i z uwagą spojrzał na nią.

— *Chi lo sa!*—odpowiedziała z melancholijnym uśmiechem i szybko wybiegła na schody prowadzące do kościoła.

Nieszczęśliwy Maryusz byłby chętnie pobiegł za nią, bo coś go za tą dziwną kobietą ciągnęło, ale nie miał już ani chwili czasu do stracenia. Niektórzy z ciekawych spektatorów już się zaczęli zgromadzać, a on miał jeszcze ćwierć mili drogi przed sobą do dworu, zkąd miał wyruszyć orszak ślubny.

Spojrzał więc tylko do wnętrza jasno oświeconego kościoła, aby tam nieznajomą jeszcze raz obaczyć.

I obaczył ją szczęśliwie za pierwszym rzutem oka. Przed bocznym ołtarzem rzuciła się na kolana... głowę podniosła do góry, a wezbrana pierś okazywała, że w tej piersi wznosi się w tej chwili do tronu Boga jakaś ważna prośba.....

Cóż może zawierać ta prośba?...

Nieszczęśliwy drużba musiał oderwać się od tego pięknego obrazu...

Za chwilę toczyła się amerykanka do Złotej-Wiszni.

II.

W Złotej Wiszni byli już wszyscy zaniepokojeni, że drużby tak długo widać nie było. Wszyscy już byli gotowi, a nawet stary Onufry po herkulesowej pracy zdjął już z kołka nową liberyę i w nią z należytą powagą się ubrał. Zagubienie się drużby uważał za zły znak dla panny młodej, u rodziców której służył już z okładem lat pięćdziesiąt. Mimo liberyi i guzików herbowych nie był to już prosty sługa. Należał prawie do rodziny, był z jej losami splątany, a nawet w ostatnich smutnych wypadkach zasłużył sobie na wdzięczność całego domu.

Wszystkie ważniejsze uroczystości domu były także dla niego prawdziwemi uroczystościami. Nie liczył on w takim razie, jak to czyni dzisiejsza służba, na hojne datki odjeżdżających gości, nawet od tego rad się uchylał, kontentując się poczciwem słowem, a często nawet podaniem ręki.

Na takiem stanowisku poczuwał się stary Onufry często gęsto do wyjawienia swego zdania bez ogródki, jeżeli to zdanie miało dobro domu na względzie. Sługi zwyczajne traktował z góry jakby był ich panem, a z mieszkańcami dworu stawał na równi prawie. Wszyscy przywykli do

starego i chętnie zostawiali mu stanowisko, które sam zajął z najspokojniejszem sumieniem.

— Bo to widzisz panna Agata—rzekł wróciwszy z ganku do panny służącej — rzeczy takie to niedobrze wróżą! Pamiętam, gdy nieboszczyk pan miał się żenić a druchna panny młodej w domu została, bo przy ubieraniu szpilkę połknęła... to ja zaraz powiedziałem...

— Przecież nic złego się nie stało! — odpowiedziała panna Agata, która ze starym lubiła się droczyć.

— Nic się nie stało!... To Bogu podziękować, że nic się nie stało! Bo też nieboszczyk pan nie czekał, aż się coś stać miało! Zaraz po ślubie zrobił legat dla klasztoru O. O. Bernardynów, na mocy którego wielebni ojcowie musieli co sobota odśpiewać w kościele in gremio pieśń do Bogarodzicy: O Marya! Gwiazdo morska..... Wszak znasz panna tę pieśń, którą czasem wygrywam na klarynecie gdy mi smutno, lub jakie złe przeczucie w duszy nurtuje!

— I Bóg uchronił!

— Tak, Bóg uchronił! Inaczej byłoby się stało coś strasznego!

— Cóżby się stać mogło?

— Tylko Bogu wiadomo, który wydaje i cofa wyroki swoje w miarę zachowania się grzesznych ludzi!

— Więc myślicie, że i dzisiaj....

— Tak, i dzisiejsza zaguba drużby może coś strasznego oznaczać. Kto wie co się z nim stało. Przecież miał na południe stanąć a tu już dobry wieczór!

— Cóż mogło się stać?

— Co? Albo ja wiem! Mógł go zły duch omamić i w obłęd wprowadzić. Bo to widzisz panno Agato, zły duch najbardziej czycha na człowieka przy najważniejszych sprawach żywota!

— Zawsze o złych duchach mówicie, a przecież nikt go nie widział!

Onufry uśmiechnął się z politowaniem.

— Przecież już nieraz pannie Agacie mówiłem....

W tej chwili odwołano starego do jakiegoś obowiązku, a panna Agata straciła jednę z tych powieści o złych duchach, które nadzwyczaj lubiła.

Tymczasem zamiast powieści o złych duchach, miała panna Agata istne przedstawienie magiczne.

Bohaterem na tem polu był miejscowy ogrodnik, który na ten dzień, czy raczej wieczór uroczysty, wymyślił nowy system planetarny i według niego cały dwór wraz z ogrodem oświecił.

Głównem zbiorowiskiem światła była brama wjazdowa. Na niej, w gotyckich ostrych łukach pozawieszał barwne kagańce, a dalsze planety poumieszczał na okolicznych topolach, które nietylko cały dwór dostatecznie oświecały, ale nawet i część angielskiego ogrodu z wstydliwych zacieni na jaw wydobywały.

Przy tem magicznem oświeceniu wyglądał dwór Złotej Wiszni bardzo wspaniale. Już z samych zarysów można było poznać znaczne dostatki tej fortuny, a co więcej, dobre gospodarstwo. Nie było tam wprawdzie owych modnych wymysłów pańskich, owych na efekt wyrachowanych dekoracyj, które najwięcej jednemu pokoleniu służą, ale była robota na przyszłość, mająca na względzie liczne pokolenia.

Sam dwór, oświecony od frontu w tej chwili, był to budynek prosty, podłużny. Zdaje się, że mieszkańcom tego dworu chodziło więcej o wygodę wewnętrznych komnat, niżeli o zewnętrzne linie architektoniczne. Nie było więc nigdzie ślepych okien, ani owych okienek, któreby tylko bezużyteczną przestrzeń oświecały. Mimo to całość budynku

nie raziła oka, a nawet lekka fasada frontu dosyć przyjemnie odbijała się na ciemnem tle nieba.

Po obu stronach głównego budynku stały dwie oficyny starannie utrzymane. Były one późniejszej fundacyi, jak to świadczy dobrze jeszcze zachowana cegła czerwona, spajana cementem. Zdaje się, że jedna oficyna była przeznaczona dla krewnych i gości, a w drugiej mieszkał rządca, jak to z napisu nad drzwiami wyczytać można było. Na boku okryta akacyami majaczyła kuchnia, od której prowadziły kładki z desek aż do samego dworu, aby w czasie błota i niepogody umożebnić gospodyni domu kontrolę kucharza i innej kuchennej czeladzi.

Po nad dachy tych budynków, rysowały się na nocnem niebie gałęzie wysokich drzew tworzących ogród angielski, a przez szczelinę pomiędzy zachodnią ścianą dworu a lewą oficyną, widać było błyszczące zwierciadło stawu, którego brzegi gubiły się w dalekiej szarej perspektywie.

Widok ten sprawiał wrażenie dostatecznej fortuny, znajdującej się w bardzo dobrym stanie. Nigdzie nie było widać ruiny. Ściany jaśniały jednostajnym kolorytem, dachy nie miały żadnych zboczeń od właściwych im linij, a nawet na drzewach nie było widać owych półnagich gałęzi, które chylące się do upadku życie tak smutno zapowiadają!

Wszędzie widać było skrzętną, czuwającą, gospodarną rękę, która tą fortuną zawiadywała. Nawet w drobnych rzeczach był ład i system, jak to widać z sinej bluzy stróża niosącego drzewo do kuchni.

Stróż w sinej bluzie rzemiennym paskiem przepasanej, miał na twarzy pewien spokój i zadowolenie, jakiego trudno gdzieindziej na podobnym stopniu hierarchii społecznej szukać. Najczęściej jest to postać smutna, rozczuchrana, z wyrazem pewnej rozpaczy. Patrząc na takiego człowieka, zdawałoby się, że ten człowiek wszystkiego w świecie pró-

bował, a gdy mu się nigdzie nie szczęściło, przyjął z rozpaczy służbę za stróża.

Stróż w sinej bluzie nie sprawiał wcale takiego wrażenia. Na jego rumianej i wesołej twarzy widać, że stopień służby swojej uważa nawet za pewne podwyższenie się w hierarchii społecznej.

Rzuciwszy z fantazyą pęk drzewa przed progiem kuchni, wyprostował się wygodnie i uśmiechnął się wesoło do stojącego przed kuchnią stangreta, który przed chwilą jaśnie panią Otylię Zabierzynę na dzisiejszy festyn przywiózł, a teraz z batogiem w ręku spokojnie fajeczkę sobie zapalał.

— Cóż tam Jędrzeju?—rzekł stróż do starego znajomego.

— A cóż u nas być może?—odparł Jędrzej przyciskając niesforny tytuń palcem—cóż u nas może być nowego? To u was nowiny, aż ludziom języki trzeszczą!

— Co nowiny, to prawda! — odparł stróż prostując krzyże.

— I jakże to się tak nagle stało?

— A tak... teraz wszystko robi się prędko!

— Przecież dawniej, gdy kawaler o pannę się starał, to służba wiedziała o każdym kroku, który młodą parkę zbliżał do siebie! Czy nieprawda?

— Tak powiada stary Onufry!

— I powiada słusznie. Bo to widzicie Marcinie, gdy dawniej była w jakim dworze panna na wydaniu, to służba cisnęła się do tego dworu i chciała służyć za bezcen! Kawaler bowiem starający się o pannę hojnie opłacał służbę raz dla tego, że ta służba często była w konkurach bardzo potrzebną, a drugi raz, że z hojności datków konkurenta wnoszono o dostatkach jego fortuny i łatwej do wydatków ręki.

— Stary Onufry powiada, że dawniej cały los konkurenta był w rękach dworskiej służby!

— Święta prawda! Osobliwie służba kobieca mogła pannie szepnąć to i owo, a od tego co szepnęła zawisło nie raz wszystko!

— Dzisiaj to jakoś inaczej robią!

— Prawda, a służba nawet nic nie wie, co się świeci. Dawniej jak konkurent jakie lepsze słówko od panny usłyszał, lub spojrzenie uchwycił, to służba jego radość czuła na swojej ręce.... dzisiaj czy ludzie są zimniejsi, czy konkury za nich odbywa adwokat, trudno odgadnąć!... A jakże wasz kawaler?

— Nasz pan młody.... ot jak każdy inny!

— Czy sypnął groszem przy zaręczynach?

— Gdzie tam! A zresztą jak to mówią—z próżnego i Salomon nie naleje!

— To z niego towar próżny?

— I jak jeszcze! Dwa kuferki świecącemi goździkami wybite i jedna torba, to wszystko co do nas przynosi!

— Jakto? A wsi nie ma?

— Nie ma!

— A z czego bierze go panna?

— Z podobania!

Stary Jędrzej zadumał się nad tą rewelacyą stróża w sinej bluzie.

— Ha,—odkrząknął po chwili—panna bogata, to może sobie pozwolić!

— Co bogata to bogata! Suknię ślubną to aż z za granicy sprowadzili, a wiozłem za nią huk pieniędzy na pocztę!

— Wolna pańska fantazya, gdy jest grosz w kabzie!

Tak stangret Jędrzej jak i stróż Marcin nie mieli jeszcze żadnych pretensyj do pańskich dostatków i dla tego

zakończyli tę sprawę, że każdemu wolno swoim groszem rozporządzać, jak mu się podoba.

Tą sentencyą, której, a nawet czasem słusznie, sprzeciwiają się teorye dzisiejsze, zakończono rozmowę przed progiem kuchni.

Nie tak jednak łatwo można było ubić te sprawę społeczną w samej kuchni.

Stary Bartosz w białym birecie na głowie był dzisiaj w niezwykłym humorze. Zdaje się, że przestraszony ogromem dzisiejszych czynności swoich, chciał sobie dodać odwagi sporym kieliszkiem kminkówki. A skutek tego kordyału był zadziwiający. Nietylko bowiem torty i bliny udały się wybornie, ale nawet i pieczywom nic nie brakowało po stosownem zaaplikowaniu kilku szturchańców kuchcikom, którzy staremu Bartoszowi wydawali się dzisiaj zbyt leniwi.

A gdy już ani pieczywom, ani rumieniącej się zacierzynie, ani nawet szparko krzątającym się kuchcikom nic zarzucić nie było można, przeniósł stary Bartosz cały ferwor spotęgowanego swego humoru na pole zasad społecznych, do których zaprowadziła go dzisiejsza sprawa domowa.

Przed Bartoszem stał sążnisty lokaj jaśnie pana szambelana, bez którego żadne wesele w powiecie obyć się nie mogło.

— Zapewnie państwo młodzi wyjadą po ślubie do Paryża, mówił powiernik i towarzysz szambelana.

— Do Paryża mówicie!—krzyknął stary Bartosz i biały biret na bakier posunął—a dobrze, dla czegóż nie, można będzie i do Paryża pojechać, jeżeli pieniądze będą!

— A potem zapewne państwo młodzi pojadą do dóbr pana młodego!

— Do jakich dóbr? chyba na księżycu!

— Jakto? To pan młody nie ma dóbr swoich?

— Przynajmniej nic o tem nie wiemy, ani ja, ani Onufry, dla którego w całym dworze nie ma sekretu!

— Więc on nic nie ma!

— Ani jednej grzędy!

— I z czemże się żeni?

— Chłopiec ładny, ma piękne wąsy i trzy ciotki, które bardzo biegle mówią po francuzku.... ale żadna z nich nie dała służbie ani grosza!

— I pan młody nic nie dawał? Przecież w takim razie jest we zwyczaju....

— Goły jak święty turecki!

— No—to nie szczególna partya!

— Ja nie wiem, co pannę Karolę opętało! Jak raz go obaczyła, tak nie dała sobie ani słowa powiedzieć, a starego Onufrego to nawet ofuknęła dosyć obcesowo, gdy ją reflektował!

— Fantazya pańska!

— Fantazya fantazyą—ale gdzie o los dziecka chodzi, tam nawet i matka powinna ostro się postawić.

— Czy matka na to się zgodziła?

— Zrazu nie chciała matka ani słyszyć o tem. Panna Karola płakała po całych dniach i nocach, a matka była nieubłagana. Ale gdy przyjechały trzy ciocie mówiące po francuzku, to jakoś tak matkę przekonały, że nietylko pozwoliła pannie Karoli zaręczyć się z panem Zygmuntem, ale nawet pana Zygmunta tak teraz pokochała, że bez niego żyć nie może!

— Omamił babę czy co?

— A może też i omamił! Są różne zioła i czary,... albo ja tam wiem czy co? A zresztą co mi tam do tego! Mówię tylko, że to niedobrze. Żadnego gospodarza nie znałem na wsi, któremuby taki fartuszkowy majątek żony

na dobre wyszedł! Prawie każdy uciekał potem od żony i takiego majątku w świat za oczy!

— U panów tak tam nie jest!... Są rzeczy, których człowiek prosty nie zniesie, a u państwa to jakoś się znosi i mina jest dobra! Od czegóż bowiem nauka i edukacya, która tyle kosztuje!

— Tak, ale czasem nauka i edukacya nie pomoże! To słowo „moje, twoje“, znaczy wszędzie jedno i to samo, tak u chłopa w chacie jak i w pałacu u księcia!

Powiernik szambelana zamyślił się nad temi słowami, jakby ze swoich wspomnień, wspólnych z szambelanem, coś wydobywał w tej chwili....

Inaczej na ten akt dzisiejszy zapatrywano się w komnatach fraucymeru dworskiego.

Przewodniczyła tam panna Agata, licząca trzydzieści kilka wiosen. Wkoło niej krzątały się dwie młode dziewczynki, z których jedna była szwaczką a druga praczką. Sędziwa szafarka stała w odwodzie.

Najzaczepniejszą była Jagusia, siedmnastoletnia mistrzyni igły i naparstka. W sprawach serca stała wraz z równoczesnem całem pokoleniem swojem na gruncie ściśle realnym.

— Doprawdy, — mówiła z pewnym uporem — jeszcze dotąd nie wiem, dla czego panna Karola idzie za pana Zygmunta!

— Przecież ma tak ładne wąsy! — odrzekła praczka Salusia z pewnym ironicznym uśmiechem!

— Co mi tam z ładnych wąsów! — mówiła pierwsza, lepiej żeby miał kilka wiosek! Cóż to, czy panna Karola nie mogła sobie wybrać takiego, któryby przynajmniej tak był bogaty jak ona! Od przybytku głowa nie boli!

— Ba! Ale pan Zygmunt tak ładnie tańczy, gra i śpiewa! droczyła się z Jagusią ośmnastoletnia praczka, ale wy-

raz jej twarzy i głosu okazywał jasno, że z rówieśnicą swoją zgadza się zupełnie.

Obrona idealizmu spoczęła tylko na starszych barkach panny Agaty, bo szafarka zajmowała dotąd stanowisko neutralne.

— Wstydźcie się!—krzyknęła stara panna, tak młode jesteście a mówicie jak stare baby! Nie dziwiłabym się, gdyby nieprzymierzając pani Weronika to mówiła, ale wy, takie młode, wy dziewczęta o wiśnianych buziakach!...

— Gdyby panna Agata,—ozwała się Jagusia, tak samo jak my myślała dawniej, toby nie nosiła pod brodą tej nieśmiertelnej żółtej chustki!. .

To namacalne przypomnienie staropanieństwa podrażniło pannę Agatę. Wzięła się z dumą pod boki, podniosła głowę do góry i rzekła przez ramię:

— Ręczę wam, że nie miałabym dzisiaj żółtej chustki pod brodą, gdybym tak myślała jak wy dzisiaj. Mogłabym się była sprzedać i to dobrze sprzedać! Św. pamięci Hektor Łapski, rządca księcia Władysława, cztery konie zajeździł konkurując o mnie... ale że to był człowiek już niemłody ale bogaty, to nie chciałam ściągnąć przed światem podejrzenia na siebie, że się poprostu tylko sprzedaję za pieniądze... chociaż w rzeczywistości miałam feblik do niego... Odrzuciłam ofertę!

— Nie widać w tem wielkiego rozumu! odrzekła Jagusia i nosek do góry podniosła.

— Jabym była z pocałowaniem ręki poszła za niego! dodała Salusia patrząc na ręce swoje narobione.

— O wierzę, wierzę, mówiła rozgniewana Agata, wierzę, żebyście się były przeszły!.. Ale kto ma edukacyę, kto wie że do szczęścia nie tylko pieniędzy potrzeba... kto to rozumie, że kobieta musi gorąco kochać tego, z kim przez całe życie ma pozostać... że serca nie można zmusić do milcze-

nia, choćby zrazu można je czemś odurzyć... kto to wszystko wie, ten nie będzie tak mówił, jak wy mówicie w tej chwili!

Obie realne istotki spojrzały z uśmiechem na siebie.

— Już tam wolę, ozwała się Jagusia, że mam to co widzę. Jeżeli ja wiem, że będę miała suknią ładną, dobry obiad, kawę dwa razy na dzień i bryczkę na odpust do miasta, to resztę innym daruję na wieczne czasy!

— Herezya mówi z ciebie! Widać, żeś była u pani Agapity, która szesnastoletnią córkę wypchała za tego jegomościa z czerwonym nosem w peruce, który miał dwie wioski...

— Alboż to jej źle jest? Stary na palcach chodzi koło niej, sprowadza z Paryża jedwabie i pióra, a gdy żona jak zwyklę jest przy spazmach, to zaraz podróż za granicę obiecuje!

— A wiesz ty z czego te spazmy pochodzą?

— To przecież pańska choroba!

— Pańska choroba! A wiesz z czego ta choroba pańska powstaje? Oto ztąd, że tam chcą wszystko mieć za pieniądze, a wszystkiego za pieniądze mieć nie można!

Rzecz ta była już dla Jagusi i Salusi niezrozumiała. Wychodziła ona po za ich horyzont!

Wmieszała się teraz do rozmowy szafarka.

— Jakkolwiek panna Agata nie wiem dla czego starą babą mnie nazwała, jakby to stare baby już nic o sercu nie wiedziały, przecież ja wam powiadam, że kobiecie prędzej potrzeba do szczęścia miłości niżeli pieniędzy. Pamiętam gdy św. pamięci pan Zabłota z panną Dorotą się ożenił i na to nie zważał, że panna Dorota już piąty krzyżyk liczyła, to były wtedy w domu herezye, że od nich uciekać musiałam! Pani Zabłocina chciała koniecznie aby mąż ją kochał, a mąż wolał grać w karty i palić fajkę na długim cybu-

chu!.. Pannie Karoli wreszcie pieniędzy nie trzeba, a serce rośnie patrząc na nią, gdy z panem Zygmuntem rozmawia! Cała jest wtedy przemieniona, jest tak ładna jak jej nigdy nie widziałem wprzódy.... A pan Zygmunt koło niej to zdaje się zapominać o świecie! Czyż to nie jest przyjemnie patrzyć na taką parę? Ręczę, że dzisiaj w kościele wszystkie kobiety będą naszej pannie takiego szczęścia zazdrościć.

Na tę rozprawę wpadł do garderoby stary Onufry z dziwnym wyrazem na twarzy.

— A co!—zawołał wystraszony, nie mówiłem że to coś złego wróży? Już noc ciemna, a drużby pana młodego jeszcze nie ma! Oj ten drużba, ten drużba coś nam złego przyniesie!

— Cóż może przynieść?—odfuknęła panna Agata, może koło mu się popsuło w drodze i kwita!

Stary Onufry głową pokiwał i westchnął.

III.

Gdy w ten sposób służba dworska poza głównym salonem o dzisiejszej uroczystości rozmawiała, w buduarze panny młodej odbywała się wcale odmienna scena.

Panna młoda była już zupełnie ubrana. W stroju ślubnym wyglądała prawdziwie jak królowa.

Była to dziewica wysmukła. Twarz jej nie była piękną w ścisłem znaczeniu tego słowa. Nie miała linij greckich, spokojnych. Przeciwnie, linie te łamały się ustawicznie, przy każdym ruchu, przy każdym uśmiechu i wyrazistszem spojrzeniu. Była to jedna z tych twarzy ruchomych, oblanych wyrazem dziwnie sympatycznym. Nosek lekko do góry podany, z pełnemi różowemi ustami, wyrażał tyle dobroci anielskiej, tyle pogody i dobroduszności, że mimowoli przyciągał wszystkich patrzących i sprawiał na nich wrażenie bardzo przyjemne. W jasno-niebieskich oczach palił się ogień cichy, niegrożący ani burzą, ani piorunem namiętności, ale za to budził w sercu tak rozkoszne uczucie, jakie zazwyczaj czyni nas szczęśliwemi. Twarz ta prawdziwie urocza, ocieniona była z góry splotami ciemnych włosów, przypominających barwą korę świeżo z drzewa zdartą. Cała postawa przeginająca się wiotko na wszyst-

kie strony, ruchy okrągłe i elastyczne i ten jasny, pogodny, metaliczny dźwięk głosu—wszystko to składało się na urok panny młodej, której dzisiaj słusznie należało się berło królowej.

To też rzeczywiście wyglądała jak królowa. Biała, jedwabna suknia z koronkową tuniką spływała na dół w spokojnej draperyi. U ciemnych włosów, jakby mgła u wystającej skały, uwiesił się przezroczysty welon i w łagodnej fali spadał na dół aż do białej róży, którą podpięta była suknia jedwabna.

W takim stroju stała Karola przy biurku i zamyślonem okiem patrzała przed siebie. Na biurku w srebrnych listkach powoju spoczywał zegarek i lekkim dźwiękiem przypominał szczęśliwej narzeczonej, że i w tej chwili czas umyka niepowrotnie....

I o czem marzyła w tej chwili Karola?

Ważna, bardzo ważna jest to chwila, ale — nie marzeń tylko rzeczywistości! Sama rzeczywistość jest już tak wielką, że po nad tę rzeczywistość nie ma już uroku żadne marzenie!...

Jakoż w całym uroku stanęła teraz ta rzeczywistość przed nią.

Otworzyły się cicho drzwi buduaru — wszedł narzeczony.

Narzeczony był to młody, a nawet bardzo przystojny mężczyzna. Mógł liczyć lat dwadzieścia ośm. Był wzrostu słusznego, podłużnej, bardzo sympatycznej twarzy, ciemnych włosów i wyrazistych czarnych oczu. Lekki zarost ocieniał tę twarz, na której w tej chwili igrał uśmiech szczęścia i zachwycenia. Cała twarz była oblana jakby łuną jaką, wyrazem wewnętrznego szczęścia, jakiego doznawał stojąc przy narzeczonej. Czarny ubiór z białą chustką pod

szyją dodawał mu należytej powagi przy tak ważnym kroku życia.

— Nie wiem, co się to znaczy, że Maryusza jeszcze nie ma!—rzekł z pewnym niepokojem podchodząc do narzeczonej.

— Zapewne spóźnił się, nieświadom dobrze drogi— odpowiedziała narzeczona wyciągając do niego rękę.

Zygmunt postąpił do Karoli i wziął ją za rękę.

Zdaje się, że w tej chwili zapomnieli oboje nietylko o niefortunnym drużbie, ale może nawet i o całym świecie.

Zygmunt usiadł przy narzeczonej na niskim taboreciku, ona oparła się o biurko rzeźby gotyckiej.

Kilka chwil patrzyli na siebie w niemem milczeniu. Po chwili ucałował Zygmunt rękę Karoli i gorąco przycisnął do piersi.

— Wyglądasz w tej chwili jak anioł opiekuńczy mego życia — ozwał się narzeczony — gdyby ciebie Bóg nie był stworzył, nie wiem coby się stało z mojem życiem, w jaki kąt świata los by mnie rzucił, i ile łez do dzisiejszego dnia musiałbym już wylać!

Smutny uśmiech zaigrał koło pięknych ust Karoli. Podniosła rękę do góry i oparła na ramieniu Zygmunta.

— Powiedz raczej mój drogi, —rzekła do niego,—coby się zemną stało, gdyby Bóg dobry nie był kroków twoich skierował ku mnie! Jak smutny jest dzisiaj nasz los. Potrzeby życia kosztują dzisiaj tak wiele, że ludzie zazwyczaj gonią tylko za tem, co im te potrzeby pokryć może. Jeżeli panna ma znaczniejszy posag, to otoczy ją rój adoratorów i wszyscy jakby w modlitwie wyciągają ręce do niej i zaklinają ją na wszystko w świecie, aby im serca nie rozdzierała obojętnością swoją!... Jakże tu trudno poznać co prawda a co komedya!

Zygmunt posmutniał.

— W obecnej chwili,—rzekł—na najwyższym szczy cie mego szczęścia jeden tylko cierń rani mnie boleśnie i psuje mi całą rozkosz moją!

— Co za cierń... czy masz jakie niedobre przeczucie?

— Nie jestem bogaty!

Karola z urokiem niewysłowionej pieszczoty zbliżyła do niego twarz rozpromienioną.

— Ty jesteś dla mnie najbogatszym pod słońcem!— szepnęła mu do ucha, a jej oddech gorący owionął całą twarz Zygmunta.

Zygmunt potrząsł smutno głową.

— Chciałbym, odrzekł, aby bogactwa moje były realne, chciałbym, abym przynajmniej stał z tobą na równi— a szczęście moje równałoby się z rozkoszą wybranych w niebie, gdybym mógł mieć miliony i temi milionami ciebie obsypać!...

Karola rozśmiała się.

— Niepoznaję ciebie w tej chwili—rzekła—i nie wiem dla czego zacząłeś w ten sposób do mnie mówić. Przecież nie wybrałam cię dla milionów i w tem widzę całe szczęście moje. Kocham cię nadewszystko w świecie i widzę, że mnie także kochasz!

Pochyliła twarz i spojrzała w oczy narzeczonemu. Kilka chwil trwało milczenie.

— Sama wywołałaś mój smutek — rzekł Zygmunt po chwili—że nie jestem bogaty! W mojem dzisiejszem położeniu mogłabyś łatwo i mnie do tych adoratorów zaliczyć, o których mówiłaś!

— Przecież masz dowód, że cię nie zaliczyłam! Czy nie widzisz mojej sukni ślubnej?

Zygmunt pochwycił ją za rękę z gorączką.

— Pzebacz mi drogi mój aniele—zawołał z zapałem— przebacz mi, żem chciał na chwilę złą myślą siebie zasmu-

cić, a tobie przykrość wyrządzić! Było to tylko fałszywe echo tego rozkosznego uczucia, które mnie całego napełnia, które mi pierś rozszerza i serce rozpiera, i całą mą duszę dziwnie upaja! Jestem tak szczęśliwy, że całego ogromu mego szczęścia objąć nie zdołam i dotąd nie wiem zkąd się zaczyna i na czem się kończy.... A to napawa mnię dziwnem, niewysłowionem uczuciem!

I gorąco począł całować drobną rączkę Karoli.

Karola patrzała z twarzą rozpromienioną kilka chwil na swego narzeczonego. W jej jasnych oczach palił się ogień szczęścia, różowe usta złożyły się do wypowiedzenia jakichś słów rozkosznych. . Wnet jednak posmutniała jej twarz. Ścisnęła za rękę Zygmunta i usiadła przy nim.

Patrzała jakiś czas w jego twarz rozpromienioną.

— Widzę, że jesteś szczęśliwy—rzekła miękkim głosem—czuję to trzymając rękę twoję w mojej dłoni. Nieprawdaż Zygmuncie, że jesteś szczęśliwy?...

Zygmunt oblał narzeczoną ognistem spojrzeniem.

— Możesz przecież to wiedzieć!—rzekł nie spuszczając oczu z jej twarzy.

— Widzę—odparła z głębokiem wejrzeniem Karola—a nawet wątpić o tem nie mogę. Czytam to w twoich oczach, słyszę w twoim głosie, czuję w uścisku ręki.... ale mój drogi.... to jest najwyższa chwila naszego życia!

— Cóż nam zagraża, gdy ta chwila przejdzie?—zapytał z niepokojem Zygmunt, widząc smutny uśmiech koło różowych ust Karoli.

— Już zagraża nam to samo, że ta chwila przejdzie a inne nastąpią, które może nie będą tak świetne, tak jasne i barwne, jak jest dzisiejsza! Spojrzyj na mnie!

Zygmunt z widoczną rozkoszą ogarnął okiem całą postać Karoli.

— Jestem w ślubnym stroju—mówiła Karola—co tyl-

ko sztuka kobiecie dodać może, wszystko to otoczyło całą postać moją.... ale to jest tylko chwila — kilka godzin, po których następuje kobieta zwyczajna, codzienna, obrana z tych sztucznych poetycznych skrzydeł... Czy twoje szczęście nie zniży się wtedy przy takiej kobiecie codziennej, gdy zamiast białych jedwabiów okryje ją szara szata codzienna?... Jeżeli między kobietą na balu, a kobietą w życiu codziennem jest tak wielka różnica, jakaż dopiero rożnica być musi między narzeczoną w stroju ślubnym, a potem żoną przy zwyczajnych zatrudnieniach życia!...

Zygmunt ucałował gorąco rękę Karoli.

— Jesteś dziecinną—rzekł z wyrzutem —przecież nie kocham twoich jedwabi, ani tego misternego wachlarza z kości słoniowej, z którym jest ci tak ładnie.... ale kocham całą istotę twoją, kocham to wszystko, czemkolwiek w życiu zwyczajnem być możesz!

Karola uśmiechnęła się rozkosznie.

— Wyznajesz mi—rzekła—że kochasz całą moją istotę! Ale pamiętaj o tem, że to co dzisiaj we mnie kochasz, przedstawia ci się w świetle najpiękniejszem. Patrz jak żywo biją moje pulsa, nerwy grają życiem zdwojonem, umysł rozpromienia się pięknemi myślami a wyobraźnia rozgrzewa się cudnemi obrazami przyszłości.... Patrz jak to serce żywo bije... Czy myślisz, że w takiej chwili kobieta nie może mieć uroku samego anioła?... O! każda kobieta jest wtedy ładną i zachwycającą, i każdy mężczyzna czuje w tej chwili jej urok i mimowoli wymawia wielkie słowo—że ją kocha!... Ale Zygmuncie, kobieta ma tylko jedną taką chwilę w życiu—według tej chwili nie powinieneś mierzyć jej wdzięków, nie powinieneś mierzyć swoich uczuć, które cię do niej na zawsze przywiązać mają!

— Po cóż w tej chwili natrącasz takie myśli?...

— Bo chcę abyś mnie kochał z całą świadomością to-

go co nastąpić może, abyś mnie nigdy inną w życiu późniejszem nie widział jak taką, jaką dzisiaj ci jestem — a jeżeli koniecznie nasze uczucia z biegiem czasu moderować się muszą, to niech ci pamięć twoja dzisiejszą chwilę zawsze przed oczy stawia, i niech wspomnienie tej chwili będzie dla ciebie nieprzebranem źródłem uczucia, jakiego słusznie od ciebie żądam!

— Dowiodę ci całem życiem mojem, ile cię kocham, uwielbiam i jako jedyne szczęście moje uważam!

Uklęknął przed Karolą, podniósł rozpromienioną twarz do góry, a Karola zniżyła różowe usta swoje i na czole narzeczonego złożyła gorący pocałunek.

W tej chwili usłyszano turkot pod oknami.

Oczekiwany drużba przyjechał.

IV.

W sam czas zjawił się pan Maryusz w salonie.

We wszystkich rzeczach ludzkich najniebezpieczniejszą jest—dłuższa pauza.

A taka pauza była właśnie w salonie, nim pan Maryusz zdążył.

Już sama rozległość salonu i całe jego urządzenie mogło przyczynić się do tego, że każda niczem nie wypełniona pauza groziła niebezpieczeństwem dzisiejszej uroczystości.

Jakkolwiek sproszeni na ślub sąsiedzi i życzliwi znajomi wyszukanemi frazesami nietylko matce i córce ale nawet i Zygmuntowi szczęścia i powodzenia życzyli i wszystkich serdecznie za ręce ściskali, nie przeszkadzało to wcale, aby w skrytości duszy każdy o tem szczęściu i powodzeniu zupełnie odmienne miał zdanie.

A powody do tego były różne. Jedne opierały się na zwykłym pessymizmie ludzkim, który rad widzi czarne plamy na słońcu; drugie wypływały z zadraśniętych ran egoizmu, a inne pochodziły z pewnych właściwych punktów zapatrujących się na podobny fakt w życiu.

Ponieważ salon był obszerny i do tego co do ustawienia mebli panowała w nim swobodna decentralizacya, która

całemu towarzystwu zostawiała wolną do grupowania się rękę—poszło więc za tem, że rozmaite odcienia zdań i uczuć mogły wszystkich gości wygodnie podzielić na odpowiednie grupy.

To też zaraz z początku podzieliło się całe towarzystwo na różne kupki, w których rozprawiano to o rzeczach publicznych, to o sprawach sąsiedzkich. Zaguba drużby zrobiła do tego dłuższą pauzę w ceremoniale domowym, a pauzy tej nie było czem innem zapełnić, jak tylko dostatecznem rozwinięciem zdań zrazu ogólnikowo rzuconych.

— Śliczna będzie z nich para! — mówiła pani Kazimierzowa do swojej sąsiadki—jakby się w korcu maku szukali!

— Tak...—odpowiedziała przez zęby sąsiadka — mężczyzna przystojny co się zowie, nawet widać w świecie obyły... ale przecież pani Augusta mogłaby innego zięcia była znaleźć dla swojej jedynaczki! Zdaje mi się, że nawet baron.... coś myślał o tem!

— Zdaje mi się, że pani Augusta dla stosunków zrobiła to....

— Być może, bo matka pana Zygmunta, a ciotka księcia Achila, to były stryjeczne siostry.... a wuj jego i stryj hrabiego Symplicyusza, to byli znowu stryjeczno-cioteczni....

— Już to rodowi nie ma co zarzucić, to prawda... ale oprócz tej świetności nic się u pana młodego nie błyszczy! Mówią nawet że ma długi!

— Już to długi dzisiaj nie należą do rzadkości—ale co do długów pana Zygmunta to mówią....

— I kto wie czy nie mówią słusznie!

— Osoby, które o tem mówią, są godne wiary... chociaż może być wiele przesady!

— Za ładną koligacyę trzeba przecież także zapłacić!

— Przecież i domowi pani Augusty nic nie brakuje!

— Prawda—ale dzisiaj należy już do wyjątków, aby przynajmniej równego sobie dobrać. Większa część mężczyzn nie żeni się, a między tymi którzy się żenią nie ma wielkiego wyboru! Mianowicie na majątkach ziemskich daje się to bardzo czuć.....

Pani Kazimierzowa westchnęła.

W grupie młodych mężczyzn szła rozmowa innym torem.

— Terno wygrał!—wołał szerokobarczysty Tryton.

— Nie każdemu uda się coś podobnego!—wzdychał jasnowłosy Benignuś.

— W czepku się urodził!—dodał krępy Waluś.

— Trzeba do tego istnej ślepej fortuny, aby bez gronia ułowić taki smaczny kąsek!

— I tłusty! Złota Wisznia warta...

— Szalenie w nim się kocha!

— A on, jak widać, tylko nadskakuje!

— Cóż może innego robić narzeczony? W mieście zazwyczaj posyła się narzeczonej codziennie bukiety w magazynie kupowane! Na wsi nie można w ten sposób wypłacać się ze swego obowiązku! Trzeba więc samemu kręcić się koło panny!

— Ale jaki miał nos dobry, gdy ją w stolicy po raz pierwszy obaczył! Przecież na karnawał szumnie i hucznie przybywa także i maskowana golizna....

— Jak to Julek się złapał!

— Jednemu szczęście przez szpary się ciśnie—drugiemu drzwiami wejść nie chce!

— Ha, niech mu na zdrowie wyjdzie!

— To prawda—byle mu tylko na zdrowie wyszło!

W drugim rogu salonu panowały ciche szepty i głośne

chichoty. Był tam różnobarwny bukiet najmłodszych córek powiatu.

— Karola cudownie wygląda!—mówiła Marya — materya prawdziwie ludguńska a koronki brukselskie!

— Stanik bardzo udatny—nie zawolny, nie zaciasny —a szarfa u dołu cudownie odbija!

— Tylko białe róże zamieniłabym na żółte tee...

— Tunika jak ulana!

— Podpięcie prawie artystyczne!

— Welon ma deseń *à l'ant que!*

— Słowem ubiór ślubny godny markizy!

— Każda może jej zazdrościć!

— Mówią, że karetę sprowadzili z Wiednia!

— Po konie jeździł rządca aż na Ukrainę, do stadnin Branickich!

— Szczęśliwa Karola!

— Nie każda tak szczęśliwą być może!

— Wyprawa z Drezna!

— Srebra od samego Christofla!

— Samych sukni wizytowych tuzin!

— I to w najmodniejszych kolorach, których dwa razy wziąść nie można!

— Zaraz po ślubie wyjadą do Paryża i Rzymu!

— Nie ominą Berlina i Londynu!

— Ah!

— Ah!

Takie były rozmowy młodego gronka aniołków. Tak samo jak i w gronie epuzerów młodych, nie wspomniano i tutaj nic o miłości, o przymiotach człowieka i kobiety, tylko o tem co się na wierzchu świeci i błyszczy.

Inaczej brzmiała rozmowa pod piecem, gdzie przewodził młody mężczyzna z łysawą głową a wysokiemi kołnierzykami. Jest to wieczny kandydat do rady powiatowej

i sejmu, ewentualnie rady państwa i delegacyi; pisuje nawet krótkie artykuły w dziennikach o reformie społecznej i ekonomii politycznej; — ale dotąd omija go krzesło rady powiatowej i sejmu, bo sąsiedzi nie mogą pogodzić się z jego teoryą, która ciągle mówi o pracy i produkcyi krajowej.

— Przyznam się,—mówił pan Maciej, — wice-marszałek powiatowy,—że stadło będzie ładne i dobrane!

— Ładne będzie, to prawda—odparł nieustający kandydat—ale nie widzę w niem nic dobranego!

— Jakto! przecież pan Zygmunt....

— Czemże jest właściwie?

— Jest.... jest z dobrego gniazda, matkę jego rodzi cioteczna siostra pana Idziego, a stryj jego spowinowacony jest przez babkę z Jędrzejem....

Kandydat machnął ręką.

— To w bilansie produkcyi narodowej nic a nic nie znaczy! Pan Zygmunt jest sobie poczciwy, ładny chłopiec, ale zresztą wielkie zero!

— Prawda, że jest zerem,—dodał sąsiad wice-marszałka—nie ma ani jednego zagonu własnej ziemi!

Kandydat spojrzał na mówiącego z ukosa.

— Co pan nazywasz zerem?—zapytał z marsem.

— No.... to jest.... jeżeli kto nie ma majątku, jak naprzykład my mamy!

Z ironią rozśmiał się kandydat przyszłości.

— Nasze majątki są największem zerem!—zawołał.— Cóż przynoszą nam nasze majątki? Czyż umiemy na nich pracować w ten sposób, aby w drugiej generacyi się podwoiły?... Nasze majątki to są wygodne szkatułki, z których wybieramy tyle pieniędzy, ile nam na dobry obiadek z winem i na karty, a żonom naszym na podróż do wód zagranicznych potrzeba! O więcej nie dbamy! A gdy majątek

takiego procentu dać nie może, to żyjemy z kapitału — bo *après nous le déluge!*

Milczeniem przyjęto tę perorę.

— A czemże mają być nasze majątki? — zapytał nieśmiało wice-marszałek.

— Warsztatem, na którym powinniśmy podnieść produkcyę do najwyższej potęgi!

— Warsztatem! powtórzono z szyderstwem.

— Tak jest, warsztatem — wołał niezbity kandydat — mówię warsztatem, bo każdy warsztat choćby nawet i szewski, lepszy jest od naszych dworków i pałacyków wiejskich, w których z dumą fałszywą rozpierają się bezprodukcyjni konsumenci!...

Kilka nosów zwiesiło się na dół.

— To są zgubne teorye zachodu!—szepnął wice-marszałek sąsiadowi do ucha.

— Libertyzm i herezya!—odszepnął tenże.

— Obce żywioły—destrukcya!—dodał trzeci.

Nastąpiła pauza wytchnienia.

— Powiedzże mi pan,—ozwał się wice-marszałek,— co właściwie można zarzucić panu Zygmuntowi?

— Panu Zygmuntowi w szczególności nic nie zarzucam,—odparł kandydat na puszczy — ale małżeństwom takim, jakiem właśnie jest to dzisiejsze małżeństwo, to mogę zarzucić, że nietylko żadnej korzyści dla społeczeństwa nie przynoszą, ale nawet uszczerbek mu czynią!

— Niech pan jaśniej rzecz nam wyłoży!

— Panna młoda ma fortunę piękną — pan młody nic nie ma! Impan Michał jest tego zdania, że pan młody, który ze swojej strony znakomitą parentelę do domu wnosi, nie jest tem samem ubogim. Zdanie to nie jest wyłącznem zdaniem pana Michała, ale zdaniem naszem zbiorowem, któ

rem powodowaliśmy się przez długie wieki i któremu dotąd hołdujemy. Mniejsza, gdyby zdanie to było tylko fałszywem, ale wyrządziło ono nam i wyrządza bardzo wiele krzywdy. Jest to choroba, jest to rak społeczny, który nas pożera, jak tego skutki jasno widzimy. Świetna parentela w dawnych czasach Rzeczypospolitej znaczyła wcale co innego. Oznaczała ona grono ludzi, dla dobra publicznego pracujących, a z takiego grona nie mogło wyjść coś niedobrego. Dzisiaj świetne z dawnych czasów rody najczęściej próżnują, a ćma dalekich krewnych, zastęp prawdziwych próżniaków, bierze na siebie z powagą komedyancką szatę i herby dawnych senatorów i niemi swoją próżniaczą nicość zakrywa! Taka ćma ogrzewa się przy pieniężnym blasku dalekich krewnych i poluje na złotko zagrodowego szlachcica, który jeszcze ma to sobie za wielki honor, że się okradać takiemu człowiekowi pozwoli!... Czyż nie jest to choroba czysto narodowa?

Wice-marszałek pokiwał z ironią głową.

— Nie stosuję tego do pana Zygmunta, — mówił rozgrzany kandydat — bo od niego nigdy tego nie słyszałem, aby w braku rzeczywistego majątku odwoływał się do podejrzanych klejnotów Niesieckiego—ale mówiłem to dla tego, że niektórzy w ten sposób tłumaczą sobie zagadkowość tego małżeństwa, a co w gruncie rzeczy jest bardzo niemoralnem i dla społeczeństwa nieskończenie szkodliwem!

— Nie wiem w czem pan tę szkodliwość widzisz!

— Najszkodliwszą rzeczą dla społeczeństwa jest próżniactwo. Jeżeli próżniakowi przez protekcye znakomitej parenteli odda się do rąk znaczniejszy majątek, to ten majątek jest już dla kraju stracony. Z szykiem wydawać pieniądze cudze, jeździć w modnym ekwipażu, zwracać za granicą oczy na siebie—to przecież nie jest produkcyą!

— Produkcyą głupstwa! — ozwał się głos z szarego końca.

— Zgadzam się na to—podjął kandydat—ale czyż nie dość już mamy tego głupstwa? Czyż nas już nie znają po tem głupstwie zagranicą?

— Już to najlepiej—równy z równą!—wtrącił wąsaty jegomość w piaskowym żupanie.

— Tak.... ale równość jest pojęciem względnem. Dawniej równość znaczyła jeden i ten sam stopień pod względem urodzenia i majątku. Dzisiaj to pojęcie należy nam rozszerzyć. Do równości dobija się dzisiaj praca i nauka.... Gdyby pan młody nie miał widomej fortuny, ale miał świadectwo uzdolnienia do pracy produkcyjnej lub odbytej nauki—to mógłby śmiało stanąć na równi z bogdanką swoją, która wnosi mu rozległy majątek ziemski....

Wice-marszałek z szyderstwem pokiwał głową.

— O panu Zygmuncie, prawił dalej kandydat nieśmiertelny, mam jak najlepsze wyobrażenie, ale nie pojmuję tego, dla czego w karyerze do pewnej mety zatrzymał się nagle przy niebieskich oczkach panny Karoli, i poświęcając jej wszelkie przyszłe obowiązki człowieka pracowitego, osiada spokojnie na majątku swojej przyszłej żony!

— Sąsiedztwo zyska zacnego obywatela!

— Ale czy ten zacny obywatel nie mógłby być czynnym członkiem społeczeństwa a nie bezużytecznym konsumentem majątku swojej żony?

Rozmowa taka znudziła już sędziwsze kółko sąsiadów i wszyscy bardzo byli radzi, gdy się dowiedzieli przez usta starego Onufrego, że wreszcie zagubiony drużba już się zjawił we dworze.

Jakoż w całej okazałości wszedł teraz do salonu przybrany uroczyście pan Maryusz, a pan Zygmunt pospieszył

z buduaru panny młodej, aby go przyszłym sąsiadom swoim przedstawić.

Pan Maryusz uścisnął wszystkich serdecznie za rękę. powiedziawszy każdemu z osobna coś przyjemnego.

Nastąpiła teraz wzruszająca scena błogosławieństwa.

Na rozścielonym naumyślnie w tym celu dywanie postawiono dwa fotele. Na jednym miała usiąść matka, na drugim najstarszy a najbliższy krewny.

Śród głuchego milczenia i uroczystego nastroju całego towarzystwa zaszeleściała jedwabna suknia od kanapy, na której siedziały damy najznakomitsze, a na fotelu z którego młodej parze błogosławić miała, usiadła pierwsza — matka Karoli.

Pani Augusta była to kobieta dosyć jeszcze krzepka. Zaledwie mogła liczyć lat czterdzieści kilka. Twarz miała łagodną, rysy spokojne, chociaż w całej podniesionej do góry postaci widać było panią domu.

Nie pochodziło to może z jej usposobienia ale raczej z nawyknienia. Dziesięć już lat była wdową, a zarząd całego majątku spoczął wyłącznie na jej barkach. Wprawdzie miała do pomocy rządców i ekonomów, ale ostatecznie wszystko się o nią opierało.

Dziesięć lat nieustających rządów i rozkazów, mogłoby nawet przybitą postać niewolnika wyprostować, i całą jego postawę nacechować pewnem znamieniem władztwa.

Ta władza domowa odbijała się dzisiaj we wszystkich ruchach pani Augusty, w jej głosie i spojrzeniu.

Przy tych jednak tak wyraźnych cechach rządzenia domem, były jeszcze na jej twarzy wyraźniejsze cechy prawdziwej dobroci i łagodności. W oczach mianowicie malowała się jasno miłość macierzyńska, a smutny wyraz koło ust, znamie dziesięcioletniego wdowieństwa, dodawał

tej miłości tyle wzniosłego uroku, że najzagorzalszy pessymista mógł tylko życzyć panu Zygmuntowi takiej drugiej matki.

Wystąpienie jej sprawiło w ogóle miłe rozrzewnienie, a nawet zagorzały kandydat-teoretyk, jak go powszechnie nazywano, zapomniał o swojej teoryi społecznej i sympatycznym wzrokiem ogarnął grupę, która się do tego uroczystego aktu formowała.

Koło pani Augusty zasiadł najstarszy krewny w braku ojca Karoli. Nie był to najokazalszy i najbogatszy z krewnych, jakiego czasem wyciąga się do takiej uroczystości. Był to człowiek niepokaźny, a nawet ubiorem i miną niezdradzający wielkich dostatków. Granatowa czamara z czarnemi pętlicami stanowiła cały strój jego odświętny. Ręce miał narobione i opalone od słońca.

Matka Karoli nie wstydziła się uboższego lecz zacnego krewnego i serdecznie ścisnęła go za rękę, którą właśnie ocierał łzę z poczciwej twarzy swojej.

Z buduaru wyszła Karola—a za nią kroczył Zygmunt.

Karola miała oczy zapłakane. Nie płakała jednak z trwogi przed niepewną przyszłością, bo w tę kochające jej serce wierzyło z całą ufnością—ale płakała częścią z niewytłumaczonych powodów, których żadna panna młoda sformułować sobie nie umie, a częścią dla tego, że była to właśnie chwila, w której matka z władzy swojej macierzyńskiej rezygnuje i prawa swe na obcego człowieka przelewa.

Już sama utrata tej władzy i opieki macierzyńskiej jest dla kochającego dziecka bolesną, a cóż dopiero, jeżeli się przytem pomyśli, że ta władza przechodzi teraz w ręce człowieka, którego się wprawdzie kocha i któremu się ufa, ale o którym nie można na pewno wiedzieć, co się z niego z biegiem lat stać może!...

Zdaje się jednak, że piękna Karola o tem wcale w tej

chwili nie myślała, że żadne złowrogie widmo nie stało przed jej oczyma, że nawet najmniejszego nie miała złego przeczucia. Łzy jakoś same płynęły jej z oczu, a nawet nie były to łzy bolesne...

Z poważną twarzą ukląkł przy Karoli Zygmunt.

Widok tych dwojga ludzi był piękny, zachwycający!

Jeżeli między gośćmi przed tą chwilą były rozmaite zdania co do tego małżeństwa, to widok taki rozbroił wszystkich. Nawet nieśmiertelny kandydat i malkontent powiatowy wyrzucał sobie w duchu, że w ferworze dysputy wyrwało mu się kilka słów ostrzejszych.

Młode grono córek powiatowych, które po nad paryzką suknię, brukselskie koronki i trzewiki wiedeńskie, nic innego w tym akcie uroczystym nie widziały, zarumieniły się teraz, uczuły w piersiach podwójnie bijące serca. Do wszystkich bowiem tych pięknych paryzkich i brukselskich rzeczy przyłączył się teraz drogocenny klejnot, o którym pierwej nie myślały. Był nim Zygmunt, przyszły towarzysz życia Karoli, a twarz jego rozpromieniona okazywała jasno, że jego szczęście nie odnosi się bynajmniej do tych kosztownych falbanek i artystycznie podpiętej tuniki.... Przy widoku młodego, kochającego mężczyzny ustąpiło to wszystko w głąb, a nawet stało się niewidomem....

Młode serduszka rozszerzyły się jakiemś rozkosznem, utajonem marzeniem, a to marzenie tak było wszystkim do twarzy!

— Błogosławię was moje dzieci — szlochała matka, gdy Karola z głośnym płaczem jej nogi całowała — błogosławię i tobie mój.... synu! Za syna bowiem przybrałam ciebie i za syna mieć chcę!...

Pani Augusta rozpłakała się tutaj i dalej nic mówić nie mogła. Zaczął także w głos płakać stary krewny...

i skończyło się na ucałowaniu głów państwa młodych, w pokorze zniżonych.

Mimo tak rozczulającej sceny znalazła się jednak mała, fertyczna osóbka, sporo podróżowana, która szybko zwróciła się do sąsiadki i rzekła:

— Czy słyszałaś pani, w jaki sposób pani Augusta błogosławiła panu Zygmuntowi?

— Nie dosłyszałam dobrze!

— Mówiła przecież wyraźnie: Nie mam cię za zięcia, ale za syna mego!

— To bardzo pięknie!

— Ukrywa się w tem coś innego. Pani Augusta chciała tem mu powiedzieć: nie wnosisz do domu żadnego majątku—jesteś więc tylko jakby synem moim, któremu daję część majątku!

— Wątpię, aby pani Augusta w takiej chwili....

— Nie znasz pani naszej sąsiadki! To kobieta słodka jak cukier, zawsze uśmiechnięta, ale nie daruje nikomu!

— Przecież tak dobrze o panu Zygmuncie mówi!

— Jakże pani chcesz, aby teraz, gdy jest jej zięciem, źle o nim mówiła. Ale wiem co to było, nim na ten związek pozwoliła. Nie chcę robić plotek....

— Mogły być dyferencye zdań, jak to zawsze bywa, ale rezultat przecież tak piękny i chwalebny!

— Tak... być może! wycedziła zwolna przez zęby fertyczna sąsiadka i odwróciła się na drugą stronę, aby tam szukać adherentów dla swego zdania.

Tymczasem skończyła się ceremonia błogosławieństwa, a orszak weselny uszykował się do wyjazdu na ślub.

V.

W kościele parafialnym zgromadzili się już liczni widzowie. Dostarczyło ich w dosyć znacznej liczbie miasto powiatowe, dla którego ślub dzisiejszy był pewnego rodzaju wypadkiem dziejowym.

Zamożny a w najbliższem sąsiedztwie położony dwór ma zawsze z miastem bardzo liczne związki. Już same potrzeby kobiece zatrudniają tutaj tyle rąk, że podobne jak ślub zdarzenie, nie może być rzeczą obojętną.

Do tego jeszcze przyczynił się niemało pachołek miejski Jacek Berdysz, który z własnego impulsu, bez żadnego specyalnego datku, tak rzęsisto ulicę wiodącą do kościoła oświecić kazał, że o nastąpić mającym ślubie nawet ci dowiedzieli się, którzy o nim nigdy nie myśleli!

Tym sposobem stało się, że cały kościół był napchany, zanim jeszcze pierwsi weselni goście do jego wnętrza zdążyć mogli.

Zakrystyan z powagą przeszedł aż kilka razy po kościele, przypatrując się licznie zapalonym świecznikom. Kilka razy podchodził do progu, przykładał rękę do czoła, a nawet prawe ucho (jedyne na które słyszał) ku drodze do

Złotej Wiszni zwracał, ale wszystko daremnie. Orszaku weselnego ani widać, ani słychać!

Widzowie jednak czekali z wytrwałością godną lepszej sprawy. Mianowicie zastęp młodych kobiet, który zdobył sobie pierwsze szeregi, nieruchomie wyczekiwał upragnionego spektaklu. Chodziło tu bowiem głównie o tualety kobiet weselnych, nie mówiąc już nic o ślubnym stroju panny młodej, o którym od czasu do czasu, jakby dla skrócenia nudy, rozchodziły się pomiędzy tem gronem najdrastyczniejsze wieści.

Przestrzeń tworząca tak zwane presbiterium nie była wcale zajęta. Przeznaczono ją na pomieszczenie gości weselnych, którzy od widzów byli tu odgrodzeni balustradą.

W tej przestrzeni nikogo nie było, a dwóch dziadów kościelnych łącznie z zakrystyanem strzegli tego miejsca z żarliwością, która kilku chłopakom dała się dosyć boleśnie we znaki.

Jedna tylko kobieta stanowiła wyjątek. Siedziała w głębi ławki kolatorskiej, w czarnem ubraniu, i od czasu do czasu zasłaniała sobie starannie twarz, grubą czarną woalką.

Mimo tej czarnej, prawie nieprzezroczystej zasłony, można było poznać piękną nieznajomą, z którą pan Maryusz tak niefortunne miał spotkanie.

Siedziała milcząca i nieruchoma, jak statua z czarnego marmuru. Czasami tylko zrobiła ręką jakiś ruch gwałtowny, który zdawał się być spazmatyczny. Czasami tylko z pod czarnej zasłony zaiskrzyły się jej oczy ku sklepieniu kościoła wzniesione, jakby tam kogoś nad tem sklepieniem szukały i pomocy jego wzywały.

Niektórych widzów uderzyła tą postać niezwyczajna. Patrzano na nią z uwagą i podawano sobie od ucha do ucha

akieś słówka półciemne, po których znowu następowały staranne oględziny nieznajomej.

Zdaje się, że nieznajoma nie zważała na to wszystko. Raz tylko z większą uwagą spojrzała w tłum ciekawych, jakby śledziła jakiś ruch pomiędzy nim. I rzeczywiście z ruszającego się tłumu wynurzyła się ręka trzymająca czarny kapelusz ze złotym galonem, a za kapeluszem okazała się twarz gładko ogolona. Był to lokaj. Nieznajoma dała mu znak ręką aby tamże się zatrzymał i wróciła napowrót do swego dawnego posągowego spokoju.

Teraz wszedł orszak weselny do kościoła.

Pan Maryusz z miną doświadczonego drużby podprowadził pannę młodą do stopnia ołtarza, a sam cofnął się na stronę, gdzie właśnie siedziała piękna nieznajoma.

Nieznajoma odgadła zamysły okazałego drużby, a wychyliwszy się z ławki, odrzuciła z twarzy czarną woalkę.

Większa część gości weselnych spojrzała teraz na nią. Było coś demonicznego w tej pięknej twarzy. Nie była to twarz młodej dziewicy, która z rumieńcem wstydu i naiwności zbliża się do stopni ołtarza — ale była twarz kobiety w pełnym rozkwicie, kobiety z obfitym zapasem wspomnień i ze skargą na czole, że te wspomnienia nie przyniosły jej upragnionego szczęścia!... Na tej twarzy nie było jeszcze rezygnacyi dusz złamanych, przeciwnie było gorące pragnienie tego, za czem się nieraz już goniło, a czego się nigdy nie osiągnęgło.

Wkrótce jednak odwróciły się od niej twarze kobiet, a nawet odwróciły z pewnym, niedającym się określić wyrazem—ale pozostały oczy niektórych mężczyzn, i patrzały z pewną rozkoszą na tę twarz piękną, mimo że na niej uwydatniał się coraz więcej uśmiech szyderczej ironii a nawet pewnego lekceważenia.

Wkrótce rozpoczęty ceremoniał ślubu, dłuższa prze-

mowa kapłana i śpiew chóralny zwróciły uwagę widzów i gości weselnych w inne stronę, z czego korzystając pan Maryusz zbliżył się nieznacznie do nieznajomej, i za plęcyma spektatorów wrócił do rozpoczętej z nią przed godziną rozmowy.

— Jeżeli pani tak długo na ślub czekałaś, rzekł do niej cichym głosem—to wina tego cięży na naszem niefortunnem spotkaniu....

— Nie masz pan jeszcze żadnego prawa — odrzekła z chmurką na pięknem czole—nazywać nasze spotkanie fortunnem lub niefortunnem!

— Nie chciałem bynajmniej tem słówkiem przesądzać przyszłości.... chciałam tylko powiedzieć, że tak oryginalne spotkanie się spóźniło mój przyjazd do Złotej Wiszni!

— Nie widzę w tem nic oryginalnego, jeżeli kto komu szkodę wyrządza i do tego przestrasza go!

— Jeżeli pani pozwoli, mogą tę szkodę powetować...

Nieznajoma ruszyła głową na znak zaprzeczenia.

— Czasami, odpowiedziała z ujmującym uśmiechem, dobrze jest mieć dłużników... szlachetnych!

— Dla czego kładziesz pani nacisk na to słowo „szlachetnych“?

— Bo zwykli dłużnicy zazwyczaj zapominają co komu winni, i złym są materyałem do podtrzymywania pamięci....

Maryusz spojrzał z uwagą w piękne oczy nieznajomej.

Było w tych oczach teraz tyle słodyczy, tyle niezwyzwykłego uroku... oczy te w tej chwili obiecywały tyle.... a miały takie zasoby.... że biedny drużba zapomniał o swoich obowiązkach i prócz tych oczu nic innego w koło siebie nie widział.

Nie było to wprawdzie miejsce do podobnych uczuć i wrażeń, ale pan Maryusz nie wiedział sam, gdzie był i co się przed nim dzieje....

Odetchnął całym białym gorsem batystowej koszuli, poprawił chustki pod szyją i odparł:

— Są wrażenia, które nie potrzebują żadnych sztucznych środków do podtrzymywania.

Nieznajoma skinęła w tej chwili na służącego w okazałej liberyi, i wzięła z jego rąk szal ciepły.

Pan Maryusz zmierzył służącego i mówił dalej:

— Są wrażenia, które nie potrzebują żadnych sztucznych środków do podtrzymywania a najlepszym dowodem tego jest, że może takie wrażenie sprawić osoba zupełnie nieznana, nie mająca przy sobie owych akcessoryów, które dzisiaj każdy drogi kamień tak wysoko podnoszą!...

Nieznajoma uśmiechnęła się z ironią.

— Może tem lepiej, odpowiedziała, że pan przy mnie w tej chwili nic nie widzisz, że przed okiem pana jest to wszystko zakryte, co widzieć się zdają te wykrochmalone lalki stojące tam z miną świętoszków przed ołtarzem a patrzące z ukosa na kobietę, która nie chciała ukrywać przed światem tego, co one ukrywają!...

Maryusz z zadziwieniem spojrzał na nieznajomą.

Wyraz bolesnej ironii przeszedł po jej twarzy.

— Już same słowa zadziwiają pana, rzekła po chwili, a cóż dopiero gdybyś pan wszystko to słyszał z różnemi dodatkami, jakie zazwyczaj z chrześciańskiej cnoty robią kochani bliźni nasi!

— Pani budzisz we mnie wielką ciekawość!

— Nie czynię tego bez celu...

I piękne oczy nieznajomej zajrzały głęboko w oczy zdumionego Maryusza.

— Jakiż cel może być w tem? zapytał nieśmiało.

— Aby pana przygotować na to, co pan usłyszeć możesz, jeżeli ciekawość popchnie cię do pewnych zapytań, choćby nawet bardzo oględnych!

— Im więcej pani ze mną mówisz, tem większą mgłą otaczasz postać swoją!

— Bo bez pewnej mgły na nic w życiu patrzeć nie trzeba!... Patrz pan na ten obrzęd uroczysty! Z jaką powagą wszyscy patrzą i słuchają co kapłan mówi... patrz pan z jakim wyrazem na twarzy panna Karola wieczną miłość swemu Zygmuntowi przysięga.. jak rozpromieniony jest ten Zygmunt, któremu z wielkiego szczęścia nawet tchu w piersi brakuje... patrz pan z jaką macierzyńską miłością modli się pani Augusta o szczęście do Boga dla swoich dzieci... i z jakiem skupionem nabożeństwem wszyscy goście weselni w tem wszystkiem uczestniczą... Myślałby kto, że od tej chwili poczyna się dla nich wszystkich jednostajne pasmo szczęścia, na którem zazwyczaj każda powieść w książce się kończy... a tymczasem może tu być dopiero początek złych, bardzo złych rzeczy!... Ludzie chwytają łupinę pięknej myśli i zdaje im się, że samą myśl ułowili... przysięgają wobec kapłana przy graniu organów, w białej jedwabnej sukni paryskiej... zdaje się im, że już wszystkiego dokonali, czego od nich żądać można i co do legalnego szczęścia jest potrzebne!... Ale czy ta pusta łupina zwyczaju i obyczaju mieści to w sobie, czego właściwie do szczęścia potrzeba? Czy ona już z góry nie była próżna i czy nawet już z góry o tem nie wiedziano?... Ale mniejsza o tę próżność... wszak potem można tę próżnię czem innem zapełnić... a świat... a opinia publiczna ma już łupinę, która wszystko pokrywa!... O! jakże cnota ludzka jest wygodna!... Czyż można na to wszystko patrzyć bez gazy, gołemi oczyma?... A teraz idź pan do służby, bo właśnie pan młody ogląda się za panem!... Do widzenia się — może przy drugiem spotkaniu naprawisz mi pan te szkodę jaką dzisiaj wyrządziłeś!...

Pan Maryusz lekkim ukłonem pożegnał nieznajomą i pospieszył na swoje stanowisko.

Ceremonia ślubu już się właśnie kończyła.

Karola wstała ze stopni ołtarza zarumieniona jak jutrzenka i przyćmionemi oczyma spojrzała na młodego swego męża...

Było to pierwsze spojrzenie—żony!

Pięknie wyglądała przy tem spojrzeniu, z tym przezroczystym rumieńcem szczęścia, z wyrazem wiary niezachwianej, że to szczęście nie opuści ją, tak jak przysięgała przed chwilą, aż do śmierci!

Nie mniej piękny był Zygmunt. Rozumna i sympatyczna twarz jego jaśniała jakby od łuny bengalskiego ognia, a w ciemnych oczach iskrzyła się rozkosz życia, o której wierzył, że się dopiero poczęła a nie skończy się, aż wraz z życiem!...

Po wypełnieniu jeszcze zwykłych formalności, cały orszak uszykował się do odwrotu.

Widzowie rozsunęli się w długi szpaler, aby szczęśliwą parę przepuścić między sobą.

— Jak pięknie wygląda!—szepnęła blada dziewczyna do swojej jeszcze bledszej towarzyszki.

— Nie każda może być tak szczęśliwa! — odszepnęła towarzyszka,—w całej jej postaci maluje się szczęście!

— Pan młody przystojny człowiek jakich mało!

— Niezawodnie kocha ją bardzo! Jak na nią patrzy!

— Tyle naszego, że na cudze szczęście patrzymy!

— Nic nam nie brak do takiego szczęścia, tylko tego co posiada panna młoda—majątku!

— Mogła wybierać podług serca!

— I wybrała! Patrz jak na niego spogląda!

I dwie nad zmudną robotą zapadłe piersi podniosły się wysoko i ciężko westchnęły!

Tymczasem cały orszak zbliżył się do powozów.

Maryusz pełnił służbę przy damach, otwierał drzwiczki i sadzał je koleją do powozów. Mimo tego zatrudnienia, które całej uwagi wymagało, patrzał od czasu do czasu na stojący zdala od bramy elegancki faetonik, którego latarnie iskrzyły się teraz jasnem światłem. Na koźle siedział stangret w czarnej liberyi i trzymał z pewną elegancyą parskające z niecierpliwości rumaki.

Kilku młodych mężczyzn patrzało także ciekawie na ten ekwipażyk—tylko kobiety zdawały się go nie widzieć...

I zanim jeszcze pan Maryusz jakikolwiek plan powziął, wysunęła się z tłumu piękna nieznajoma, zarzuciła z fantazyą ciepły szal na lewe ramię, wskoczyła do faetoniku i z przed oczu spektatorów jak widmo nagle zniknęła.

Panu Maryuszowi dziwnie zrobiło się koło serca. Nie był on tak młodym, aby zjawienie się, chociaż tak wyjątkowe, ładnej kobiety, sprawiło na nim jakieś głębsze wrażenie—nie był tak młody, aby z tego wrażenia rozmotał sobie nagle jaką tkankę pajęczą i do pasma żywota ją przywiązał—mimo to uczuł w tej chwili, że piękna nieznajoma wzbudziła w jego sercu jakąś strunę ukrytą, o której myślał, że już dawno i na zawsze zamilkła!...

W tej chwili uczuł na ramieniu rękę.

— Przepraszam, — rzekł do niego mały brunecik,— chciałem tylko pana zbudzić ze snu trochę — niebezpiecznego!

— Nie... wcale nie—replikował spiesznie Maryusz— podobały mi się tylko konie...

— Właścicielka tych koni jeszcze lepiej podobać się może!

— Któż ona jest?

— Ona.... ona.... jest wdówką! Młodą, bogatą wdówką! Dwadzieścia parę lat.....

— Złe mam wyobrażenie o tutejszych kawalerach...

— Ba! Nieprzystępna!

— Nieprzystępna?

— Nie dla tego, aby do siebie przystapić nie dała, ale dla tego, że właściwie do niej... przystąpić nie można!

— Cóż zawadza?

— Co zawadza?... Obcym właściwie nic nie zawadza!

Tutaj pociągnął ktoś Maryusza za rękę, aby z nim do powozu usiadł.

Pan Maryusz machinalnie usiadł na poduszkach, a nim znowu do swoich myśli mógł powrócić, już ciemność nocy ogarnęła go wkoło.

Turkot tylko powozów i karet i migające się na skrętach drogi światła przypominały mu, że orszak weselny wraca na uroczystą zabawę do Złotej Wiszni.

I za chwil kilka rozpoczęła się wesoła, szczera zabawa. W małżeństwie dzisiejszem nic nie raziło, czegoby w rozmowach unikać trzeba było, motywa dzisiejszego związku były czyste i szlachetne – nikt nie mógł tutaj żadnej stronie zarzucić prostego interesu—widziano tylko miłość wzajemną i parę stosownie dobraną. Przy tak sprzyjających warunkach i wesołość nie miała żadnych szkopułów, bawiono się szczerze i otwarcie.

Pani Augusta nie chciała zrazu tańców. Przy tak uroczystym akcie tańce wydawały się jej profanacyą. Ale młodsza generacya była innego zdania i zdanie to siłą i mocą przeparła w jednym rogu salonu, gdzie stał fortepian. Znalazła się także zaraz jakaś usłużna ciocia, która do fortepianu usiadła, a tego tylko wyczekiwali muzykanci z miasteczka, dotąd wstydliwie w krzakach akacyi ukryci.

I sama gospodyni domu nie wiedziała jak się to stało,

że w oka mgnieniu cały salon przemieniono w salę balową, po której puściły się wieńce różnobarwnych kwiatów....

Zabawa trwała do rana. Dopiero po drugiem śniadaniu rozjechali się goście, zostawiając nowożeńcom swoje błogosławieństwa.

Razem z sąsiadami odjechali także i trzej stryjowie pana młodego, dwie ciocie i dwaj wujeczno-stryjeczni bracia, którzy dla szyku na tę uroczystość ubogiego swego kuzynka zjechali.

W tem to kółku rodzinnem postanowiono, że nowożeńcy koniecznie pod rygorem kodeksu obyczajowego za granicę na kilka miesięcy wyjechać muszą, gdzie w Dreznie i w Paryżu mogą odwiedzić swoich krewnych tam mieszkających.

Jakkolwiek pani Augusta zrazu z tem się nie zgadzała, uległa jednak większości i w kilka dni ze łzami pożegnała tulącą się do niej Karolę i z macierzyńskiem uczuciem ucałowała głowę Zygmunta, którego za syna swego uważała.

Była tak wyrozumiałą na położenie Zygmunta, że Karoli nic pieniędzy na drogę nie dała, tylko ściskając jej męża, zawiesiła mu na szyi jako amulet szkaplerz poświęcony w Rzymie, w którym były zręcznie zaszyte tysiączkowe papiery bankowe....

I młoda para opuściła horyzont swojej parafii, jak jasny meteor, który na długo jeszcze zostawia jasną smugę i patrzących się na te smugę spektatorów olśniewa....

— Co za szczęśliwi ludzie!—mówili jedni do drugich.

— Dziwna rzecz, że to szczęście tak przypadkiem chodzi!... Albo pan Zygmunt spodziewał się takiego szczęścia!

— Nie miał nawet może prawa do niego!

— Ciekawa rzecz jaką drogą on do tego szczęścia przyszedł!

Na tem urywały się zapytania, bo trudno było na takie zapytania odpowiedzieć.

Może przyjaciel pana Zygmunta pan Maryusz mógłby na to odpowiedzieć, ale ten nie miał teraz czasu, bo zaraz po wyjeździe młodej pary zaczął w okolicy szukać dla siebie jakiej niewielkiej dzierżawki.

Zdaje się, że w pobliżu tak szczęśliwych ludzi chciał dłuższy czas zamieszkać, a że byli szczęśliwi, świadczyły o tem teraz listy pisywane z zagranicy przez Karolę i Zygmunta do swoich dawnych znajomych.

Według tych listów, nie było na całej kuli ziemskiej szczęśliwszych od nich ludzi, a nawet wszystkie ciocie i wujowie jednej i drugiej strony prześcigali się w odmalowaniu szczęścia, jakie tak rzadko staje się udziałem biednych, śmiertelnych ludzi!

— Ale jakim sposobem ten człowiek do takiego szczęścia przyszedł?—pytali młodzi kawalerowie powiatu, których właśnie to szczęście ominęło.

VI.

Droga, jaką Zygmunt do tego szczęścia doszedł, była bardzo zwyczajna. Jest ona szeroka i dobrze wydeptana, bo wielu młodych ludzi chodzi u nas taką drogą.

Zygmunt był synem dosyć zamożnych rodziców. Ojciec jednak nie poczuwał się do żadnych obowiązków względem potomności, może z tej prostej przyczyny, że ta potomność nic dla niego nie uczyniła. Wziął więc za cały cel życia osobiste swoje przyjemności. O przyszłości swego jedynaka myślał o tyle, o ile to przyczyniało się do podniesienia domu na pewną stopę pańską.

Sprowadził bonę francuzkę, aby w sąsiedztwie o tem mówili, sprowadził nawet potem jakiegoś francuza, aby także to go z pomiędzy sąsiadów wyróżniało.

W tymże samym celu odbywał podróże za granicę, jeździł do wód najdroższych i najmodniejszych, dla rozmaitości grywał w karty i chował konie dla wyścigów.

Tyle dobrych rzeczy na raz nie wytrzymała fortuna szlachecka, a że wtedy nie było jeszcze ani synekur autonomicznych, ani banków narodowych, ani nawet niemożna było Verwaltungsratem przy kolei żelaznej zostać—więc trzeba było pogodzić się z losem bankruta.

Był to jednak za twardy los dla byłego przyjaciela i towarzysza księcia Polikarpa, a zhardziała w takich stosunkach dusza nie chciała wziąść na kark jarzma ubóstwa a tem bardziej pracy jakiej! Powaśniła się więc z ciałem swojem i pewnego pięknego poranku rozstała się z niem na zawsze.

Matka Zygmunta oddawszy majątek dłużnikom, odprawiła francuza i anglika, i z małym fundusikiem przeniosła się do zamiejskiego dworku miasta powiatowego, gdzie Zygmunt wszedł do szkół publicznych.

Twarda była to szkoła dla rozpieszczonego jedynaka, który dawniej zaledwo równych sobie pozycyą towarzyską widział, a dzisiaj musiał się bratać z kolegą, jakiegoby dawniej znać nie chciał.

Pomogła jednak Zygmuntowi do tej zmiany życia dobra jego natura. Mimo najgorszego przykładu, jakiego dostarczało mu dawne jego otoczenie, był to chłopiec cichy i zacny i bardzo łatwo zastosował się do swego nowego położenia. Miał instynkta piękne i szlachetne i bez żadnej odrazy zaprzyjaźnił się od razu ze swemi kolegami, którzy wyżej w nauce stali i chętnie mu pomocy swojej udzielali.

Dobry ten wpływ szkoły publicznej psuła wprawdzie matka od czasu do czasu. Przypominała mu zawsze dawne domu stosunki i zachęcała go tylko do takich przyjaźni, które tych stosunków godne były.

Przyjaźni takiej nie było w miasteczku powiatowem, młody Zygmuś musiał poprzetać na tem, co szkoła miała najlepszego ale oraz i najzacniejszego.

Zdaje się nawet że opatrzność chciała całkiem w swoje ręce wziąść wychowanie poczciwego sieroty i uwolnić go od złych pokus, które od matki pochodziły... matka bowiem Zygmunta, zaziębiwszy się w służbie księżnej w ce-

łach dobroczynności, położyła się do łóżka, słabą ręką pobłogosławiła synowi i na zawsze zasnęła.

Zygmunt miał wtedy zaledwie lat trzynaście.

Zaraz na drugi dzień nadeszły od pozostałych krewnych pieniądze na pogrzeb, którym już się była zajęła żona jakiegoś biednego kancelisty, współlokatorka nieboszczki, a biednemu Zygmuntowi wszył żydek do czarnego tużurka białą tasiemkę.

Tak zakończył swoją karyerę dom niegdyś dosyć zamożny i świetnością błyszczący, a biedny Zygmunt, z białą tasiemką przy wyszarzanym tużurku, byłby niezawodnie pozostał na opiece biednego kancelisty, z synem którego łączyła go przyjaźń koleżeńska, gdyby we dwa tygodnie nie był dyrektor gimnazyalny do siebie go zawołał i nie oświadczył mu, że między krewnymi znalazł się dobrodziej, który jego przyszłośc ą opiekować się zamierza.

Szczęściem dla Zygmunta że ten dobrodziej nie zawezwał go do siebie, nie posadził go przy swoim stole, nie przydał mu do obsługi osobnego lokaja i nie wprowadził go do stosunków swego domu. W takim razie Zygmunt wyrósłby niezawodnie na dostojnego panicza, umiałby z szykiem się ubierać, drogie cygara palić, polowania i tańce urządzać a przedewszystkiem umiałby bratać się z samemi dostojnemi osobami, nazywając je po imieniu chrzestnem. W gruncie jednak stałby się z niego próżniak, będący plagą każdego prawie dworu, a jako taki mógłby popaść w jak najgorsze nałogi.

Było to nie mało szczęścia dla sieroty, że bogaty krewny tego nie uczynił. Mniejsza o to, czy to robił z głębokiego pojęcia rzeczy czy też mniej szlachetne pobudki miał do tego. Dosyć, że całą opiekę swoją ograniczył na tem, że na utrzymanie Zygmunta do pewnego czasu przeznaczył

stosowną pensyjkę a dyrektorowi szkół zostawił wolną rękę, w jaki sposób tej pensyjki dla swego ucznia użyje.

Dyrektor był to zacny człowiek. Powiedziawszy o tem Zygmuntowi, zajął się po ojcowsku jego losem.

Umieściwszy go u jednego z nauczycieli, zatrzymał sam nadzór nad nim i od czasu do czasu upominał go do pilności, dowodząc że tą tylko drogą może coś znaleść w świecie dla siebie.

Zacna natura biednego sieroty umiała i z tego nowego nieszczęścia skorzystać. Osamotniony teraz zupełnie na świecie, tem więcej zbliżył się do nowych towarzyszy swoich i wszedł z nimi w związki tkliwej przyjaźni, która mu miłość macierzyńską zastąpić miała. Ponieważ zaś nauczyciel i dyrektor tem pięknem uczuciem rozsądnie kierowali, ustrzegł się Zygmunt niebezpiecznych szkopułów podobnych przyjaźni, które niejednego młodzieńca na złe drogi zaprowadziły.

Gdyby kto wychowanie dzisiejsze młodzieńca z możliwem wychowaniem w domu rodzicielskim przy błyszczących nawet pozorach chciał porównać, musiałby przyjść do tego przekonania, że wszelkie tragiczne katastrofy tego domu mogły być tylko dobrodziejstwem dla dorastającego potomka.

Zygmunt teraz bowiem włożył się do nauk i szlachetną emulacyą chciał nawet innych przewyższyć. A podczas gdy się umysł jego w zasoby wiedzy i nauki zaopatrywał, nie leżały odłogiem szlachetne jege uczucia, bo w nowym związku całego swego otoczenia znajdowały dla siebie pożywczy pokarm.

W wyższych klasach grono najzacniejszej młodzieży zawiązało się w rodzaj związku wzajemnej pomocy i wzajemnego uszlachetniania się, a Zygmunt był między pierwszymi, którzy tę myśl piękną podnieśli.

W gronie tem odznaczał się Zygmunt nadzwyczajną pracą i poświęceniem się dla drugich. Z tego powodu lubiony był powszechnie.

Młodość w parze z tak szlachetnemi uczuciami urobiła całą jego postać na postać pięknego młodzieńca. Malowało się to na jego twarzy, w jego oczach, we wszystkich ruchach. Widny tam był szlachetny zapał do wszystkiego co dobre i piękne, zacne i poczciwe serce, a nawet rozsądek niepośledni.

Postępując tą drogą dalej byłby Zygmunt wyszedł na pożytecznego członka swego społeczeństwa, byłby może mniej głośny w granicach parafii i na zjazdach jarmarcznych, ale za to byłby nietylko pracowitym żywotem na miłość i poważanie sobie zasłużył, ale byłby nawet zatarł większą część grzechów przodków swoich, którzy tylko grosz polski umieli po zagranicznych hotelach rozrzucać.

Wszystko to byłoby się stało, gdyby nowemu, przez opatrzność prawie zrządzonemu biegowi rzeczy nie przeszkodziły pozostałe reminiscencye tego, od czego właśnie przebyte katastrofy domu go uwolniły.

Było to jakoś podczas karnawału, gdy do stolicy kraju przyjechała na zabawę daleka jego krewna.

Zygmunt był wtedy uczniem uniwersytetu i miał lat dwadzieścia kilka. Był to bardzo przystojny młodzian. Lekki zarost ocienił mu twarz, ciemne oczy przybrały wyraz szlachetny. Wysmukła postać i swobodne ruchy nadawały mu pewien urok, jaki cechuje człowieka pewnego siebie i stojącego w świecie na pewnych, własnych nogach.

Krewna obaczyła dorodnego młodzieńca i zdumiała się, że jest tak piękny, dorodny i rozsądny. Zaprosiła go nawet do swego stołu, aby się nim w towarzystwie swojem poszczycić. Towarzystwo to znalazło Zygmunta „bardzo dobrze“ i zaledwie kilka tygodni karnawału minęło, był już

Zygmunt bohaterem pewnych bawiących się kółek, urządzał tańce, zakupywał nagrody do kotyliona, słowem robił wszystko do czego go zawezwano, i tylko to miano mu do zarzucenia, że się jeszcze—nie kochał!

Zrazu uważał to Zygmunt za zabawę karnawałową, która wkrótce ustanie, a po której znowu będzie można wrócić do książki.

Inaczej jednak myślała krewna.

Widząc takie nadzwyczajne sukcessa Zygmunta—zawołała go przy końcu karnawału do siebie i jako opiekunka wspólnego rodu przemówiła do niego w te słowa:

— Jestem krewną najbliższą nieboszczki matki twojej i nieobojętną jest mi twoja przyszłość. Powiedz mi co zamyślasz robić?

— Najprzód skończę uniwersytet,—odpowiedział spokojnie Zygmunt.

— A potem?

— Potem—obejrzę się za jakiem zatrudnieniem, z którego mógłbym mieć kawałek chleba.

— I czemże możesz zostać?

— Dokąd dojdę—tego nie wiem, ale zacznę zapewne albo od praktyki sądowej, albo będę się starał zostać nauczycielem, a gdy mi szczęście posłuży, mogę nawet zamarzyć o katedrze przy uniwersytecie! W odwodzie jeszcze mógłbym mieć widoki na adwokaturę i urząd notaryusza.

— I to wszystko?

— A tak.... prawie wszystko!

Krewna rozśmiała się.

— Wszystko to razem wziąwszy nie wiele obiecuje chleba. Radzca sądowy i professor mają zaledwie tyle, aby z głodu nie umrzeć—adwokaci już dzisiaj majątków nie robią, a o notaryuszach już nic nie mówię! Jakaż więc karyera czeka cię po tylu latach mozolnej nauki?

Zygmunt ruszył ramionami.

— Karyera wprawdzie materyalnie nie świetna, ale przecież coś robić trzeba!—odrzekł po chwili.

— Pojmuję, że dawniej nawet wyższa szlachta, a nawet członkowie dynastyi wstępywali do służby publicznej lub kazali się wyświęcać na księży, ale na to tylko, aby posiąść najwyższe dygnitarstwa tak w kraju jak i w kościele. Dzisiaj, gdy każdy syn kmiecy ma równe z tobą prawo, a nawet często i lepsze od ciebie, bo więcej umie....

— Staram się właśnie o to, abym nie mniej umiał od innych!

— Wszystko to nic nie znaczy! Zresztą nie jest wcale chlubą dla rodziny, jeżeli ma członka gdzieś na niskim stopniu hierarchii urzędniczej...

— Jeżeli inaczej być nie może!...

— Jakto, inaczej być nie może! Trzeba przecież szukać jakichś dróg, które wyżej niżeli do radztwa prowadzą!

— Takich dróg nie widzę!

— Jesteś młody — przystojny — podobasz się powszechnie...

Zygmunt spuścił oczy.

— Panna z dostatnim majątkiem może się w tobie zakochać, możesz dojść do fortuny i naprawić to, co ojciec twój tak lekkomyślnie był popsuł!

Zygmunt westchnął.

— Przecież muszę czemś być — odrzekł po chwili— muszę pierwej zająć pewne stanowisko choćby najniższe w hierarchii społecznej!

— Twoja młodość i uroda, twoje kolligacye, twoja zresztą ogłada towarzyska są dostatecznym kapitałem.

Rozśmiał się Zygmunt i potrząsł głową.

— Nie wierzysz temu? — mówiła dalej podraźniona

krewna—to widać, że nie masz żadnego doświadczenia. Żadna panna z ziemskim majątkiem nie popatrzy się na ciebie, gdy do niej przyjedziesz jako praktykant sądowy lub docent gimnazyalny;—inżynierowie, którzy koleje budują, czynią niektóre wyjątki, bo przy tem są znaczne zarobki—ale inaczej rzecz się przedstawi, gdy w karecie kuzynki lub stryjaszka zajedziesz przed ganek, jako człowiek niczem nieskrępowany, mający świetne kolligacye i kto wie co w dodatku do tego. Przecież są bogaci stryjaszkowie, są ciocie i kuzynki, a nawet może i we własnej kieszeni co jest, bo któż tam zagląda?...

— To byłoby poprostu uganianiem za tem, czego się nie zasłużyło!

— A jeżeli gwałtem szczęście do ciebie pchać się będzie—czy będziesz je odpychał dla tego, że według swego rozumienia rzeczy nie zasłużyłeś na nie?

Zygmunt zamyślił się.

— Idź teraz i pomyśl nad tem dobrze. Nie chcę abyś miał mi co do wyrzucenia. Kończ dalej kurs prawniczy i filologiczny a na ferye przyjedź do mnie. Jest tam w sąsiedztwie kilka panien posażnych, a jeżeli dobry skutek moją radę potwierdzi, uwalniam cię naprzód od wszelkiej wdzięczności.

Pani Zenejda z Korybutów podała drobną, arystokratyczną rączkę oszołomionemu Zygmuntowi i pożegnała go do lepszego namysłu.

Zygmunt wrócił do ubogiego pokoiku, gdzie na niego czekały pandekta i autorowie greccy—ale dzisiaj jakoś nie mógł tknąć ani jednych, ani drugich!

Rumienił się przed sobą na samą myśl, że w tak niegodny sposób chciałby wygodny kawałek chleba ułowić. Sumienie jego pod tym względem było tak subtelne, tyle poczucia godności własnej było w jego duszy, że wzdrygał

się na samo marzenie o takiej, jaką mu krewna zalecała karyerze.

Tak było z początku. Ale Zygmunt nie był Ś-tym Antonim, który z taką wytrwałością pokonywał wszystkie pokusy czarta, a nawet takie, które w postaci pięknej kobiety na niego uderzały!

Zygmunt miał lat dwadzieścia kilka, a lata te w parze z młodością nieroztrwonioną były już same przez się większą pokusą od tych wszystkich, któremi kuszony był Św. Antoni w wieku daleko dojrzalszym.

To też rzucone przez kuzynkę ziarno zaczęło powoli się rozrastać, chociaż Zygmunt sam o tem nie wiedział.

Pomiędzy pandekta i greckich autorów zaczęły powoli wchodzić jakieś dziwne postacie rusałek złotowłosych, które to na paragrafach siadały, to na rozdziałach rozkosznie się wieszały!...

Nawet w zgromadzeniach koleżeńskich nie dawały mu spokoju. Skakały po głowach towarzyszy i wyszczerzały do niego białe jak perły zęby, albo co gorsza, odsłaniały pulchne ramiona, aby inne nieświadome wdzięki zakryć przed okiem ciekawem.:..

A ciekawość młodziana była coraz większa, coraz natrętniejsza i doszło w końcu do tego, że Zygmunt w podobnych marzeniach i obrazach nietylko nic złego nie widział, ale uznawał je nawet za bardzo naturalne.

I rzeczywiście nic mu w tym względzie zarzucić nie można—chodziło tylko o drogę, jaką do urzeczywistnienia tych marzeń i obrazów podążał.

Bieżący kurs uniwersytetu skończył się jeszcze jako tako, chociaż już nie z takim sukcessem, jak inne. Zygmunt przypisywał to trochę surowości professora, trochę przypadkowi, ale właściwego powodu sam przed sobą nie wyjawiał.

Nadeszły ferye. Zygmunt przypomniał sobie zaproszenie pani Zenejdy z Korybutów.

Zrazu zarumienił się na to przypomnienie. Wytłumaczył jednak sobie, że przecież niekoniecznie w tym celu do krewnej jedzie, w jakim go zapraszała.

— Pojadę,—mówił głośno do siebie,—wypocznę trochę po naukach, albo nawet wezmę z sobą książki do pracy, a potem wrócę z nowemi siłami do szkoły!

Jak powiedział, tak też i zrobił.

Za kilka dni był już w pięknym dworze czy raczej pałacu pani Zenejdy z Korybutów, dostał w oficynie dwa ładne pokoiki i osobnego chłopca do obsługi. Prócz tego dostał wierzchowca, ładny wózek amerykański i parę siwek wraz ze stangretem w liberyi.

Przy takich akcessoryach śmiertelnego człowieka, ozwała się w piersi Zygmunta krew Korybutów, którzy przecież coś więcej warci byli od zwykłych ludzi tego świata... Usiadł na koźle, przerzucił stangreta za siebie, i jakby był stworzony na wielkiego koniuszego państwa niebieskiego, z taką zręcznością siwkami w koło dziedzińca zatoczył, że pani Zenejda z Korybutów o mało co nie zemdlała z radości!

— I ty myślisz,—rzekła do niego,—że w żyłach masz krew zwykłych gryzipiórków? Czy ty sam nie czujesz, że krew twoja to więcej niżeli złoto!

Zygmunt uśmiechał się zrazu na taką filozofię pani Zenejdy z Korybutów, czasami nawet coś jej odpowiadał, z czego kuzynka wcale zadowoloną nie była, ale stosując się do trybu życia we dworze, jeździł z kuzynką po sąsiedztwach i tam panienki jak mógł, choćby z grzeczności tylko, zabawiał!

Z początku nużyło go takie jałowe życie, brał pandekta i autorów greckich do ręki, ale z czasem pojawił się

dla tych antydotów nudów tak niebezpieczny nieprzyjaciel, jakim nawet nie był ów szatan-kobieta, który Ś-go Antoniego tak natarczywie kusił.

Była to mała, niepokaźna, ale nadzwyczaj żywa istotka z jasnemi włosami. Miała oczy przy tem czarne, nosek trochę do góry zadarty i mnóstwo figlarnych dołków na ładnym buziaku. W dodatku do tych wdzięków była jedynaczką, a papa dobrodziej miał dwie wioski czyste, bez żadnych hypotecznych i sekretnych długów.

Przy pierwszem spotkaniu zaśmiała się ta mała istotka do Zygmunta swemi czarnemi oczkami, pokazała mu najpiękniejsze dołki na swoim buziaku, a gdy jeszcze to i owo z minką figlarną mu powiedziała, biedny doktorant odjechał zamyślony do swoich pokoików w oficynach krewnej i przez trzy dni ani pandektów do rąk nie wziął, ani o greckich autorach nie pomyślał.

I taki stan rzeczy trwał przez kilka tygodni. Wózek amerykański i siwki przebiegały prawie co drugi dzień jednomilową przestrzeń pomiędzy dworem pani Zenejdy a wysokim orzechem w ogrodzie nad strumykiem, gdzie zazwyczaj czekał na tę wizytę wesoły, jasnowłosy aniołek.

Zygmunt zrobił się teraz nadzwyczaj tkliwym i czułym, próbował nawet w wolnych chwiłach wiersze składać i kto wie, czy literatura nasza nie miałaby o jednego więcej z tych poetów, którzy przy wstępie zapowiadają się geniuszami a kończą na pisaniu do gazet inseratów wierszami...

Pani Zenejda z Korybutów postarała się, aby kiełkującego poetę przerzucić na pole realniejsze. Powiedziała mu, że początek dobry i że trzeba z tak dobrego początku dalej korzystać. Panna Symforyna była widocznie nim zajętą, dla tego powinien się o jeden krok dalej posunąć.

Zygmunt usłuchał cioteczki i z wielkim szafunkiem wszystkich sił swoich powiedział coś pannie, na co ona

oczy nieśmiało spuściła i końcem wstążki bawić się zaczęła.

— Ale pan nie odjedziesz od nas na karnawał?—rzekła do niego podnosząc czarne duże oczy.

— Dla czego pani o to pyta, pomijając moje zapytanie?

— Bo na zapytania pana chciałam dopiero odpowiedzieć w pierwszym... nie w ostatnim walcu!

Innej odpowiedzi nie można było dostać, ale dodając do tej, jaką się usłyszało, różne należące do niej akcessorya, jako to: spojrzenia czarnych oczu, dźwięk głosu, lekki rumieniec na twarzy i mnóstwo najrozkoszniejszych dołków, które tylko w chwilach wyjątkowych pojawiały się na tym prześlicznym buziaku, uznał Zygmunt za stosowne zostać na karnawał, a zapomnieć o poczynającym się kursie prawniczym.

Zapomnienie to przyjęła ciotunia z cichą radością, ciesząc się w duchu, że familiant nie będzie jej nazwiska poniewierał po biurach urzędowych.

I nastały w życiu Zygmunta dni tak cudownych rozkoszy o jakich tylko w tysiącu i jednej nocy czytać można!

Jak piękny amerykański motyl ze złotemi skrzydłami koło róży cudownie rozkwitłej, tak krążył ustawicznie Zygmunt w koło panny Symforyny, czy to na jakiej domowej zabawie, czy choćby w kościele parafialnym.

Wszystkie panny całego powiatu zazdrościły pewnie takiego okazałego motyla, który nieustannem krążeniem swojem zwracał wszystkich oczy na pannę Symforynę.

I stało się, że nawet epuzerowie z odległych powiatów obaczyli teraz pannę Symforynę i choćby z ciekawości tylko zjeżdżali się do niej, powiększając orszak jej wielbicieli.

Zygmunt cieszył się z razu, że wybrana przez niego

istota tak wszystkich olśniewa i zachwyca, a widząc w koło niej adoratorów, wybijających z największem wysileniem kunsztowne hołubce, uśmiechał się z politowaniem nad tym daremnym trudem, o którym nieraz z lekceważeniem mówiła przed nim panna Symforyna. Litował się nad biednymi gladyatorami, którzy napróżno szermierzyli i bez laurów odejść mieli z areny, jak mu to jasno dawała do poznania figlarna Symforcia.

W taki sposób przeminął cały długi karnawał. W sąsiedztwach było wiele zabaw, były nawet małe kuligi, i miasto powiatowe urządziło kilka zebrań większych na cele dobroczynne. Symforyna miała na tych wszystkich zabawach najlepszego w całym powiecie tancerza, przy którym zwracała wszystkich oczy na siebie... Zygmuntowi zaś zdawało się, że w objęciach tego małego aniołka leci wprost do nieba i tylko po drodze oglądał się za kościołkiem parafialnym, w którym oddanoby mu tego aniołka legalnie na całe życie!...

Tymczasem stała się rzecz dziwna. W drodze do tego nieba, o którem właśnie marzył Zygmunt, wymknął mu się cicho aniołek i wybrał sobie innego towarzysza, który ani tak ładnie nie tańczył, ani przystojnym nie był, ani nie umiał tego co Zygmunt, ale za to miał ładną fortunę i bezdzietnego stryjaszka.

Zrazu nie chciał Zygmunt wierzyć oczom swoim, nie chciał wierzyć temu co słyszał i wyraźnie o to zapytał pannę Symforynę.

Panna Symforyna odpowiedziała mu dzisiaj bez dołków na buziaku, że się zapewnie mylił, że tańcząc z nim polkę trotteuse nie domyślała się nigdy jego intencyi i że nigdy nic w tej mierze nie obiecywała...

Zygmunt odszedł zraniony, z rozpaczą w sercu i miał przed sobą tylko dwie drogi. Mógł zostać poetą lirycznym

albo wrócić do pandektów. Ale były powody że ani jednej ani drugiej drogi nie wybrał.

Do lirycznej poezyi brakło mu jakiego takiego talentu, do pandektów już nie miał odwagi.

Koledzy jego posunęli się już o rok wyżej, on nie mógłby tego przenieść, aby o cały rok w tyle za nimi pozostał! Był to wstyd fałszywy, ale Zygmunt właśnie miał w sobie tyle dumy czy pychy odziedziczonej, że nie zniósłby żadnego poniżenia. A to właśnie uważał za poniżenie, że kolegom kroku nie dotrzymał, że teraz za nimi chce zdążać o przestrzeń całego roku i być w tyle, podczas gdy pierwej stał zawsze na przedzie.

Do tego przyłączył się jeszcze wstyd z przegranej.

Panna Symforyna rozpowiedziała wszystkim przyjaciółkom swoim, że Zygmuntowi dała odkosza, że biedny rozpacza za nią, że klękał przed nią i błagał litości... słowem opowiadała dla powiększenia swoich tryumfów to co było i czego nie było.

Zygmunt z zadziwieniem dowiadywał się o tem, ale zaprzeczać nie mógł temu wszystkiemu, bo to nawet na nic by się nie przydało. Przekonał się tylko, że dla panny Symforyny służył za wygodne narzędzie zwrócenia na siebie uwagi jakiego lepszego epuzera, i że tę poruczoną mu rolę odegrał z jak największą sumiennością i taktem niezwykłym.

To wykurowało go właśnie od cierpień serdecznych, bo się dowiedział, że panna Symforyna nigdy go nie kochała, a miał znowu za wiele rozumu zdrowego, aby po takiem wyjaśnieniu kwilić u stóp bezdusznej, wyrachowanej nad wiek kobiety, która pozłacane swe serduszko położyła na ladzie sklepowej jako towar powszedni.

Wstyd, że tak haniebnie dał się w pole wywieść, niepozwalał mu stanąć przed oczy kolegów — a zrobiwszy już

na pochyłej drodze krok jeden, musiał tą pochyłością dalej kroczyć.

Ale ta pochyłość miała jeszcze różne bardzo bolesne przeszkody, które trzeba było przebywać.

Zaraz po tej katastrofie zawołała go pani Zenejda z Korybutów do swego buduaru, zapłakała nad nim i rzekła:

— Stało się nieszczęście, ale któż mógł przewidzieć? Były wszelkie pozory że ci sprzyja! a nawet ze mną o tem kilkakrotnie mówiła. Tymczasem użyto cię tylko na wabika i potem odpędzono jak dudka!

Zygmunt poczerwieniał na twarzy.

— Gdybym to był przewidział! odparł i westchnął głęboko.

— Ale to nic nie szkodzi, masz doświadczenie a z tem będzie ci lepiej. Najgorsza sprawa jest ta, że po takiej fatalnej rekuzie nie możesz już w tym powiecie zostać!

— Przecież ja pannie Symforynie nie oświadczałem się wyraźnie!

— To wszystko jedno. Gdybyś nawet nie myślał o tem, to panna, do której się zbliżasz, opowiada przezroczystym stylem, że się w niej kochasz, że się oświadczyłeś...

Zygmunt zacisnął pięść i tupnął nogą. Cioteczka roześmiała się.

— Niech cię to bynajmniej nie gniewa—trzeba piękne w takim razie płacić nadobnem!... Trzeba z odwagą prowadzić tę grę, póki nie zaszachujesz—królowej!

— Dałbym za to kilka lat z mego życia, gdybym był pozostał na uniwersytecie...

— Teraz przecież wracać do szkolnej ławki nie możesz!

— Ani myśleć!

— Trzeba więc dalej szczęścia próbować — tylko już nie w tym powiecie. U mnie już twoja karyera skończona!

Zygmunt pobladł na twarzy i przygryzł usta.

Widział teraz jasno, jak jeden fałszywy krok w życiu zagradza mu drogę zewsząd, którą chciałby powrócić do drogi uczciwej i prawej.

Czemże jest dzisiaj? Gdzież go postawił ten krok nieszczęsny? Czyż nie jest dzisiaj na tym samym punkcie, na którym zostawiła go śmierć ojca i matki?...

Pani Zenejda powiedziała mu, że w tym powiecie jego karyera skończona, i powiedziała bardzo słusznie. Ale gdzież on teraz pójdzie, co z sobą pocznie?

— Moja rada jest—mówiła dalej pani Zenejda—abyś pojechał do wuja Jerzego. Jest to dom zamożny, ma świetne w powiecie stanowisko, możesz więc pod jego opieką protekcyą znaleźć coś dla siebie, czegoś tu znaleźć nie mógł!

Twarz Zygmunta oblała się rumieńcem. Dotąd nie wyciągał nigdy ręki do bogatych krewnych, uważając taką pomoc za haniebną jałmużnę, do której nie uprawniało go ani kalectwo, ani żadne niedołęstwo. Pod tym względem był bardzo czuły, była to najsłabsza jego strona. Wolałby głód cierpieć, niżeli żebrać u krewnych.. będąc w sile wieku, mając przed sobą drogę do zarobku i pracy!

To też zarumienił się na samą myśl, że ma pojechać do bogatego wuja, z którym dotąd żadne nie wiązały go stosunki i miał do tego wuja wyciągnąć rękę po jałmużnę...

Wzdrygnął się cały i wstrząsł głową.

— Wolałbym umrzeć, niżeli pójść do kogo w tym wieku na chleb łaskawy!—zawołał z energią.

— Ależ o łaskawym chlebie nikt nie mówi! — odpowiedziała pani Zenejda — pojedziesz poprostu w gościnę—zabawisz niejaki czas—rozpatrzysz się w sąsiedztwie....

— Ba.... przecież nie mam swoich funduszów.

— O to mniejsza, przecież nie wypuszczę cię od siebie bez grosza — parę tysięcy nie zubożą mnie, a tobie mogą szczęście sprowadzić!...

Mówiąc to, wydobyła z biurka kilka grubych banknotów i włożyła mu w zanadrze, ściskając go przytem serdecznie.

Zygmunta rozczuliła do łez ta delikatna jałmużna pani Zenejdy, ucałował gorąco drobne rączki dobrodziejki i obiecał w gościnę do wuja pojechać. A sytuacya jego dzisiejsza zdawała się już odpowiadać wszelkim wymaganiom godności człowieczej, gdy kochana kuzynka do tej gościny ofiarowała mu ten sam wózek amerykański, te same siwki półkrwi angielkiej i tego samego stangreta ze złotym galonkiem przy kapeluszu, który tyle razy woził go ongi do panny Symforyny!

Z dobrą otuchą a nawet bez rumieńca na twarzy przyjechał Zygmunt do wuja, którego uściskał z całą powagą człowieka niezależnego.

Wuj przejrzał całą sprawę, zlustrował wózek, siwki, stangreta i kuzynka i uśmiechnął się nieznacznie. Zapytał Zygmunta o studya, i chciał wiedzieć, na co właściwie ofiarowała mu pani Zenejda ten wózek i tego stangreta z angielskiemi bakenbardami.

Zygmunt musiał się znowu rumienić, bo wstyd mu było przyznać się wujowi do swoich projektów.

Wuj kiwał długo głową, kazał w oficynach wyporządzić mały pokoik, a siwki i stangreta postawić na pół porcyi obroku.

Stangret i siwki poznali, że tu inny wiatr wieje. Zabaw sąsiedzkich nie było, kotyliona nie tańczono wcale, teatrów amatorskich nie grano. Zygmunt nie miał dla siebie żadnego pola, chociaż wuj codziennie wyprowadzał go w pole i pokazywał mu jak w dzikim stanie wygląda pszenna

bułka i jak się ziemię sprawia, aby ta bułka mogła się dostać do głodnej gęby.

Zygmunt skorzystał coś i na tem polu, ale to mu nie wystarczało. Trzeba było pomyśleć znowu o płodozmianie.

Ta myśl wywołała mu znowu rumieniec na twarz, ale rady innej nie było. Raz na pochyłości postawiona noga sunęła się sama naprzód, a ten do którego ona należała, nie miał już teraz żadnej władzy aby ją powstrzymać. Naprzód pędziła go fatalność pierwszego złego kroku, cofnąć się do dawnej drogi nie pozwalał wstyd fałszywy!

Po kilkomiesięcznej niby praktyce gospodarskiej, jak wuj zwykł mawiać—wyjechał Zygmunt do jakiejś zamożnej krewnej, którą z afektu wielkiego ciotką nazywał.

Od tego czasu zaczęła się wędrówka błędnego rycerza po różnych bogatych krewnych, a że krewni z Korybutów byli dosyć liczni, więc objazd taki mógł nawet trwać lat kilka.

I rzeczywiście przez lat cztery prowadził takie tułacze życie Zygmunt. Tułaczka taka po krewnych nie obeszła się bez tego, aby tu i owdzie nie zadraśnięto delikatnych uczuć jego, aby nie dano mu do poznania, że daremnie chleb cudzy zjada...

To rozbudziło tem więcej drażliwość tych uczuć i zrobiło go prawie nieznośnym w stosunkach. Podejrzywał wszystkich, że mu żałują kawałka chleba, który niby na wsi nic nie kosztuje, że nie są dosyć wyrozumiali na jego wyjątkowe położenie, i że w sposób bardzo dotkliwy dają mu do poznania, że go karmią!

Jakkolwiek drażliwość ta dla krewnych nie była wygodną, miała ona jednak grunt szlachetny. Zygmunt czuł w sobie dumę człowieka, który może być niezależnym, czuł, że taka niezależność potrzebną jest koniecznie dla człowieka wyżej sięgającego—a przez dziwne złudzenie czuł nawet

tę niezależność w sobie, chociaż do niej bynajmniej żadnego prawa nie miał.

Złudzenie to było jednak zawsze lepsze od zupełnego przytępienia godności męzkiej, jak to widzieć można u większej części próżniaków dworskich.

Zygmunt wierzył, chociaż także przez złudzenie, że ta niezależność jemu się należy, że ją kiedyś osiągnie i że do niej ma wszelkie prawo. Na czem jednak to prawo budował, o tem nikomu nie powiedział, chociaż widocznem było, że nie budował go na pracy osobistej, na nauce, bo to wszystko już dawno za sobą zostawił. Nie myślał nawet o tem, bo mu smutno było, że jego towarzysze już szkoły dawno pokończyli, a nawet niektórzy z nich wybitniejsze stanowiska w społeczeństwie pozajmowali.

Miał już rok dwudziesty ósmy, gdy przyjechał do domu czy raczej pałacu stryjecznego brata nieboszczyka ojca i u niego wraz z swoim taborem podróżnym się rozłożył.

Pan Nikodem był to człowiek bywały, miał dosyć ładną fortunkę a jeszcze ładniejsze stosunki pomiędzy bogatszą szlachtą. Poznał zaraz pismo nosem, a chociaż kuzynek nic mu nie mówił, tylko o swoich osobistych afektach wiele prawił, postanowił zająć się jego przyszłym losem.

O kilka mil mieszkała wdówka z jedynaczką. Wdowa była rządną, majątek dosyć okaźny. Nie było żądnych długów, nie było pańskich fumów — słowem było pole, na którem można było coś zrobić.

Pan Nikodem nic Zygmuntowi nie powiedział, tylko starannie obejrzał jego garderobę, wózek, siwki i stangreta. Niewszystko było w należytym stanie. Garderoba podstarzała się trochę, wózek nalegał na jedno koło, siwki nalegały na wszystkie nogi, a stangret chorował na chroniczną różę w nosie.

Powoli i zgrabnie uchylił pan Nikodem wszystkie te

niedogodności, a gdy potem jeszcze raz to wszystko obejrzał, uznał sprawę za dobrą. Osobliwie okazała i dorodna postawa Zygmunta obiecywała mu wiele. Przypomniał sobie że świętej pamięci ojciec jego tak samo wyglądał i że kobiety szalały za nim w kraju i za granicą. Potrzeba tylko było jeszcze dodać trochę szyku do tej dorodnej figury, a skutek mógł być pewny!

Jakoż wkrótce postarał się o to pan Nikodem. Ze stolicy nadeszła paczka, którą pan Nikodem podał z uśmiechem Zygmuntowi. Zygmunt otworzył paczkę i z rumieńcem na twarzy wyczytał na kartach wizytowych swoje imię i nazwisko z przydomkiem, po nad którym unosił się misternie rzeźbiony herb familijny, otoczony paliuszem książąt Wiszniowieckich.

Gdy Zygmunt ten herb z paliuszem książęcym (następnie królewskim) przed sobą ujrzał, jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy, bo taki właściwie mu się nie należał....

— Czy to....—zapytał stryja i zamilkł.

— Tak to — odparł z uśmiechem stryj i zawołał na służącego, aby czemprędzej do lekkiego powoziku zaprzęgał.

— Pojedziemy trochę z wizytami w sąsiedztwo, rzekł pan Nikodem do Zygmunta, a potem udamy się do miasta na nabożeństwo!

Wizyt takich wyczekiwał Zygmunt z niecierpliwością Robinsona, który jeszcze nie wiedział, jakich mieszkańców może mieć wyspa tajemnicza, na którą los go wyrzucił.

Pobiegł więc czemprędzej, aby się stosownie przebrać, a za godzinę sadziły już dziarskie anglezy z świecącym powozikiem po zwirowej drodze.

Były to właśnie pierwsze dni wiosny. W mieście po-

wiatowem odbywał się odpust, na który najczęściej zjeżdżało się całe sąsiedztwo.

Dla czego właśnie ten dzień wybrał do wizyt pan Nikodem, nie mógł zrazu Zygmunt zrozumieć. W sąsiedztwach bowiem nie zastano prawie nikogo, i wszędzie musiano poprzestać na zostawieniu dwóch kart wizytowych z równobrzmiącem nazwiskiem, tylko odmiennemi imionami chrzestnemi.

W mieście powiatowem było już prawie po nabożeństwie, gdy ekwipażyk pana Nikodema stanął przed farą.

Wstąpiono do kościoła aby się święconą wodą przeżegnać, potem udano się do restauracyi, aby się posilić, i przed wieczorem zdążono do domu, gdzie właśnie oczekiwał powracających z drogi smaczny obiadek.

Zygmunt nie był z tej wycieczki zadowolony. Nie przejrzał planu pana Nikodema i smutny odszedł do swego pokoju w oficynach, aby tam po zawodach dzisiejszych trochę wypocząć.

I nie przeczuwał wcale jakie błogie owoce wydawał tymczasem dobrze obmyślany plan pana Nikodema.

Wracające z odpustu sąsiedztwa odwiedzały siebie po drodze, a inne obrały sobie właśnie w tym dniu godziny poobiednie, aby obowiązkom sąsiedzkim zadość uczynić.

Gospodynie domu i odwiedzające matki z córkami, zastały wszędzie na stole dwie karty wizytowe z herbem owiniętym w paliusz książęcy. Jednego znano, drugiego nie znano...

— Zygmunt... Zygmunt... podawano sobie z ust do ust — któż jest ten pan Zygmunt?... zapewne siostrzeniec... kawaler...

I młode twarzyczki zamyślały się nad tym wschodzą-

cym kometą powiatu, którego one jeszcze dojrzeć nie mogły a jednak sercem już przeczuwały...

I przez dwa tygodnie o niczem innem nie mówiono w sąsiedztwach całego powiatu, jak tylko o tym niewidzianym jeszcze komecie, który zagroził niepokojem cały horyzont powiatowy...

Któż on jest? Jak wygląda? Czy tańczy, czy poluje, czy gra w karty? pytano zewsząd.

Ten i ów widział go gdzieś na drodze. Panna Klara spotkała go w mieście koło Białego Orła, a pani Włodzimierzowa była tak szczęśliwą, że jej podniósł szalik, który była upuściła przed magazynem bławatnym...

Jakże wygląda? Jakże wygląda?

Piotruś zaklinał się na wszystko, że jest człowiekiem dystyngowanym, że powozi końmi jak sam książe Władysław, a lokaja ubiera z szykiem prawdziwego gentlemana Panna Klara utrzymywała, że przystojniejszego młodego człowieka jeszcze nie widziała, choć co roku wyjeżdżała do Franzensbadu, gdzie zazwyczaj zbiera się grono przystojnych mężczyzn. Pani Włodzimierzowa unosiła się nad jego dobrem wychowaniem, które przebijało się w manierach jego, gdy jej upuszczony szalik podawał...

Słowem, niewidzialny dotąd kometa rósł coraz więcej w postać prawdziwego bohatera powiatu, a wszystkie kilkonastoletnie panny, chorujące na brak rzeczywistych ideałów, czuły podwójne serca bicie, gdy jego nazwisko nieopatrznie wymówiono.

I stało się, że ta wieść o nowym powiatu komecie doszła do matki Karoli. Karola odczytała w najbliższym sąsiedztwie wizytową kartę Zygmunta, obejrzała herb i paliusz, obejrzała także i odwrotną stronę i zamyślona położyła ją napowrót na marmurowej misie.

Powróciwszy do domu miała noc niespokojną. Na-

słuchała się wiele o panu Zygmuncie i chciała koniecznie z tego co słyszała, odtworzyć sobie jego postać.

Na jawie jakoś nie mogła tego dokonać, ale gdy oczy zmrużyła, stanął przed nią jakiś piękny Apollo, uśmiechał się do niej, a nawet kwiatki polne z czułem wejrzeniem jej podawał...

Sny takie i marzenia powtarzały się w ustroniu wiejskiem, przy szumie lip rozłożystych, w jednostajnej harmonii wiatrów coraz częściej z każdym dniem, aż w końcu stały się codzienną jej rozrywką. Niczego już tak gorąco nie pragnęła jak tylko tego, aby bohatera powiatu jak najprędzej na własne oczy obaczyć, i z tem porównać, co się o nim w zaciszy wiejskiej wyśniło.

I pewnego dnia stało się zadość tym gorącym pragnieniom. Pan Nikodem jakby o tem wiedział, przyjechał ze swoim kuzynkiem właśnie w tej chwili, gdy Karola z wielkim ferworem rozmawiała z matką o wielkim nieznajomym całego powiatu.

Okazało się teraz, że Zygmunt w rzeczywistości przewyższył wszystkie utajone rojenia. Nietylko bowiem był męzczyzną bardzo przystojnym, ale do tego przymiotu łączył drugi, nie bardzo zwykły między kawalerami powiatu: miał głębszą naukę, stał na podnioślejszym poziomie wyobrażeń, znał literaturę swojską i zagraniczną i w ogóle sprawiał wrażenie człowieka szlachetnego i statecznego.

Po dwugodzinnej rozmowie była Karola olśniona osobistemi zaletami nowego gościa, a wrażenie to odbijało się w całej jej postaci. Niemniej i po Zygmuncie można było poznać, że z szczególnem zajęciem z nią rozmawiał, że piękne jego oczy jaśniej błyszczały przy każdem wznioślejszem słówku, które z różowych usteczek nieśmiało się wymykało.

Pan Nikodem uśmiechał się patrząc na dobraną parę,

matka tylko, pani Augusta, nie okazywała żadnego widoczniejszego zajęcia.

Młoda para mogła się słusznie wzajemnie sobie podobać. Zygmunt był młody i przystojny, umiał i wiedział dziesięć razy więcej od wszystkich kawalerów powiatu, okazywał szlachetne wewnętrzne instynkta, i przewyższał wszystkich znajomych Karoli o całą głowę.

Karola należała do tak zwanych piękności powiatu, a jakkolwiek była jedynaczką dosyć pokaźną, nie miała owych ujemnych stron, jakie zazwyczaj wiążą się do podobnych bohaterek. Nie budowała na swoich wdziękach pałaców napowietrznych, nie marzyła o tak zwanem świetnem zamążpójściu, jak te słowa zazwyczaj podobne piękności rozumieją, nie wyczekiwała ani księcia ani hrabiego, nie kazała siebie obwozić po targowiskach Europy, aby tamże bodaj włoskiego conte podejrzanego stempla ułowić. Nie marzyła również o tem, aby przyszły mąż przewyższał ją jeżeli nie tytułem to przynajmniej majątkiem — słowem, była jedną z owych wyjątkowych dzisiaj dziewic, ktore w zaciszu wiejskiem pielęgnują jeszcze starannie prawdziwe kwiaty poezyi, które chcą kochać rzetelnie ale też i nawzajem chcą być rzetelnie ukochane.

Zygmuntowi, oprócz ostatniego kierunku drogi, jaką do szczęścia swego dążył, nic nie można było zarzucić. Pomiędzy tymi którzy taką drogą idą był on jeszcze brylantem i słusznie należało mu się miejsce w pięknem serduszku Karoli, jeżeli godniejszego w całym powiecie nie było.

To też samotna dziewczyna czekała z upragnieniem drugiej wizyty, a Zygmunt jakby to pragnienie odgadł, zjawił się na zawołanie i — jeszcze bardziej się podobał.

Nastąpiły teraz coraz częstsze spotkania młodej pary. Wiosna, poezya, natura pomagały zbliżeniu się ich serc ku sobie, a zanim księżyc cztery razy swoje rogi obrócił, pano-

wała między niemi już taka sympatya, że ją prawie miłością można było nazwać.

Gdy to matka spostrzegła, założyła swoje veto.

Zygmuntowi osobiście nie miała nic do zarzucenia. Podobał się jej, jako człowiek z głębszem wykształceniem i widocznym statkiem. Miała mu jednak do zarzucenia, że żadnego zawodu pracy sobie nie wybrał, a rozpoczętą karyerę porzucił. Słusznie dowodziła zmartwionej jedynaczce, że tak zwany „zawód obywatelski" nie jest żadnym zawodem, bo mogą być tylko ludzie pracowici i próżniacy.

Tego potrzeba było, aby rozżarzona namiętność wybuchnęła gwałtownym płomieniem.

Karola dostała spazmów, położyła się do łóżka i zaczęła na seryo chorować a Zygmunt dowiedział się po raz pierwszy w życiu, że się szczerze zakochał i że bez Karoli nie ma dla niego żadnego szczęścia!

W takim stanie rzeczy stosunek młodej pary przechodził różne perypecye, jakie w takim razie zwykle się wydarzają, a które tutaj jako nienależące do właściwego założenia powieści pominąć wypada.

Dosyć powiedzieć, że po półrocznej próbie zawinęła młoda, kochająca się para szczęśliwie do upragnionego portu.

W sąsiedztwie mniemano, że najwięcej przyczyniła się do tego familia pana Zygmunta, która w najświetniejszym komplecie zjechała się do pana Nikodema i opierającą się matkę Karoli świetnością swoją zwyciężyła.

Pani Auguście bowiem mogło to trochę podchlebiać, że do jej progów kołatali teraz ludzie, którzy dawniej jej nawet znać nie chcieli, gdyż do ich sfery nie należała.

Uległa więc w końcu — ale na ślubie zauważyli goście, że z pewnym naciskiem przy błogosławieństwie wyrzekła do Zygmunta:

— Przyjmuję cię za syna!

Miało to oznaczać: Jesteś sierotą, nie masz dachu, otóż przyjmuję cię do mego domu rodzinnego, jeżeli takiego domu nigdzie indziej znaleść nie mogłeś!

Kandydat do rady powiatowej widział nawet, że pani Augusta wymawiając te słowa, na krewnych Zygmunta spojrzała...

Taka była historya dzisiejszego szczęścia Zygmunta, historya wcale nienowa, bo bardzo często u nas się powtarzająca.

VII.

Państwo młodzi bawili już za granicą kilka miesięcy, a pani Augusta czekała niecierpliwie ich powrotu.

Wyjazdowi zagranicę sprzeciwiała się zrazu pani Augusta. Bezmyślny ten po większej części zwyczaj uważała w ogóle za zwyczaj bardzo szkodliwy. Koszta takiego wyjazdu nie odpowiadają bowiem częstokroć materyalnemu położeniu nowożeńców. Jestto co najmniej, lekkomyślna dekoracya teatralna przyczepiona do walącego się domku, lub do skromnej strzechy niepokaźnej fortuny.

Familia jednak pana młodego zażądała koniecznie tej dekoracyi, a pani Augusta ustąpiła w końcu, opierając się na powodach, które wyrozumowała sobie dla uspokojenia własnego sumienia.

Najprzód stan majątkowy Karoli pozwalał na taki nadzwyczajny wydatek, powtóre Karola nie widziała jeszcze obszerniejszego świata, a po trzecie—Zygmunta poznała jako człowieka statecznego, który nie mógłby poprzestać na zwiedzaniu z żoną magazynów mieszczących „hautes nouveautés“ i cyrków z sztukami konnemi, o czem zazwyczaj wracający nasi podróżnicy najwięcej mówią, ale prawdopodobnie mógł ją zapoznać z tem wszystkiem, czem

zagranica słusznie się szczyci, i co wpływa nie tylko na rozszerzenie horyzontu wiedzy, ale nawet i na ukształcenie wewnętrzne korzystnie oddziaływa.

Takie motywa zniewoliły ją do zezwolenia na wyjazd i uspokojona niemi czekała niecierpliwie powrotu ukochanych dzieci swoich.

Pobyt nowożeńców za granicą posłużył do tym śmielszych biuletynów wzajemnego ich szczęścia, jak to zwykle w takim razie bywa.

Jedne z tych biuletynów pochodziły od samej młodej pary. Karola pisywała często do matki, do krewnych i przyjaciółek długie listy, w których tyle było szczęścia i rozkoszy, że można było niemi bardzo obficie kilkanaście młodych małżeństw obdzielić. Nie miała nawet słów na określenie tego szczęścia i z coraz innego punkta rysowała idealną postać Zygmunta, który był najlepszy, najczulszy, najszlachetniejszy ze wszystkich młodych mężów całego świata! Nie umiała wypowiedzieć jak wielce ją kochał, a swojej ku niemu miłości nie chciała nawet świętokradzkiem piórem dotknąć, aby zamało nie powiedzieć!...

Zygmunt pisywał także podobne listy, w których miłość jego dla niezrównanej Karoli była bez granic, bez słów i wyrażeń, a szczęście jego z powodu uczuć w wyższy jeszcze sposób odwzajemnionych, było nawet już po za granicą zwykłego ludzkiego szczęścia na ziemi.

Z tych oryginalnych, urzędowych biuletynów, tworzyły się biuletyny prywatne, które jeszcze dalej sięgały. Krewni jednej i drugiej strony prześcigali się w hymnach na cześć wielkiej miłości młodej pary, a stare i młode panny, według własnych wierzeń swoich uzupełniały ją właściwą w takich razach koloraturą. Jedna z krewnych zapędziła się raz tak daleko w odmalowaniu prawdziwego szczęścia małżeńskiego młodej pary, że w licznem zgromadzeniu mó-

wiła o dziesięciu sznurach pereł uryańskich, tuzinie sukni z magazynu „belle jardinière", dyademie z brylantów wielkości orzecha z pracowni Chrystofla i tym podobnych hołdach małżeńskich! A gdy ktoś powiedział, że Zygmunt mimo nieograniczonej miłości swojej nie ma pieniędzy własnych na takie wydatki, poczciwa krewna była w niemałym ambarasie, w jakiby inny sposób odmalować prawdziwe szczęście ukochanej kobiety!..

Śród gradu takich biuletynów, w jakie zazwyczaj obfitują pierwsze miesiące młodego małżeństwa — nadeszły do Złotej Wiszni listy, zapowiadające rychły powrót młodej pary.

Gdy pani Augusta te listy odczytała, zapłakała prawie z radości, że ukochaną córkę i przysposobionego syna w swoich progach rodzinnych powita. Udzieliła zaraz tej wiadomości wszystkim domownikom zacząwszy od rządcy, a skończywszy na starym Onufrym, który głośnym płaczem ryknął, że ukochaną swoją pannę i kochanego pana Zygmunta obaczy. Był nawet za świetną bramą tryumfalną, za strzelaniem z moździerzy,—za podaniem chleba i soli, a nawet nicby przeciw temu nie miał, gdyby ksiądz proboszcz w ornacie i z kropidłem w ręku na kopiec graniczny wyszedł i państwo młode pokropił...

Sprzeciwił się jednak temu najstarszy krewny pani Augusty, który na powitanie młodej pary zjechał.

— Wracające do matki dzieci—rzekł do pani Augusty—należą wyłącznie do jej serca. Temu sercu nikt w tej chwili nie powinien ujmy czynić jakimkolwiek bądź zewnętrznym ceremoniałem. Matka przyjmie je z sercem otwartem, a to powinno dzieciom wystarczyć. Jeżeli pan Zygmunt kilkanaście lat z trudem i myślą szlachetną na tym zagonie pracy popracuje, jeżeli przez ten czas świadczyć będzie młodszej braci na zagonie tyle dobrego, że ta

bracia to dobro ujrzy i zrozumie, to wtedy może mu, gdy będzie do niej wracać, stawiać bramy tryumfalne, z moździerzy strzelać. Wierzę, że na takie strzały sobie kiedyś zasłuży, ale dzisiaj byłoby to dla niego niestosowne!

Pani Augusta uznała słowa Jmćpana Marcina za słuszne, a nawet prosiła go, aby je kilka razy przed starym Onufrym powtórzył, który od bramy tryumfalnej, strzelania z moździerzy i ornata proboszcza w żaden sposób odstąpić nie chciał.

Gdy stary Onufry z mrukiem od swoich postulatów odstąpił i tylko w skrytości duszy o serenadzie marzył, jaką razem z kucharzem i leśniczym ułożył, z których jeden grał na skrzypcach a drugi na gitarze, przyczem klarynet jego miał mieć niemałe powodzenie—przybliżył się pan Marcin do pani Augusty, patrząc uważnie, czy żadnych świadków nie ma.

Poczciwa twarz staruszka miała tak dziwny wyraz, że pani Augusta uczuła niepokój.

— Nie chciałbym mięszać się w domowe sprawy— rzekł bawiąc się frenzlą pasa—ale pani siostra nie weźmiesz mi tego za złe....

— Czy masz panie bracie co niedobrego? — zapytała szybko pani Augusta blednąc na twarzy.

— Uspokój się pani siostro—nic nie ma złego—tylko zbytnia moja troskliwość sprawiła, że się odezwać chciałem w pewnej sprawie.

— W jakiej sprawie?

— Państwo Zygmuntowie wracają jutro w progi rodzinne, gdzie ich czeka praca całego żywota! Dotąd o niczem nie słyszę, jak tylko o ich szczęściu!

— Są szczęśliwi, jak tylko ludzie szczęśliwi być mogą!

Jmćpan Marcin milczał chwilę.

— Szczęście ludzkie,—rzekł po chwili,—jest to młoda

roślinka, którą trzeba dobrze pielęgnować, aby w trwałe drzewo urosła i dobre owoce wydała!

Niepokój pani Augusty rósł coraz więcej. Ozwała się:

— Zdaje mi się, że u moich dzieci są wszelkie warunki szczęścia. Są młodzi i kochają się. Karolę znasz dobrze panie bracie, jest to dziecko szlachetnej duszy i pięknego serca. Zygmunta starałam się dobrze poznać. Wypadki życia i osierocenie jego nie pozwoliły mu wprawdzie dojść do jakiego czynnego zawodu życia, ale na drodze, którą przeszedł, nazbierał tyle wiedzy i nauki, że bardzo słusznie mógłby być przykładem każdego młodego człowieka. Jest rozsądny, stateczny, nie okazuje wstrętu do pracy, i ma bardzo piękne i szlachetne instynkta. Przy takich przymiotach może zająć poważniejsze stanowisko w powiecie. Karolę kocha jak tylko młody człowiek kochać może!...

Pan Marcin myślał czas niejaki, jakby walczył z sobą czy ma wszystko wypowiedzieć, czy pewną szczęścia kobietę zbyć jakim komunałem.

Przemogła jednak sumienność.

— Wierzę wraz z panią siostrą, — rzekł po niejakim czasie, że szczęście młodej pary ma pewne i niewzruszone podstawy. Mimo to do nas starszych wiekiem i doświadczeniem należy, nie olśniewać się tem co dzisiaj widzimy, ale szukać okiem tego, co w przyszłości temu szczęściu zagrażać może!

— Czy co widzisz panie bracie?

— Ja nic dzisiaj nie widzę, ale być może że jutro, pojutrze, za miesiąc, za rok lub później jeszcze pojawi się na jasnym horyzoncie mała ciemna plama, która może już dzisiaj istnieje jako niewidzialny punkt mały...

— Jakże walczyć przeciw temu, czego nie widzimy?

— Są rzeczy, których zwykłe oko nie widzi, ale o których mówić można, opierając się na doświadczeniu...

— Nie mogę się niczego domyślić.....

— Widać, że obcy ludzie prędzej domyślają się, bo w sąsiedztwie mówią już o tem, w sposób rozmaity.

— Nie trzymajże mnie panie bracie dłużej w takiem naprężeniu!

— Pan Zygmunt przedewszystkiem powinien mieć twardy i pewny grunt do przyszłej pracy swojej!

— Przecież tutaj tego gruntu mu nie braknie!

— Jeżeli człowiek chce czemś pożytecznem być w swoim zakresie, powinien najprzód być pewnym siebie i pewnemi nogami stać na swojem stanowisku.

— Znajdzie ze mnie grunt pewny, na którym nie będą go żadne kłopoty niepokoić. Długów nie mam!

— To niedosyć. Trzeba aby człowiek wiedział o tem, że je chleb swój własny, na który sam pracował, i że tem chlebem karmi swoich.

Pani Augusta spojrzała na krewnego z niepokojem.

— Ja przecież sytuacyi nie odmienię—rzekła po chwili namysłu—mogę co najwięcej uczynić ją znośną.

— Wierzę temu, ale to jeszcze nie dosyć. Należy to do psychologicznych tajemnic człowieka, że stosownie do tego co go otacza, urabia się albo w człowieka pożytecznego i rozsądnie czynnego, albo staje się biernym pasożytem i nigdy w stanowisko swoje korzeni nie zapuści...

— Jeżeli dobrze rozumiem, to jest tu mowa o tem, że Zygmunt nie ma własnego majątku, a na majątku żony mogą wyniknąć dla niego różne nieprzyjemności.. .

— Zgadłaś pani siostro — ale to nie tłumaczy jeszcze całej myśli mojej. Nieprzyjemności mogą być dwojakie. Jedne mogą z niego zrobić człowieka miękkiego, papinkowatego, który mając za darmo wszystkie wygody życia, zasmakuje w śnie gnusności, nie wykształci sił swoich, jakiemi Pan Bóg go obdarzył, i stanie się w stosunku do społe-

czeństwa takiem zerem, jakich wiele mamy w naszem sąsiedztwie. Figurują one tylko wtedy, gdy potrzeba weksel podpisać, żonę na jaką zabawę wywieść i w najlepszym razie dla uzupełnienia partyjki w karty zagrać. A to wszystko grozi nam bardzo smutną przyszłością!

— Zdaje mi się, że Zygmunt takim człowiekiem nie będzie!

— Sprzeciwia się nawet temu jego natura. On na pasku nie da się prowadzić — a ztąd mogą dla niego jeszcze gorsze rzeczy wyniknąć!

— Uchowaj Boże! Któżby chciał to zrobić!

— Sprawa jest bardzo delikatna. Nie można być dosyć przezornym, aby jakiego nieszczęścia nie sprowadzić. Jako powiernik różnych złych i dobrych rzeczy mam w tym względzie wiele smutnych doświadczeń.

Pani Augusta odetchnęła ciężko.

— Dobra rada przychodzi mi w sam czas—rzekła po chwili, — bo właśnie nad tem myślałam już nieraz! Zdaje mi się....

— Najprzód nie trzeba, jak to zwykle bywa, dać uczuć Zygmuntowi, że on nic nie ma, że to na czem siedzi nie należy do niego, ale do żony i matki. Nie mówię ażeby już ta przezorność teraz była potrzebna. Pierwsze miesiące a czasem i lata mają takie zasoby szczęścia, że przy nich żadne draśnięcie nie jest dotkliwe. Ale życie ludzkie składa się z dni słonecznych i chmurnych, otóż trzeba pilnie uważać, aby w dniach chmurnych nic nie zaszło takiego, coby zranić mogło. Rany bowiem takie nie goją się tak łatwo, a prawie zawsze przechodzą w ukrytą gangrenę, którą dopiero wtedy widzimy, gdy już jest nieuleczona!

Pani Augusta patrzała smutno przed siebie.

— Prócz tego, mówił dalej pan Marcin, nic tak człowieka nie osłabia jak brak pola, na którem mogłaby się

rozwinąć jego własna wola i energia. Jeżeli go tęgo pola pozbawimy, zabijamy w nim człowieka pożytecznego, a zrobimy z niego bezduszną i bezwolną lalkę!

— Uchowaj Boże, abym do tego dążyła!

— Każdy człowiek jest podejrzliwy, gdy spostrzega, że jego stanowisko ktoś w czemkolwiekbądź ogranicza. A im większą jest ta podejrzliwość, tem szlachetniejszy jest grunt w jego sercu, który trzeba uszanować. Jeżeli w takim razie nie chcesz pani siostra sprowadzić żadnych kolizyj, któreby niemiłe miały następstwa, to trzeba panu Zygmuntowi zaraz z początku dać szersze pole do działania, na którem nie spotkałby się z żadną choćby jak subtelną granicą swojej władzy a cudzej!

Pani Augusta myślała nad temi słowami czas niejaki. Twarz jej rozjaśniała się coraz więcej.

— Dziękuję ci panie bracie—rzekła po chwili — biorąc staruszka za rękę, żeś otwarcie ze mną mówił o rzeczy, nad którą od samego początku tego związku nieraz się zastanawiałam. Myślałam zrazu, że najlepiej będzie, jeżeli majątek mój oddam dzieciom, a sama przeniosę się do miasta. Po bliższym jednak namyśle odstąpiłam od tego. Najprzód pomnożyłoby to wydatki nasze w dwójnasób, powtóre nie chciałam na korzyść jedynej córki wydziedziczać się zaraz z wszystkiego, co na stosunek rodzinny potem bardzo szkodliwie wpływa, jak tego mamy smutne doświadczenia ..

— Bardzo słusznie! Starym rodzicom należy się dogodna emerytura pracy — a młodzi powinni takiej emerytury dorabiać się! Do tego wiąże się jeszcze i to, że starsza ręka jest zazwyczaj zachowawczą, podczas gdy młoda staje się czasem rozrzutną!

— Do tych względów przyczyniła się jeszcze i miłość moja macierzyńska. · Mając jedynaczkę i kochając ją nad

życie, nie mogłabym żyć w oddaleniu.... postanowiłam więc pozostać w majątku.

— Otóż to jest zazwyczaj dla matki najtrudniejsze stanowisko!

— Doświadczenie niestety uczy nas, że tak jest w istocie. Dla tego myślałam długo nad tem, jakimby sposobem obecność moją pomiędzy dziećmi ścieśnić do jak najmniejszej przestrzeni, któraby im w niczem nie zawadzała. W tym celu nawet rozmawiałam dzisiaj z rządcą. Rządca jest człowiek zacny i poczciwy i służy mi wiernie od lat dwudziestu. Powiedziałam mu, że rządy w domu i majątku obejmują od jutra dzieci moje i we wszystkiem kazałam mu odnosić się do nich, to jest co się tyczy gospodarstwa kobiecego do Karoli, a w innych wypadkach do Zygmunta.

— Bardzo słusznie. To nie przeszkadza abyś pani doświadczeniem swojem nie dopomogła młodym.

— Postanowiłam z tą pomocą być przezorną.

— Cieszy mnie to, żeś pani zrozumiała stanowisko rzeczy!

— Ażeby jeszcze więcej pochwał od dobrodzieja usłyszeć, pokażę mu jeszcze różne drobne urządzenia, które przygotowałam na przyjazd młodej pary.

Rzekłszy tą podała pani Augusta rękę panu Marcinowi i poprowadziła go w głąb komnat dworskich.

— Widzisz panie bracie,—rzekła do niego zatrzymując się w pięknym saloniku—tu dawniej było moje mieszkanie. Odstąpiłam je Karoli. Kazałam dać nowe meble, firanki i portyery, tak że z dawnego mego siedliska nic nie pozostało. Za tym buduarem są pokoje przeznaczone dla służby mojej córki. Chodźmy na drugą stronę salonu.

— Widzę w tem szlachetne i rozsądne serce matki!—odrzekł pan Marcin z zadowoleniem.

— A tutaj widzisz dobrodzieju, są pokoje Zygmunta. Wszystko nowe i świeże. Nic mu tu nie przypomina, że przychodzi na gotowe, uścielone miejsca dawnego właściciela. Nawet mury kazałam odświeżyć—wszystkie świstki papieru z biurka wyrzucić, aby wszędzie było dla niego pole czyste i przez nikogo niezajęte!

— Podziwiam tę macierzyńską domyślność serca! Ja potrafiłem to tylko ująć w ogólniki słowa, a pani umiałaś to objawić w tych wszystkich drobnych rzeczach!...

— A teraz chodź panie bracie za mną!

Pani Augusta poprowadziła pana Marcina przez mały korytarzyk na sam koniec dworu.

— Patrz bracie—w tych dwóch pokoikach, w których niegdyś Karola z nauczycielką mieszkała, pomieściłam siebie. Czyż to za wielka przestrzeń?

Sędziwy staruszek patrzał długo na zacną i rozsądną kobietę z rozrzewnieniem, uścisnął jej rękę i rzekł:

— Gdzie jest tyle serca i rozsądku, tam Bóg szczęścia nie odmówi!... Nie zawadzi jednak z tej oto placówki patrzyć z uwagą na obszerniejszą arenę, gdzie się odbywa trudny bój życia i od czasu do czasu rzucić nieznacznie dojrzałe słówko komendy....

Pani Augusta roześmiała się i ścisnęła staruszka serdecznie za rękę.

VIII.

Nazajutrz było w Złotej Wiszni wiele szczęścia i radości, chociaż nie było ani bramy tryumfalnej, ani strzelania z moździerzy.

Karola ściskała i całowała matkę co słowo, opowiadała o różnych przygodach podróży, rozmawiała ze sługami, obdarzając ich drobnemi upominkami.

Zygmunt ze łzami w oczach poczuł dzisiaj, że w matce żony znalazł prawdziwą matkę swoją i starał się przebłagać cień nieboszczki, za to, że należące się jej uczucie zwrócił dzisiaj zupełnie do żywej.

Nowe urządzenie domu przyjęli oboje z wdzięcznością, a nawet czynili wyrzuty matce, że dla nich pozbawia się wszystkiego, co się przecież jej z prawa należy.

Pani Augusta umiała się z tego wytłumaczyć w sposób bardzo delikatny. Powiedziała, że czuje już nadchodzącą starość, że po dziesięcioletnich samoistnych rządach pragnie spokoju i przepraszała dzieci, że dla swojej wygody na ich młode barki zwala cały ciężar pracy i zatrudnienia gospodarskiego.

Zygmunt uwierzył matce i chętnie zgodził się na wskazaną sytuacyę. O tej sytuacyi myślał on często za

granicą a nawet myślał z wielkim niepokojem. Jako człowiek rozsądny zastanawiał się nad tem, jaka będzie przyszła jego rola. Śród szału szczęścia nie stracił zupełnie przytomności, i często rozpamiętywał nad swojem położeniem.

Wiedział o tem bardzo dobrze, że przychodzi do majątku żony. Jakkolwiek kochał ją nad wszystko w świecie, wiedział jednak, że to uczucie nie stanowi równej wkładki do spółki życiowej. W początkach szczęścia może nie tak widną była ta nierówność, ale zawsze trzeba było liczyć na to, że ta nierówność kiedyś się okaże.

Gdy nad tem się zastanawiał, złorzeczył sobie, że namowom ciotki dał chętne ucho i zszedł z drogi, któraby go do jakiegoś kapitału, czy to realnego, czy tylko moralnego zaprowadzić mogła. Taki kapitał mógłby teraz dorzucić do kapitału żony, a spółka życia oparłaby się na równych warunkach.

Pan Nikodem poddawał mu wprawdzie dosyć praktyczny sposób zrównania się z realnym majątkiem żony. Wskazał od niechcenia na paliusz, który owijał herb Korybutów, i przyrzekł pomoc swoją do wyjednania u dworu szambelaństwa. W takim razie można było w sposób bardzo przyzwoity, jak mniemał p. Nikodem, dać uczuć matce i córce, że się im wielki zaszczyt wyświadczyło, i że obok tego zaszczytu znika zupełnie blask fortuny realnej. Byłaby to więc dla spółki życia wkładka nielada, przewyższająca o wiele wkładkę żony.

Jakkolwiek sposób powyższy zrównoważenia się z majątkiem żony, bardzo często u nas z powodzeniem się praktykuje, Zygmunt jednak miał za wiele rozumu i nauki, aby choć na chwilę o podobnem kolosalnem głupstwie mógł pomyśleć. Najprzód paliusz mu się nie należał, a w herbie nie widział żadnej osobistej zasługi, aby się nim szczycić.

Mógł on co najwięcej zagrzać go do podobnych czynów, jakiemi ten herb wywalczyli sobie antenaci jego, ale świecić bez czynów tą malowaną zbrojną rękawicą wydało mu się arlekinadą.

Wiedział o tem wprawdzie, że są ludzie, u których podobną arlekinadą można nawet dobry interes zrobić, ale on z tego korzystać nie chciał.

Powiedział więc zaraz na wstępie do pana Nikodema, że podobnego sposobu zrównoważenia się z majątkiem nie pochwala i że innej drogi będzie szukał, aby się zrównoważyć.

Jaką ta droga być miała, o tem nie powiedział. Zdaje się, że może sam jeszcze nie wiedział o tej drodze. Trudno bowiem było teraz taką drogę wynaleźć, gdy czas szukania minął, a nowe obowiązki związały jego ręce.

Trzeba więc było na gruncie, na którym teraz stanął, szukać tej drogi, a to zadanie nie było tak łatwem.

Przedewszystkiem chodziło mu o to, aby na tym gruncie zająć stanowisko niezależne. Myślał o tem od samego początku, a ta myśl zatruwała mu nawet pierwsze chwile szczęścia.

Przed nim roztaczał się obraz nieponętny. Żadnego majątku nie miał, był niczem, żadnej zasługi wyższej dla społeczeństwa nie położył, coby go choć o kilka linij po nad poziom zwykłych ludzi podnieść mogło— słowem, niezasłużenie dostał się do cudzego chleba!

Zachodzi teraz pytanie, w jaki sposób on ten chleb teraz pożywać będzie? Czy mu krajać będą codziennie po kęsie, czy mu oddadzą klucze od szpichrza?

Z jaką twarzą dawać mu będą odmierzoną codziennie kromkę? Czy na tej twarzy nie wyczyta wyrzutu, że to chleb nie jego, chleb łaskawy, na który nie robił?

A z jaką twarzą będą patrzyć na niego, gdy weźmie

klucze od szpichrza? Czy na tej twarzy nie będą, czytalne słowa: Wziąłeś nie swoje, cudze, jakże tam szafujesz?

Wprawdzie jest między tą Scyllą a Charybdą droga pośrednia i bardzo wygodna. Jak było się niczem, tak też do końca życia zostaje się niczem. Matka lub żona rządzą, a potulny mąż nic nie mówi, nigdy się nie odzywa, je gdy mu miskę pod brodę podstawią, a nie je, gdy miski nie ma. Jego zdanie jest zawsze głupie, czemu się bynajmniej nie sprzeciwia, wszędzie zawadza, co sam w pokorze uznaje, nigdy go nie ma tam, gdzie być powinien, czemu wcale nie przeczy, a największym jego grzechem jest, że żyje jeszcze, z czem on się jak najszczerzej zgadza!

Takim człowiekiem nie chciał być Zygmunt. Dla tego nieobojętnem mu było, jak rzeczy zastanie.

To co zastał, przeszło najśmielsze jego nadzieje. Pani Augusta z nadzwyczajną wyrozumiałością oddała mu wszystko na własność wieczystą a sama cofnęła się z trójnoga, na którym przez lat dziesięć siedziała.

Była to niemała ofiara ze strony kobiety, która wżyła się już do swego stanowiska, a ofiara ta była tem większą, im zręczniej pani Augusta tę ofiarę przykryła i dla dzieci niewidzialną zrobiła. Uczyniła ona tę ofiarę w ten sposób, że Karola i Zygmunt ani się domyślali, że to ofiarą było. Przeciwnie byli przekonania, że biorąc z rąk matki berło rządów, robią to w jej własnym interesie, dla własnego jej spokoju, wypoczynku. Tak umiała tę sprawę ułożyć pani Augusta, powodowana do tego czystą miłością macierzyńską i życzliwością dla ukochanych dzieci swoich.

Karola odgadywała instynktem tę ofiarę matki i dla tego długo nie chciała się zgodzić na to. Nie chciała zająć przeznaczonego dla niej mieszkania, chciała by Zygmunt pozostał w charakterze syna, jak to sama przy błogosławieństwie wyrzekła, a ona przysięgała, że pozostanie do

śmierci kochającą córką i nigdy tego stosunku nie zmieni.

Pani Augusta jednak przemówiła tutaj do rozsądku córki, przyczem wtajemniczyła ją w części w swoje utajone motywa.

— Zygmuntowi, powiedziała jej w sekrecie, potrzeba stanowiska niezależnego, aby we wszystkiem był pewny siebie. Gdy się młodego człowieka na pasku prowadzi, gdy on wie, że jest pod cudzą opieką, to we wszystkich sprawach życia pozostanie małoletnim. A to przeszkodzi mu do zajęcia jakiegoś wybitniejszego stanowiska, do czego dążyć powinien każdy mężczyzna.

Karola myślała chwilę nad tem. Potem ucałowała ze łzami rękę matki.

Łzy te były niemem podziękowaniem za delikatne wyrażenie się matki co do położenia Zygmunta. W innych ustach przybrałoby takie wyrażenie inne kształty. Poprostu bowiem spoczywała w tych przezroczystych słowach ta myśl: że Zygmunt nie ma nic, trzeba go więc czemś zrobić, jeżeli nie w oczach naszych, to przynajmniej w oczach świata, a to może mu dopomódz, że może czemś się stanie z czasem.

Karola ze łzami podziękowała matce, że tak oględnie wyraziła się o człowieku, którego nad wszystko w życiu ukochała.

Od tego jednak czasu stała się więcej zamyśloną, i niespokojnem okiem śledziła Zygmunta i to wszystko, co go otaczało. Zdaje się, że kilka słów matki zwróciły jej uwagę na niebezpieczeństwo, które mogło grozić Zygmuntowi. a które z jego położenia wypływało.

Pani Augusta z rozkoszą spostrzegła, że Karola zrozumiała jej słowa, i że razem z nią czuwa nad tem wszystkiem, coby w tak niewygodnem położeniu rzeczy mogło do-

prowadzić do pewnych niemiłych, a czasem nawet bardzo tragicznych kollizyj.

Zygmunt ze swojej strony zdawał się być zadowolonym położeniem swojem dzisiejszem. Wyobrażał je sobie daleko gorszem. Nieraz nad tem zagranicą śród najwyższych swoich rozkoszy myślał z boleścią. Tymczasem dzięki przezorności pani Augusty zastał wszystko tak dogodnem, jak sobie tego nigdy nie wyobrażał.

Z niewypowiedzianą wdzięcznością przyjął zgotowaną mu przez matkę pozycyą i po małym, więcej uczuciowym niżeli z rozsądku wypływającym oporze, zajął mieszkanie świętej pamięci ojca Karoli i rządy całego majątku objął.

Chodziło mu teraz przedewszystkiem o wszystkie znamiona tej władzy, jaką mu udzielono, nietyle w obec matki i żony, jak w obec sług domowych i całego sąsiedztwa. Nawet w obec matki i żony chodziło mu o to, aby im okazać, że do udzielonej sobie władzy ma wszelkie warunki, ma własną wolę i należytą energię.

I tak zaraz w pierwszych tygodniach, chociaż w tej porze nie było prawie żadnej roboty, starał się czemś zatrudnić. Kazał sobie szewcowi zrobić długie angielskie buty, w których co dzień objeżdżał konno różne granice majątku.

Były to właściwie przejażdżki a nic więcej. Zygmunt jednak chciał tym przejażdżkom nadać charakter oficyalny, choćby tylko butami z długiemi cholewami.

Gdy z takiej przejażdżki wracał, wołał do siebie rządcę i rozmawiał z nim to o tem, to o owem.

Być może, że Zygmunt w te przejażdżki sam nie wierzył, że miał tylko za usiłowanie, aby niby coś robić, aby przed samym sobą wreszcie mieć jakie takie wytłumaczenie, że przecież coś robi.

Prócz tego potrzeba było w sąsiedztwie wizyty porobić. Przy tych wizytach rozmawiał zazwyczaj Zygmunt o tem co robi, a rozmawiał z taką widoczną gorączką, jakby się lękał, aby go nie posądzono że nic nie robi, tylko wygodnie na majątku żony siedzi.

Już te pierwsze napozór tak drobne rzeczy, sprowadziły mu niejedno zmartwienie.

Stary Onufry, który go jako „panicza" domu, któremu lat pięćdziesiąt wiernie służył, całym afektem swego poczciwego serca ukochał, niekontent był z tych przejażdżek, bo one widocznie go męczyły.

Przyszedł raz zaturbowany do pani Augusty i rzekł:

— Nie wiem doprawdy, dla czego pani na to pozwala, aby pan Zygmunt uganiał codziennie przez błota i rowy. Nietylko że szkapa się męczy, ale i człowiekowi to niebardzo zdrowo, jeżeli ciągle trząść się musi! Zdaje mi się, że pan Zygmunt już przybladł po tych kursach!

— Pan Zygmunt ma własną wolę i jest tu panem — ozwała się rozsądna matka — wolno mu robić co chce!

Pani Augusta myślała, że tym sposobem najlepiej cofnie w stosowne granice starego sługę i Zygmunta uwolni od niepotrzebnych przedstawień, które tenże mógłby sobie inaczej wytłumaczyć.

Inaczej się jednak stało.

Onufry wytłumaczył sobie słowa pani Augusty zupełnie inaczej. W tych słowach widział ukryty żal dawnej pani domu, że jej już wszystko wydarto, że ona tutaj już nikomu rozkazywać nie może.

Uważał więc za swój obowiązek stanąć w obronie swojej pani i panu Zygmuntowi okazać jego granice.

Gdy nazajutrz Zygmunt do przejażdżki jak zwykle się wybierał, kazał sobie podać buty z wysokiemi cholewami.

Pokojowiec powiedział, że buty wziął Onufry i na klucz do osobnej szafki zamknął.

Zygmunt zadzwonił na Onufrego.

— Dla czego wziąłeś mi buty staruszku? — zapytał spokojnie.

— Dla czego?—odparł butnie Onufry—widać, że potrzeba było je zamknąć, jeżeli tak zrobiłem!

Zygmunt spojrzał z zadziwieniem na starego.

Stary Onufry był rzeczywiście dziwakiem i wiele rzeczy mu uchodziło. Na karb starości i długoletniej służby kładziono wiele. Była jednak pewna w tem granica.

— Możebyś zechciał bliżej z tego wytłumaczyć się przedemną,—rzekł Zygmunt dosyć spokojnie.

— Dlaczegóż nie!... Buty kosztują wiele, trzeba przecież żeby z raz wyschły, bo inaczej zgniją!... I zdrowie młodego pana także nie z żelaza, aby takie przejażdżki wytrzymać.... Ś. p. nieboszczyk pan robił także podobne przejażdżki i to nie dla rozrywki tylko, albo tak dla oka! Butów takich kosztownych nie miał, szewc ze wsi zrobił mu sandały, a w tych rano i wieczór do lasu i cegielni wyjeżdżał, ale to co innego!... Najprzód urodził się już nieboszczyk do takiej pracy, bo majątek ten był majątkiem jego ojca, i od dziecka do gospodarki się przyzwyczaił! A zresztą dla czego nie miałby tak robić? Robił na swojem, a taka robota to już połowę sił dodaje!...

Gadatliwy Onufry nie wiedział jaką strunę poruszył w duszy Zygmunta tem niezdarnem, choć w gruncie poczciwem gadaniem. Zygmunt poczerwieniał lekko na twarzy i zacisnął usta.

— Każ mi staruszku osiodłać siwkę i przynieś mi buty—rzekł po chwili z wymuszonym spokojem.

— Siwki proszę pana nie ma—odpowiedział z widocznem zadowoleniem Onufry—bo siwkę kazałem odprowadzić

na drugi folwark, aby tam trochę przyszła do siebie! To przecież nie jest klacz wyścigowa, aby na niej przesadzać rowy i płoty!

Usta Zygmunta zaruszały się, ale nic nie wyrzekł.

— Czy ci kto tak zrobić rozkazał?—zapytał po chwili.

— Broń Boże, nikt nie rozkazywał!—odparł z pokorą stary Onufry — przecież wielmożny pan tutaj rozkazujesz! Nikt nie rozkazał... ani starsza pani, która siedzi spokojnie w dwóch pokoikach i różaniec odmawia, ani młoda pani, która bawi się z kanarkiem—któż tu może rozkazywać jeżeli nie pan?...

Onufry wyrzekł te słowa w przekonaniu, że one stosują się do nakazu danego mu przez panią Augustę. Nie wiedział jednak, że w takiem zestawianiu mają one jakieś inne, ironiczne znaczenie.

Ironia ta ukłóła Zygmunta. Nie mógł się powstrzymać.

— Jeżeli tak jest jak mówisz—rzekł gniewnie—to nakazuję ci natychmiast dać mi siwkę i buty—bo przecież dwóch nas rządzić nie będzie!

Onufry podniósł rękę do góry i spuścił ją powoli ku ziemi.

— To dobrze, dobrze panie—odrzekł smutno—niedługo tam będzie tego rozkazywania! Człowiek już jedną nogą w grobie!...

Za kilka chwil stała siwka przed gankiem a błyszczące buty przy drzwiach. Buty wyczyścił stary Onufry własną ręką, bo tym sposobem chciał „paniczowi“ dać dowód swego przywiązania, które wypływało z całej jego dziwacznej rozmowy.

Nie tak jednak przyjaźnie dla siebie i starego był Zygmunt usposobiony. Gniewnie porwał siwkę za cugle, skoczył na siodło i w cwał popędził.

Karola i matka wyjrzały oknem.

— Czy przed odjazdem nie widział się Zygmunt z tobą?—zapytała matka z jakimś niepokojem.

Karola po raz pierwszy spuściła oczy przed matką i smutno odszepnęła z twarzą zarumienioną:

— Nie — zapewne umówił się z leśniczym... i czasu mu już nie starczyło!

Pani Augusta z uwagą spojrzała na córkę i smutno zamyśliła się.

Zygmunt nie wrócił o zwykłej godzinie. Podwieczorek jadły kobiety same. Dopiero ze zmierzchem usłyszały kopyta konia, ale i teraz nie pokazał się Zygmunt. Odszedł do swego pokoju i tam siedział. W godzinę dopiero zjawił się w pokoju żony.

— Zapewne zaskoczyło cię co niespodziewanego, żeś tak prędko odjechał a tak późno powrócił — rzekła Karola z lekkim wyrzutem, który widocznie drżał w jej głosie.

— Bynajmniej,—odpowiedział z uśmiechem Zygmunt, wszystko było w porządku!

— Czy taki porządek rzeczy chcesz od dzisiaj zaprowadzić?

— Czy taki porządek nie podoba się komu?

— Tu przecież prócz ciebie nikt nie ma swoich własnych upodobań!

— Czyż ja je ograniczam?

— Tego nie powiedziałam!

— Najgorsze i najboleśniejsze słowa są te, których się nie wypowiada!

Karola westchnęła i spojrzała na niego przez łzy.

Zygmunt ujrzał te łzy i zmiękł. Pochwycił w ramiona piękną młodą kobietę, uścisnął serdecznie i rzekł:

— Nie gniewaj się na mnie—byłem trochę rozdraźnio-

ny. Wyobraź sobie—Onufry zamknął mi buty i siwkę i nie chciał ich wydać!

Przy tych słowach poczerwieniał cały. Malowały one dosadnie jego położenie, a wypowiedział je niechcący.

Karola widziała w tych słowach raczej dowcip Zygmunta niżeli jaką poważniejszą prawdę. Rozśmiała się serdecznie i rzekła:

— Bardzo dobrze zrobił Onufry—muszę mu za to podziękować i na przyszłość nakazać, aby ci nigdy nie wydał butów i siwki, póki do mnie nie przyjdziesz i mnie... ot tak... o pozwolenie nie poprosisz.

Karola ucałowała męża serdecznie, a gdy na to matka nadeszła, ozwała się figlarnie do niej:

— Zygmunt oddał mi w dwójnasób co był winien, a ja teraz dałam mu absolutorium!

— Dobrze, odpowiedziała matka, którą Zygmunt teraz w rękę całował—ale najlepiej byłoby, gdybyście nigdy nic sobie winni nie byli. Wierzyciel z jednej strony, a dłużnik z drugiej—to zły horoskop małżeństwa!

Pani Augusta wymawiała te słowa bez żadnej myśli ukrytej, patrząc z macierzyńską miłością na Zygmunta. Zygmunt jednak posmutniał przy tych słowach i smutno spuścił głowę.

— Prawda! — odparł — jeżeli jednak inaczej być nie może, to niechże przynajmniej wierzyciel będzie wyrozumialszy dla swego niefortunnego dłużnika!

Ani matka, ani córka nie zrozumiały donośności tych słów, a przy wspólnej wieczerzy wypogodziły się wszystkich czoła.

Małe to napozór zdarzenie stało się ziarnem gorczycznem, które wiele kwasu narobiło.

Stary Onufry, jakkolwiek do Zygmunta był przywiązany najżywszym serca swego afektem, uważał jednak za-

chowanie się jego za niewłaściwe. Zdawało mu się, i tego nie dał sobie wytłumaczyć, że Zygmunt wszystkich dawnych właścicieli prawowitych pokrzywdził, wydzierając im z rąk berło rządów.

Osobliwie cicha, spokojna, na drugim planie stojąca pani Augusta wydała mu się istną ofiarą.

Podjął dla tej ofiary wszelki trud i pracę, aby jej napowrót przywrócić to, co jej odjęto.

Zdawało się staremu, że to zrobić może na drodze dyplomatycznej, nie stawiając stron do otwartej walki.

Chęci jego były podług wierzenia jaknajlepsze, były tak samo przyjazne Zygmuntowi jak i pani Auguście. Nie wiedział tylko biedny, że Zygmunt przez anormalność swego położenia inaczej wszystko widział i słyszał, jak widzą i słyszą zwykli ludzie.

Również nie wiedział o tem, że pracując w tej myśli ukrytej, zdradzał ją mimowoli w rozmowie z domownikami, usposabiając tychże bardzo niekorzystnie dla Zygmunta.

I w kilka tygodni po tej katastrofie z butami, stanęły rzeczy w Złotej Wiszni tak jakoś dziwnie, że Zygmunt na każdym kroku swoim spotykał jakieś przeszkody, które objawiały się to w jawnych protestach, to w cichym, stokroć gorszym biernym oporze, to w żalu jakimś nieokreślonym, którego nie mógł ani pojąć, ani zrozumieć.

Zewsząd otaczała go jakaś dziwna nieprzyjaźń. Nawet rządca, człowiek nadzwyczaj wyrozumiały, sprzeciwił mu się kilka razy i postawił na swojem. Była to sama przez się drobnostka, ale Zygmunt był teraz podejrzliwy, i w każdem słówku niewinnie w świat rzuconem widział daleko głębsze znaczenie niżeli ono miało.

Podejrzywał wszystkich koleją. Zdawało mu się, że wszyscy tutaj, z wyjątkiem może żony, są jego nieprzyjaciół-

mi, że zazdroszczą mu szczęścia, które bez jego zasługi i pracy dostało mu się w udziale i że zachowaniem się swojem dają mu wyraźnie do poznania, że on tutaj jest niczem, że z niczem przyszedł, i do niczego właściwie nie powinien mieć prawa.

To zbiło go z jego drogi, na którą chciał wejść, i zrobiło go trwożliwym i podejrzliwym.

Przy każdym kroku patrzał z uwagą czy komu na nogę nie nadepce, a ta ustawiczna uwaga pochłaniała jego własną wolę i energię.

Za wiele jednak pozostało w nim szlachetnego mate ryału, aby uszy spokojnie opuścił i poddał się smutnemu losowi, jaki zazwyczaj spotyka ludzi w podobnem położeniu.

Postanowił walczyć z nieprzyjaznem otoczeniem swojem, postanowił w tej walce powoli nabierać sił, zanim do walki na szerszej arenie życia obywatelskiego wystąpi.

IX.

Nastały długie, zimowe miesiące.

W tych miesiącach nie miał Zygmunt żadnych zewnątrz domu czynności. Po zasypanych śniegiem polach nie można było żadnych służbowych przejażdżek wyprawiać, nawet dozór lasów nie dawał wiele sposobności do wyjazdu z domu. Maszyny młóciły zboże, ekonom, rządca, karbownik, wystarczali dla dozoru, a kupiec starozakonny przyszedł sam do dworu, aby plon odebrać i za niego zapłacić. Również i gorzelnia nie dostarczała wielkiego zatrudnienia. Całe gospodarstwo było oddawna wzorowo urządzone, gorzelnik był stały, zgodzony od wydatku wódki, a kartofle były od jesieni przygotowane i pod gorzelnią w symetryczne kopce usypane.

Zygmunt siedział teraz przez cały prawie dzień w domu. Czas ten chciał teraz zużytkować korzystnie dla siebie, aby pozycyą swoją jako tako ustalić.

Niezła myśl przyszła mu w tym względzie do głowy. Chciał z nabytych zasobów wiedzy i nauki korzystać, aby tym sposobem zrównać się choć w części z temi, których dzisiaj widział nieustannie nad sobą.

Sprowadził książki różnej treści, poważnej i nadobnej literatury i urządził spólne czytanie.

Kilka tygodni było to nowością tak dla Karoli jak też i matki. Z robótką w ręku słuchały na przemian to historyi, to podróży rozmaitych, to wreszcie jakiejś znakomitszej powieści. Zygmunt uzupełniał ustnie niektóre braki, które u kobiet przy tem czytaniu się okazywały i tym sposobem stawał coraz wyżej w ich opinii. Widział to i cieszył się z tego, że przynajmniej coś posiada, czego im udzielić może.

Czytanie jednak takie okazało wkrótce odwrotną swoją stronę. Nie wszyscy byli zawsze jednakiego usposobienia. Pani Augusta wolała czasem to czytać, czego Karola nie chciała, a Karola nie była zawsze usposobioną do słuchania tego, co Zygmunt czytał i objaśniał. Zresztą do korzystnego czytania potrzebuje zawsze czytelnik całej swojej uwagi, a taką trudno mieć na zawołanie w godzinach urzędowych, naprzód do tego przeznaczonych.

Stało się więc po kilku tygodniach, że Karola w smutnych godzinach skończyła sama książkę której wspólnie jeszcze nie skończono, a pani Augusta wolała wieczorem u siebie czytać i często gęsto absentowała się od wspólnych odczytów.

W końcu stanęło na tem, że każdy czytał sobie to, co i kiedy mu się podobało, a rola Zygmunta stała się wcale niepotrzebną.

Zygmunt stracił i tutaj grunt, na którym mógłby się wyższym okazać i musiał w życiu domowem cofnąć się znowu na dawne swoje stanowisko, które na tem zależało, że trzy razy jadł razem z kobietami, trochę o pogodzie i niepogodzie rozmawiał, i spokojnie konsumował to, co mu majątek żony dobroczynnie dawał.

Taki stan rzeczy nie mógł go bynajmniej uspokoić.

Był napozór szczęśliwy, a jednak wewnętrzne przekonanie bolało go, że za to szczęście nic wzajemnie dać nie może, że to szczęście otrzymał w jałmużnie, i że codziennie widzi tę rękę, która mu te jałmużnę podaje.

Im mniej miał środków do zrównania się z tymi, którzy go dzisiaj karmili i odziewali, tem większy był jego niepokój, tem podejrzliwszem okiem patrzał na tych, którzy go otaczali.

Pozornie niby oddano mu majątek i władzę nad nim, ale już samo przekonanie jego wewnętrzne, że na taki dar niczem ze swojej strony nie zasłużył — robiło go podejrzliwym, czy ten dar jest szczery, czy tylko fikcyjny, czy poza tem wszystkiem nie patrzy na niego oko kontrolujące, które tylko pierwszej lepszej sposobności wyczekuje, aby mu powiedzieć, że wszedł w posiadanie rzeczy, na którą niczem nie zasłużył. A gdy do tego jeszcze sobie przypomniał, że pani Augusta właśnie z tych powodów była przeciwna związkowi jego z Karolą i dopiero po długich namowach i dla choroby córki uległa, zdawało mu się, że matka oczekuje tylko chwili sposobnej, aby choć po niewczasie wystąpić z temi samemi argumentami, które niegdyś kosztowały go tyle zmartwienia!

Chciał więc wszystkie te obawy naprzód zniweczyć, chciał okazać, że ręka, której majątek oddano, zdolną jest do kierowania tym majątkiem, chociaż na niego rzeczywiście nie pracowała, i że rzeczywiście nim kieruje.

O to ostatnie chodziło mu dzisiaj najwięcej.

W najmniejszych drobnostkach wydawał sam rozkazy i gniewał się jeżeli spotkał się z innemi rozkazami. Z gorączkową zawiścią bronił wszędzie praw swoich i podejrzywał złe chęci tam, gdzie ich wcale nie było.

Prawdziwą męczarnią było dla niego, gdy ktoś z sąsiedztwa z wizytą przyjechał.

Dom pani Augusty miał liczne stosunki. Bliżsi i dalsi sąsiedzi odwiedzali go często, bo częścią przyzwyczaili się do tego jeszcze za życia ś. p. męża pani Augusty, który wybitniejsze w kraju zajmował stanowisko, a częścią także i dla czci i szacunku samej wdowy, którą poważano powszechnie.

Ztąd odwiedziny były bardzo częste, a przy takich odwiedzinach miał Zygmunt rolę bardzo niemiłą.

Wszyscy sąsiedzi przyzwyczaili się do tego, że głową i panią domu jest sama pani Augusta. Cały więc afekt odwiedzin do niej się zwracał, ją miano w rozmowach na pierwszym planie, koło niej grupowano się, ona była punktem środkowym.

Pani Augusta odwracała wprawdzie dosyć zręcznie tę powszechną uwagę od siebie i kierowała ją do swego zięcia, ale nikt jakoś na to nie przystawał i Zygmunta dosyć widocznie pomijano. Widziano w nim wprawdzie co najwięcej księcia Alberta, ale królową Anglii była zawsze matka albo córka.

Były to rzeczy bardzo subtelne, ale Zygmunt czuł je i czuł do tego bardzo boleśnie. Nawet nieraz więcej wyobrażał sobie jak było w istocie, a kolce dla siebie widział tam, gdzie mu prawdziwe kwiaty podawano.

Aby przeciw takiej opinii coś zrobić, chwytał się najdziwaczniejszych środków, które potem w konsekwencyi jeszcze gorsze dla niego wydawały owoce.

Jeszcze z chowu nieboszczyka ojca Karoli pozostały konie półkrwi arabskiej z angielską, które karecie wizytowej i faetonikowi Karoli dosyć okazałych dostarczały paradyerów.

Jakiś sąsiad przy wizycie pochwalił konie i życzył sobie podobne posiadać dla żony swojej.

Zygmunt skorzystał z tej sposobności, aby sąsiadowi

okazać, że on tu wszystkiem rządzi i że wszystko tutaj jest jego, i zaproponował mu kupno tych koni.

Napróżno pani Augusta łagodnie oponowała temu, napróżno powoływała się na pamięć nieboszczyka męża, napróżno Karola formalnie przeciw temu protestowała — Zygmunt uradowany, że może nietylko wobec matki i żony, ale także i w obec sąsiedztwa, o co mu najbardziej chodziło, zadokumentować swoją władzę zwierzchnią i dać dowody swojej własnej woli i energii, oddał konie sąsiadowi za pół ceny, bo sąsiad właściwie gwałtem ich nie potrzebował.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie kwasy były potem w całym domu, i jak te kwasy tłumaczył sobie nieszczęśliwy Zygmunt.

Wszedłszy raz na tę drogę szedł nią w konsekwencyi dalej. Mieniał i facyendował z sąsiadami powozy i wózki, sprzedawał dobre barany, a nabywał liche, obalał dawne umowy podczas jego nieobecności zawarte a zawierał nowe, które były gorsze od tamtych, żydów wyrzucał z karczem, a karczmy obsadzał jeszcze gorszemi, słowem przewracał wszystko co się przewrócić dało, aby to potem własną ręką podnosić jako własne swoje dzieło!

Zdawało mu się, że tym sposobem wywalczy sobie wobec sąsiedztwa znamie rządów, że w jego oczach urośnie na prawdziwego właściciela Złotej Wiszni, i zatrze ohydne podejrzenie, jakoby był tylko mężem potulnym bogatej żony.

Taka jednak robota odniosła wprost odmienny skutek, jaki sobie z niej obiecywał. Sąsiedzi uważali go za marnotrawcę i nowatora bezmyślnego, do czego nie miał nawet prawa, bo to czem w taki sposób gospodarował, nie było jego.

Ten i ów wygadywał na niego głośno, że takiego majątku nie zasłużył, że tłucze się po nim jak Marek po pie-

kle i że to wszystko ztąd pochodzi, że bez pracy i zasługi przyszedł do tego.

Zarzucano pani Auguście, że taki zły wybór zrobiła, że między sąsiedztwem było przecież kilku synów obywatelskich, którym można było dopomódz takim posagiem jaki miała Karola.

Weszło także do tego wiele zawiści pokątnej. Powodzenie Zygmunta, który tak świetną partyę w powiecie drugim z przed nosa zabrał, musiało zrodzić wiele niechęci. Ten i ów w skrytości duszy zazdrościł szczęśliwemu, a że teraz wydarzyła się dobra sposobność, nie żałował ani jeden ani drugi żółci, aby Zygmunta należycie nią obrzucić.

A Zygmunt był podobny do rumaka krwi dobrej, który tem więcej parskał i dęba stawał, im więcej ściągano go munsztukiem i ostrogami w boki uderzano.

Tak stały rzeczy, gdy Zygmuntowi zajaśniała lepsza gwiazda, od której wiele się spodziewał.

Nastąpiły wybory do rady powiatowej.

Gdy Zygmunt sumiennie w koło się obejrzał, nie znalazł stosowniejszych od siebie ludzi do tej autonomicznej instytucyi.

Był najprzód młody i sprężysty, miał naukę nieoślednią, jakiej wkoło siebie nie widział, i miał chęci jaknajlepsze i potrzebną dla nich energię

Między ludźmi, którzy najczęściej na smacznym, wspólnym obiadku wszystkie urzędowania swoje kończyli, mógł on się wyróżniać, mógł nawet wiele dobrego zrobić. Tym sposobem stworzyłby sobie pole do pracy i tą pracą odznaczyłby się w powiecie. Byłby już przecież czemś, o co najbardziej chodziło—a stanowiska takiego i stosownej dla siebie pracy łaknął, jak łaknie wody w puszczy piaszczystej spragniony Arab!...

Była to jedna z najlepszych dzisiejszych myśli Zy-

gmunta. Instytucya autonomiczna, która dotąd żadnej oznaki życia nie dawała, miałaby w nim człowieka czynnego i obowiązkom takim dorosłego.

Wszystko więc zmierzało do tęgo, aby raz zajął poważniejsze w powiecie stanowisko i na tem stanowisku z pożytkiem dla ogółu dorobił się tego, czego tak gorąco pragnął, a czego mu dotąd nie dostawało.

Zrazu szło dobrze jak z płatka. Pani Augusta pochwaliła szlachetne i obywatelskie zamiary Zygmunta a Karola widziała już męża na krześle marszałkowskiem w aksamitnym kontuszu i grodeturowym żupanie, tak samo jak wisiał w jej buduarze na konterfekcie, zrobionym przez jednego ze znakomitych malarzy polskich.

Sąsiedzi, którym Zygmunt zamiar swój objawił, przyklasnęli zrazu jego chwalebnym intencyom. Przyrzekli nawet pomoc i głosy, a Zygmunt był w siódmem niebie, że przecież raz znajdzie pole do pracy, która go z jego dotychczasowej nicości podniesie.

Trudno jednak odgadnąć, co się właściwie z temi przyrzeczeniami i uściskami sąsiedzkiemi stało. Czy były one szczere i otwarte, ale pozostały w mniejszości, czy były udane i jak zwykła zdawkowa moneta kandydatowi rzucone.

Do tego jeszcze w jednym z krajowych dzienników ukazał się w przeddzień wyborów artykuł nadzwyczaj żółciowy.

„Powiat nasz—pisał zacny korrespondent—przystępuje do ważnego aktu, który zawszę jest próbą jego sił autonomicznych. Z tego aktu poznaje się, czy kraj rzeczywiście dorósł do dzisiejszego zadania swego, i czy umie pielęgnować to, co mu łaskawie nadano.

„Jakkolwiek malkontenci twierdzą, że rady powiatowe przy dzisiejszych swych atrybucyach są tylko stróżami

mostów dziurawych—nie można jednak zaprzeczyć, że doniosłość tej instytucyi zawisła jedynie od gorliwości, rozsądku i zdolności ludzi, którzy się na nią składają. Litera bowiem każdej ustawy jest martwą—dopiero po za tą literą rozpoczyna się zielona łąka życia... *Grau ist jede Theorie, grün ist nur des Lebens Baum*,—dopiero tam można wiele dobrego posiać i zebrać!...

„W takim razie nieobojętną jest rzeczą kogo do tej instytucyi wybieramy!

„Są między nami ludzie, którzy z pradziada tutaj między nami wzrośli, którzy ślady życia swego zaznaczyli pracą i trudem, którzy dzielili z nami dolę i niedolę. W sercach takich ludzi bije główna aorta życia powiatowego, oni wiedzą, czego powiatowi potrzeba, bo razem z nim boleją i razem weselą się!...

„Są także ludzie, którzy do nas przyszli z zasobem niepospolitej nauki i pracy już gdzieindziej dokonanej, a chociaż nie znaliśmy ich dziadów i pradziadów, możemy im śmiało powierzyć losy nasze, bo na to nauką swoją i pracą zasłużyli.

„Tych i tamtych wybierajcie!

„Nie od rzeczy może będzie zwrócić uwagę na niektórych kandydatów, którzy jak ćmy kręcą się koło urny wyborczej. Są to ludzie nijakiego stanowiska, niczem nigdy nie byli, niczego się nie nauczyli, a jeśli ślepa fortuna dopomogła im przy gładkiej twarzy i ładnych wąsikach ułowić pannę posażną, która takim wyborem bynajmniej rozumu nie dowiodła—to przecież nie nadaje im prawa do ubiegania się o godność, którą tylko nagradza się sumiennego pracownika i pracowitego obywatela powiatu!

„Precz z nieużytecznemi szerzeniami!“

Taki artykuł odczytano w przeddzień wyborów w ca-

łym powiecie. Nie było nikogo, ktoby nie domyślił się, że tu mowa o Zygmuncie.

Tenże sam artykuł odczytano także i w Złotej Wiszni. Najprzód odczytał go rządca, od rządcy otrzymał gorzelnik, od gorzelnika wziął go Onufry i paniom we dworze przedłożył, jak mu to gorzelnik poradził.

Pani Augusta udała przed córką, że się nie domyśla, ale Karola domyśliła się i odszedłszy do swego pokoju płakała tam przez kilka godzin.

Domyślił się także i Zygmunt, lecz chciał na swojem postawić i na wybory jako kandydat pojechał.

Tam dostało mu się jeszcze więcej.

Najsławniejszy Zoil powiatowy wystąpił na przedwyborczem zgromadzeniu na trybunę i palnął mówkę, którą większość przyjęła rzęsistemi oklaskami.

W mówce tej była aluzya do kandydatów, którzy opinią publiczną uważają za równą z niedoświadczoną dziewicą. Dla dziewicy może czasem wystarczyć twarz biała, bezmyślna piosnka lub frak zgrabnie do grzbietu przystający—ale opinia publiczna nie da się takim blichtrem omamić. Dla niej potrzeba dyplomu pracy, trzeba uszlachetnienia, jakie nadaje każda pożytecznie dokonana praca—ale nie blasku bijącego z fortuny żony! Blask taki może być tylko aureolą ludzi niedołężnych, którzy do niczego innego zdolni nie są! Czyż macie takim ludziom powierzać sprawę publiczną?

Gdy Zygmunt te piękne rzeczy usłyszał, poczerwieniał na twarzy i myślał na seryo o strzelaniu do baryery. Ale rozsądny pośrednik, do którego się udał, wytłumaczył mu, że takiej prostej aluzyi do siebie brać nie można, że jest nawet w powiecie tak zwany „głupi Kubuś“, którego ciotki z bogatą gąską ożeniły, o którym niemniej mógł myśleć mowca.

Te i owe przedstawienia rozbroiły Zygmunta, że od pojedynku odstąpił — ale nie odstąpił od myśli, która go wciąż prześladowała, że jest niczem jak tylko bezczynnym konsumentem majątku swojej żony.

Taką przygnębiony myślą wrócił do domu, gdzie go matka przyjęła milczeniem, a żona—łzami.

Cóż mu innego zostało, jak tylko odejść do swego pokoiku i także—nad sobą zapłakać!

A przecież według zwykłego pojęcia świata miał to być człowiek—bardzo szczęśliwy!

— Zrobił tak świetną partyę! mówiły wszystkie jego kuzynki i powtarzały inne kobiety tego świata.

X.

Tak stały rzeczy we dworze Złotej Wiszni, gdy w pierwszych dniach wiosny zajechał przed ganek wózek niepokaźny.

Właśnie przed chwilą weszła Karola do pokoju Zygmunta, który dzienniki czytał.

Karola miała twarz bladą, oczy otoczone ciemną obrączką. Była jednak piękną, nawet piękniejszą niżeli w dzień ślubu, choć nie miała na sobie sukni jedwabnej, ani koronek brukselskich.

Na jej młodej twarzy zapisały się już różne wrażenia życia i wzbogaciły ją nowemi wdziękami. Widać tam było drobne burze życia, które serce kobiece wzruszają i nowym urokiem całą jej postać stroją. Z takim dopiero urokiem jaśnieje kobieta w całym blasku, a szczęśliwe chwile życia odbijają się tem jaśniej na takiem tle przyćmionem.

Zygmunt nie mógł być obojętnym na taki urok kobiety, w oczach której jasno mógł czytać, że go kocha nad życie.

Upuścił dzienniki i spojrzał z upodobaniem na żonę. I jego twarz przybrała więcej mezkiego wyrazu. Na czole tylko zarysowały się dwie podłużne linie, z któremi jeszcze ładniej mu było.

Karola oparła głowę o ramię męża i tak chwil kilka w milczeniu siedziała.

—- Czy chciałaś mi co powiedzieć?—zapytał łagodnie Zygmunt biorąc ją za rękę.

— Nie—odpowiedziała Karola — chciałam tylko być przy tobie!

Zygmunt ucałował jej rękę.

— Dziękuję ci za twoją troskliwość — rzekł po chwili z uśmiechem — przecież nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo!

Karola wzdrygnęła się.

— Po cóż wspominasz o niebezpieczeństwie? — rzekła z chmurką na czole—czyż anioł-stróż tyko wtedy do człowieka się zbliża, gdy mu grozi jakie niebezpieczeństwo?

— O mój ty drogi aniele-stróżu!—zawołał śmiejąc się Zygmunt — obyś mnie nigdy w życiu nie odstępował nawet wtedy, gdy na to zasłużę!

— Zawsze, nawet i wtedy!—wyrzekła z uczuciem kochająca kobieta i z całą namiętnością przycisnęła się do piersi męża.

Zygmunt odetchnął całą piersią, bo mu w tej chwili było tak dobrze, tak jakoś o wszystkich troskach swoich zapomniał, że dałby za to bardzo wiele, gdyby ta chwila długo, bardzo długo trwała....

Właśnie pod oknem zaturkotały koła.

Karola szybko powstała, za nią zerwał się Zygmunt i oknem wyjrzał.

Przed gankiem stał niepokaźny wózek, a z wózka wyskoczył właśnie niskiego wzrostu mężczyzna.

Zygmunt nie mógł jeszcze dobrze odgadnąć, kto do niego przyjechał, gdy stary Onufry wpadł do pokoju i z twarzą rozjaśnioną zawołał:

— Drużba—dobra wróżba!

Zygmunt wybiegł na przywitanie gościa.

Stojąca w drugim pokoju Karola, nie mogła dobrze zrozumieć słów Onufrego. Postąpiła do progu i zapytała:

— Co mówisz Onufry?

— Nie trzeba tego proszę pani lekceważyć, co powiedziałem, bo starzy ludzie nie lubią głupstwa mówić!

— Ale cóżeś powiedział?

— Co powiedziałem? Przecież zdaje mi się powiedziałem dobrze. Ś. p. nieboszczka babunia pani (świeć Panie nad jej duszą) opowiadała raz, że jak nieboszczyk jej mąż a dziadek wielmożnej pani kłopotał się z powodu pewnej sprawy...

— Chcę, abyś powtórzył, coś powiedział!

— Zaraz, zaraz—powtórzę pani co do słowa, co ś. p. babunia powiedziała... tylko na czem stanąłem?... Aha—gdy nieboszczyk jej mąż...

— Któż przyjechał?

— Przecież jeszcze o tem nic nie mówiłem.... gdy nieboszczyk mąż pani Anastazyi kłopotał się w pewnej sprawie—w tem nadjeżdża.....

— Powiedz prędko, kto przyjechał?

— Wtem nadjeżdża—drużba!

— Który drużba?

— A jużci jeden z tych, którzy nieboszczkę babunię do ślubu prowadzili!

Karola wzdrygnęła się, bo drużba, który nieboszczkę do ślubu prowadził, nie był już dawno między żyjącemi.

Ale w tej chwili wszedł do pokoju żyjący jej drużba—pan Maryusz.

Za nim postępował uradowany Zygmunt.

— Jakżeś mnie pan przestraszył!—zawołała z uśmiechem Karola podając rękę gościowi.

— Przestraszyłem panią? z zadziwieniem powtórzył pan Maryusz i z uwagą spojrzał na Karolę.

Karola z śmiechem opowiedziała mu dziwny dyalog z Onufrym. Wszyscy uśmieli się z tego.

— Ależ siadajże, siadaj kochany Maryuszu, zawołał po chwili Zygmunt—nie uwierzysz ile zrobiłeś mi przyjemności, żeś się zjawił. Właśnie czułem w duszy jakąś niewypowiedzianą tęsknotę—w sąsiedztwie u nas jest tak trudno o człowieka, z którymby szczerze i otwarcie pomówić można... Szczerze się cieszę, że cię widzę, wierzaj mi!

Zygmunt uścisnął serdecznie swego drużbę, którego poznał był w przejażdżkach dawnych po krewnych, i który jako człowiek więcej od niego doświadczony, służył mu niejedną radą.

Maryusz wzajemnie uściskał przyjaciela, a Karola ucieszyła się niezmiernie, że w jednostajnem życiu dworu Złotej Wiszni nastąpi teraz pewna rozmaitość, która dobrze wpłynąć może na usposobienie męża. Zygmunt bowiem od niejakiego czasu okazywał wiele smutku i zadumy.

— Słyszałem, że w sąsiedztwie naszem wziąłeś dzierżawkę—rzekł po chwili Zygmunt do przyjaciela.

— Tak jest—przecież o tem pisałem do ciebie za granicę,—odpowiedział przyjaciel—patrząc z uwagą na oboje.

— Wiem o tem—ale sądziłem, że przyjedziesz na tę dzierżawę wcześniej.

— Takby należało, ale interesa zatrzymały mnie.

— W mieście—w stolicy kraju!... Nie dałbym za to ani grosza, że podczas karnawału szukałeś jakiego złotego serduszka!

— Bardzobyśmy z tego się cieszyli,—dodała Karola—gdybyś pan przyjechał do nas razem...

Maryusz z uwagą wpatrzył się w twarz Karoli.

Potem ruszył ramionami i odrzekł:

— W moim wieku, proszę pani — przy szczupłej fortunie....

— Nie mów pan tego, — przerwała szybko Karola opierając się na ramieniu męża — przecież droga szczęścia w stosownych warunkach dla każdego stoi otworem...

— Czy pani to odnosisz do wieku czy do fortuny?

— Tak.... a jużci do wieku — bo do fortuny przecież tego odnieść nie można. Jeżeli kobieta kocha, to o fortunie wtedy nie myśli!

Z ironią uśmiechnął się Maryusz.

— Nie chcę z panią dłużej o tem mówić, odrzekł z pewnym smutkiem, bo mogłabyś mnie pani przekonać, że tak jest w istocie, a ja na takiem fałszywem przekonaniu mógłbym wyjść jak najgorzej. Mógłbym może zażądać kiedy takiej bezinteresownej miłości od kobiety i srogo — rozczarować się! Nie wszystkie panny są do pani podobne....

Zygmuntowi nie podobał się jakoś taki zwrot rozmowy. Chciał ją zwrócić na inny tor.

— Nie pytasz o nikogo z sąsiedztwa? — rzekł do gościa.

Maryusz uważnie spojrzał na niego. Na twarzy Zygmunta nie było nic ukrytego.

— O kogóż mam pytać — odpowiedział Maryusz po chwili, — tak krótko bawiłem tutaj, że nie mogłem jeszcze zabrać bliższych znajomości. Niektórych widziałem w stolicy, a między niemi najwięcej ubawił mnie zawsze tak zwany złoty Wiktorek!

— Złoty Wiktorek!—powtórzyła z śmiechem Karola, ciekawa jestem, czem taki człowiek ubawić może!

— Dlaczegóż nie—odpowiedział Zygmunt,—jedni bawią rozumem, drudzy swoją głupotą! A nawet powiem ci moja droga, że złoty Wiktorek ma wielkie szczęście u ko-

biet, chociaż jego przydomek nie tyle odnosi się do złota holenderskiego, ile do żółtych włosów jego.

— Ciekawą jestem, która kobieta mogłaby kochać tę papkę z szafranem! Przecież nawet pani Florentyna, za którą on szaleje, nie chce patrzyć na niego, chociaż....

Maryusz spojrzał w tej chwili tak bystrem okiem na Karolę, że ta mimowoli urwała.

— Słyszałem coś o tem,—rzekł obojętnie po chwili,— w każdym razie jest to człowiek pocieszny! Co najgorsza, trzy ciocie, które go chowały, wmówiły w niego, że jest najprzystojniejszym w całym świecie młodzieńcem!

— Czy i pani Florentyna jest tego zdania? — zapytał z uśmiechem Zygmunt.

— Przyznam się,—odrzekła Karola, — że wcalebym się nie dziwiła, gdyby pani Florentyna była tego zdania. Słyszałam, że zdania pani Florentyny są często tak ekscentryczne, tak się szybko zmieniają, że nicby dziwnego nie było, gdyby pewnego pięknego poranku przyklękła ze złotym Wiktorkiem na stopniach ołtarza... gdyby tylko trzy jego ciocie na to zezwoliły!

— Dlaczegóżby nie zezwoliły?—zapytał Zygmunt prawie od niechcenia bawiąc się podartą kopertą.

— Jak możesz o to pytać? — odpowiedziała Karola z zadziwieniem, przecież wiesz...

— Co wiem? Nic nie wiem.... a to co ludzie....

Maryusz powstał szybko i z niepokojem postąpił kilka kroków naprzód.

— Prześliczny oleander,—rzekł zbliżając się do grupy kwiatów—czy nie jest mu tu za ciepło?

— Lubisz pan kwiaty? — ozwała się szybko Karola podchodząc do niego—to mnie bardzo cieszy. Wysoko cenię ludzi, którzy kwiaty lubią. Wyobraź pan sobie, Zygmunt kwiatów nie lubi!

— Na jego miejscu,—odparł z uśmiechem Maryusz,—powyrzucałbym wszystkie kwiaty--bo czemże są one w porównaniu z tym kwiatem, który miałem szczęście przed rokiem prowadzić do przysięgi?

— Jestem ci wdzięczny za to,—ozwał się z śmiechem Zygmunt,—żeś przecież raz jasno mnie z tego zarzutu oczyścił, bo ja tego zrobić nie mogłem. Po roku bowiem nie mówi się żonie taaich komplementów!

Zbliżył się do Karoli i serdecznie ją uścisnął.

Karola wywinęła się z objęcia męża, wykręciła się zgrabnie na wysokim obcasiku i rzekła:

— Bardzo są dobre i przyjemne takie romanse, ale kochany nasz drużba jest zapewnie głodny z podróży, co też widać z jego twarzy!

Rzekłszy to wybiegła z pokoju. W pokoju pozostał Zygmunt z Maryuszem.

Po wyjściu Karoli milczał Maryusz czas niejaki i z uwagą patrzał na Zygmunta.

Po chwili przystąpił bliżej do niego.

— Nie zadziwi cię to, — rzekł z pewnym niepokojem, że mając zamiar tutaj zamieszkać, chcę od ciebie zasięgnąć niektórych wiadomości co do sąsiedztwa. Ponieważ już zaczęliśmy od niektórych figur, to nie będzie od rzeczy do nich jeszcze raz wrócić. Wspomniała żona o pani Florentynie....

— Ah! O pani Florentynie musisz sam z moją żoną, lub matką mojej żony mówić, jeżeli która z nich mówić zechce..!.

— Czyż jest jaka ważna przeszkoda do tego?

— Mówię ci, że ja tam jak najmniej wiem o tej sprawie. Kobiety mają czasem pewne uprzedzenia i upierają się, choć dowodów żadnych dostarczyć nie mogą!

— Przecież.... cóż mówią o pani Florentynie?

— O pani Florentynie mówią, że jest bardzo ładna, że ubiera się wytwornie i gustownie, ale bliższych z nią związków nie mają!

— Czy jej unikają dla tego, że ładna i pięknie się ubiera?

— Nie umiem ci tego powiedzieć. Zdaje się, że zarzucają jej pewne nienormalności życia i obyczaju!

— Nic więcej nie słyszałeś?

— Nic więcej nie słyszałem. Nie ma ona tu żadnych krewnych ani znajomych, przyjechała przed kilku laty ze starym panem Marcinem Łodzią, który wkrótce zachorował i na śmiertelnej pościeli ślub wziął z nią legalny.... Dziś jest młodą wdówką i spadkobierczynią ładnego majątku po nieboszczyku! Familia nieboszczyka dała się jej we znaki, processowała ją, ale nic wskórać nie mogła. Zdaje się, że to zaszkodziło jej najwięcej w sąsiedztwie i dzisiaj jest odosobnioną.

Maryusz z wielką uwagą słuchał tego opowiadania, i nie mógł powstrzymać pewnego zadowolenia z tego co od przyjaciela usłyszał.

— Ale więcej nic o niej nie słychać? — zapytał po chwili.

— Nic szczególnego—odpowiedział Zygmunt—oprócz tego, że zawsze ktoś koło niej się kręci, jak zazwyczaj koło młodej, bogatej wdowy.

— Czy z sąsiedztwa?

— Z sąsiedztwa tylko jeden głupi Wiktorek za nią szaleje—inni nie śmieją się do niej zbliżyć, gdyż opinia kobiet na to nie pozwala. Nie lubią jej formalnie i każdy przepadłby u nich w łaskach, gdyby ją chciał brać w obronę. Co do tego punktu, wszystkie są w zgodzie!

Maryusz zmarszczył czoło i kilka razy przeszedł się zamyślony po pokoju.

— A co do tego złotego Wiktorka? — zapytał po chwili.

— Śmieją się wszyscy z niego, i dziwią się, że o taką kobietę rozbijać się może! Niedawno nawet na seryo chciał się strzelać z rotmistrzem od huzarów.

— Rotmistrzem od huzarów?

— Który przypadkiem w mieście z nią rozmawiał. Nic w tem nie było dziwnego, jest ona łatwą pod tym względem stosownie do swoich zasad, jakie wyznaje. Nie można jednak tego brać zaraz za złe.

— Mówiłeś coś o jej zasadach...

— Jak wiesz, kobiety chorowały dawniej na tak zwaną emancypacyę a dzisiaj zamieniły ten wyraz na równouprawnienie. Kwestya równouprawnienia kobiety może być bardzo ważną kwestyą, ale niektóre pojmują ją ze strony dosyć trywialnej. Wystarcza im rozszerzenie granic osobistej wolności w stosunkach towarzyskich i wyłamanie się z dawnego obyczaju. Zapewne i pani Florentyna pojmuje w ten sposób te kwestye, bo pali cygara jak huzar, powozi końmi jak amazonka i z każdym nieznajomym mężczyzną wda się w rozmowę, jeżeli ten tego pragnie! Takie równouprawnienie byłoby bardzo wygodne, gdyby o to tylko chodziło.

— Prócz tego więcej nic?

— Nic więcej nie wiem. Nie bez tego, aby podobne pojmowanie równouprawnienia nie rzuciło tego i owego na opinią kobiety młodej i powabnej.

Maryusz zamyślił się nad temi słowami Zygmunta, i widocznem było, że one mocno go obchodziły.

Chciał jeszcze dalej coś mówić, lub o dalszych sąsiedztwach się wypytywać, gdy Karola do pokoju weszła a za nią wniósł służący na dużej, srebrnej tacy wódkę i przekąskę.

Rozmowa przeszła na inne tory, w czem także za chwilę i pani Augusta udział wzięła.

Maryusz pozostał cały dzień w Złotej Wiszni, gdzie mu wszyscy byli bardzo radzi. Życzliwością swoją odbijał on jakoś od całego sąsiedztwa, a przy wesołej, szczerej rozmowie tak się wszystkich serca rozgrzały, że jednogłośnym krzykiem smutku powitano przygotowania Maryusza do odjazdu.

Wieczór się jednak już zbliżał, a Maryusz chciał jeszcze dzisiaj stanąć w swoim folwarku, który od Złotej Wiszni odległy był półtorej mili.

Wszyscy serdecznie pożegnali Maryusza i prosili go, aby jak najprędzej znowu przyjechał.

XI.

Żwirową drogą jechał Maryusz smutny i zamyślony. Konie furkały i parskały jakby mu jakąś dobrą nowinę zwiastować miały, słońce pogodnie zniżało się do zachodu zapowiadając na jutro piękną pogodę majową, a polskie żaby skrzekotały artystycznie dobranym chórem, jakby wygłaszać chciały hymn wieczorny...

Nie zwracało to uwagi Maryusza. Nawet gadatliwy furman, który zazwyczaj tyle miał zawsze swemu panu do powiedzenia, nie mógł dzisiaj Maryusza rozruszać.

Milczał i myślał nad tem, co mu Zygmunt powiedział.

Zdaje się, że to nie były dla niego rzeczy nowe, że o pięknej swojej nieznajomej, z którą w sposób tak romantyczny podczas ślubu Zygmunta się poznał, musiał już wiele bliższych rzeczy wiedzieć, bo nawet razem z nią przez cały karnawał w stolicy przemieszkiwał.

Mimo to wszystko słowa Zygmunta z dodatkiem kilku słówek Karoli, dały mu wiele do myślenia.

Kobieta ta obchodziła go w tej chwili wiele. Nieobojętną zatem była mu opinia sąsiedztwa, a może nawet tembardziej, im mniej sąsiedztwo nią się zajmowało.

Pani Florentyna bowiem posiadała znaczny majątek

pomiędzy tem sąsiedztwem. Nie mogła więc bez pewnych ważnych powodów usunąć się od tego sąsiedztwa, jako też i sąsiedztwo nie mogło jej nie widzieć.

A przecież tak się wydawało z tych kilku słów rzuconych przez Zygmunta i Karolę.

Maryusz myślał nad tem a czoło jego marszczyło się coraz więcej. Czasami nawet i pięść zaciskała się i usta pomimowolnie zadrżały i oko jaśniej błysło....

Nagle obejrzał się wkoło i kazał stanąć. Rozpatrzył się jakby drogi szukał, i kazał furmanowi jechać na prawo.

Tymczasem noc zapadała powoli. A była to noc pełna tajemniczego uroku, noc majowa z jasnemi gwiazdami przetkanem niebem, z jakiemiś dziwnemi, zaledwie dosłyszanemi głosami, jakiemi do nowej pracy i do weselnego stroju budziła się przez całą zimę uśpiona natura...

Maryusz wsłuchiwał się z rozkoszą teraz w te głosy, bo te głosy wtórowały słodko jego marzeniom, zbudzonym przed rokiem zjawieniem się pięknej nieznajomej, a dziś już dobrze znajomej kobiety!...

Z uwagą patrzał przed siebie, przykładał rękę do czoła—ale wkoło było ciemno i cicho, jakby tutaj ludzie nie mieszkali!

Drogą żwirową, tu i owdzie wrzosowiną przerosłą, toczył się wózek powoli, a furman niespokojnem okiem patrzał przed siebie, aby nie zbłądzić.

Powoli zaczęła się droga garbić i w dół spadać. Powtarzało się to bardzo często, a garby i spady były coraz dotkliwsze dla podróżnych.

Otworzył się teraz przed niemi nocny, górzysty krajobraz. Opuszczono dolinę większej, wspaniale toczącej się rzeki i coraz więcej wrzynano się w podgórze.

Od gór pobliskich zawiała już woń lasów iglastych, powietrze zafarbowało się sinem-przezroczem, a szum wia-

tru po drzewach i górach rozchodził się cicho i jednostajnie jak szum morskiego bałwanu dążącego do brzegu.

Jeszcze więcej uroku przybyło nocy majowej — jej wonna, przejrzysta sukienka zabarwiła się nowemi widokami, do chóru głosów przyłączyły się nowe, tajemnicze głosy, które jak echa zbiegały od gór i spłoszone napowrót do nich wracały!....

Maryusz zamarzył słodko śród tych czarów, twarz jego odmłodniała przy jakiejś myśli rozkosznej—a oko jego niespokojnie patrzało w ciemny, fantastycznie na nocnem niebie malujący się szmat drzew rozłożystych, z pomiędzy których strzelał ku górze ostro zakończony dach jakiejś wieżyczki gotyckiej...

W tem nagle zajaśniało koło niego jakieś światło czarodziejskie, oświeciło na chwilę las i drogę — i znowu zagasło.

Maryusz zwrócił się w tę stronę zkąd to światło wyszło. Ale w tej stronie było teraz ciemno i cicho. Szum tylko górskiego potoku, który zaraz przy drodze pod lasem płynął, mieszał się z tajemniczemi głosami nocy majowej i słodko do marzeń kołysał....

Maryusz chciał rzeczywiście znowu słodko sobie zamarzyć, gdy nagle światło buchnęło znowu aż na drogę i oświeciło brzegi potoku i lasu.

Kazał stanąć i cicho zeskoczył z wózka.

Spojrzał z uwagą, zkąd to światło mogło wychodzić. Zbliżywszy się do brzegu potoku, spostrzegł, że światło to wychodzi z łożyska wody, płynącej w zagłębieniu.

Podszedł do potoku i stanął za drzewem.

Na wodach potoku obaczył dziwny obraz....

W małej łódce siedziały dwie osoby, kobieta i mężczyzna. Przewoźnika nie było.

Kobieta ubrana była w jakiś strój fantastyczny. Miała

na ramionach jakiś płaszczyk, a na głowie unosił się lekko mały strzelecki kapelusz z czerwonem piórem *à la Fradiavolo.* W ręku trzymała palące się łuczywo i płomień łuczywa z uwagą przytykała aż do zwierciadła wody, jakby tam czego szukała.

Koło niej siedział młody mężczyzna zaledwie dwadzieścia parę lat mający w ubiorze strzeleckiem. Przez ramię miał przewieszoną strzelbę, a ręką jedną poruszał, jakby nią w wodzie czegoś szukał. W lewej ręce trzymał także zapalone łuczywo — a światło od tego łuczywa padało na jego jasne jak złoto włosy....

Dziwnie fantastyczny był to obraz. W głębi świeciła się jasna szyba potoku pokarbowana zlekka falą—za nią czerniły się wyłomy wysokiego brzegu, za którym stał las podpierający niebo ciemnoszafirowe... A na środku tego obrazu młoda, piękna kobieta prowadząca łódkę, z palącem łuczywem w ręku—przy niej młodzian oświecony tem światłem magicznem....

Zaiste, tak tylko mogła wyglądać owa Świtezianka, której strzelec kwiatki do wianka podawał....

Tymczasem był to tylko prosty—połów pstrągów!

Maryusz odgadł wprawdzie, że tu pstrągi łowiono, ale drugiej rzeczy nie mógł odgadnąć.

Miał dzisiaj panią Florentynę odwiedzić, pani Florentyna o tem wiedziała, dlaczegóż właśnie w tej chwili zapragnęła sielankowej rozrywki ze złotym Wiktorkiem?...

Tak rzeczywiście... to była pani Florentyna w tym czarodziejskim kapeluszu z czerwonem piórkiem,—trzymała w ręku płonące łuczywo i mówiąc do swego towarzysza odsłaniała białe jak kość słoniowa zęby, na które czerwonawe smolnego drzewa światło padało!....

A tym towarzyszem rzeczywiście był—złoty Wiktor! Przyklęknął na jednem kolanie, prawą ręką ujął drobną

rączkę Świtezianki i mówił coś do niej cicho i poufnie.

Maryusz odetchnął całą piersią i nie mógł tego wszystkiego pojąć. Czegóż chce ta kobieta? Dlaczegóż właśnie w tej godzinie urządza sobie sielankę nocną, o której wie, że on do niej przyjedzie? Dlaczegóż właśnie odbywa się ten fantastyczny połów przy drodze, którą on ma do niej jechać?...

Czy chce naumyślnie, aby ją widział? Jakiż może być cel takiej fantazyi? Czy chce mu okazać, że ktoś inny posiadł jej serce? Czy to być może, aby to szczęście spotkało złotego Wiktora?...

Maryusz oparł się o drzewo. W tej chwili zdawało mu się, że stoi na gruzach—swoich marzeń i planów!

Tysiączne myśli przebiegły mu przez głowę.

Tymczasem na cichych falach kołysała się łódka i podpływała coraz bliżej drzewa, pod którem stał nieszczęśliwy Maryusz.

Mógł teraz dobrze słyszyć ich rozmowę.

— Jesteś pan niezgrabny panie Wiktorze! — mówiła pani Florentyna dosyć głośno—nastraszyłeś mego pstrąga!

— Może też i lepiej!—odparł złoty Wiktor.

— Dla czego lepiej?

— Bo będzie jedna ofiara mniej!

— Kto pana takiego konceptu nauczył? To nie na pana!

— Ciocia mówiła mi tak przedwczoraj!

— Jakże to panu mówiła?

— Powiedziała, że pani Florentyna tylu ludziom głowy nazawracała, że gdybym ja w te sidła nie poszedł, toby była jedna ofiara mniej!

— Jakże głupia jest ciocia pana!

— Tego samego zdania był mój guwerner, który mnie uczył grać w maczka i djabełka!

— Pan jesteś istnym pół-djabłem! Świeć pan ostro żniej, bo mi woalkę zapalisz!

— Pani zapaliłaś mi dawno serce, a ja przecież nic nie mówię!

— Mówisz pan o tem aż do syta!... Potrzymaj mi pan tę siatkę, tylko ostrożnie, ażebyś nie zmoczył!

— Raz grozi ogień, drugi raz woda—nigdy dobrze!

— Wszak ciocia powiada, żeś pan „dobrze“!

— Nietylko ciocia, ale nawet i panna Klementyna mówi, że „jestem bardzo dobrze“ i panna Eulalia także to przyznaje a nawet panna Pelagia tak samo twierdzi!

— Możesz się pan dobrze ożenić!

— Dlaczegóż nie—ciocia powiada, że z panną Pelagią już nawet o tem mówiła, ale ja tego słuchać nie chcę!

— Dlaczegóż słuchać nie chcesz? Panna Pelagia ma fortunkę, pan będziesz znacznie bogaty—czegóż wam więcej potrzeba?

— To prawda — będę miał trzy wioski i jeszcze coś pieniędzy, panna Pelagia ma ładną wioskę — ale ja tego wszystkiego nie chcę i nie pragnę!

— A czegóż pan pragniesz?... Oto! pstrążek plusnął!

— Czy masz pani bestyjkę?... Ja pragnę abyś pani mnie kochała!..... A to szelma! wymknął mi się!

— Już pan znowu o kochaniu mówisz?... Uważaj pan, tam woda rysuje się.... już go widać!

— Mam łajdaka!... Bo pani nie wierzysz ile razy ja o kochaniu mówię.... patrz pani, tak go ścisnąłem, aż mu oczy na wierzch wylazły!

I rzeczywiście pstrąg konał w tej chwili...

Florentyna uderzyła Wiktora po ręce, a biedny jeniec wypadł do wody....

— Już więcej nie będę łapać pstrągów, rzekła z pewną boleścią—pan jesteś okrutny jak zwierz!

— Tak samo mówiła ciocia o pani, a ja przecież temu nie wierzę!

— Przybij pan do brzegu.

Łódka skierowała się właśnie do drzewa, pod którem stał Maryusz.

Maryusz uznał teraz za stosowne wyjść naprzeciw.

— Jeżeli pani pozwoli, rzekł spokojnie, mogę w czemś dopomódz. Światło łuczywa zwróciło moją uwagę i zaprowadziło mnie tutaj.... Podaj mi wiosło panie Wiktorze, przytrzymam łódkę!

Pan Wiktor zmieszał się i sam nie wiedział co ma odpowiedzieć. Spojrzał zakłopotany na Florentynę.

Florentyna była spokojna. Nawet widocznie ucieszył ją widok Maryusza. Podała mu drobną rączkę i roześmiała się szczerze i serdecznie.

— Jak się pan miewasz panie Maryuszu! — zapytała z pogodą na czole—czy panu podobał się ten piękny, fantastyczny, balladowy prawie widok, jaki panu wyprawiliśmy śród nocy na zwierciadlanej szybie potoku? Czy jesteś za to wdzięczny, że w sposób tak czarodziejski urozmaiciliśmy panu nudną podróż?

Gdy pani Florentyna te słowa sympatycznym swym głosikiem wymawiała, patrzała z uwagą na twarz Maryusza, przyświecając sobie płonącem łuczywem.

Twarz Maryusza była napozór zupełnie spokojna. Nie było na niej żadnego zadziwienia, żadnego wyrzutu, nawet zwykły jego uśmiech ironiczny znikł gdzieś w tej chwili, a na jego miejsce ulokował się uśmiech szczery i otwarty a nawet dobroduszny.

— Szczerze jestem pani wdzięczny za taki czarodziejski widok—odpowiedział spokojnie z łagodnym uśmiechem —jakim ubawiłem się wybornie! Nie uwierzysz pani jak to prześlicznie wyglądało! Ten strój fantastyczny, ten ka-

elusz z czerwonem piórem — pan Wiktor ze strzelbą na plecach.... a w dali poszarpany romantycznie brzeg, z lasem iglastym za plecami, do tego jeszcze ten plusk fali i to maaczenie światła po wodzie... wszystko to było cudowne, nieopisane!

Pani Florentyna patrzała przez cały ten czas z uwagą na Maryusza. Potem złożyła piękne usta do uśmiechu, podała mu drobną rączkę i z łódki wyskoczyła na brzeg. Za nią wyskoczył pan Wiktor.

— Przywiąż pan łódkę do drzewa! — rzekła do niego z uśmieszkiem ironicznym.

Złoty Wiktor wykonał rozkaz.

— A teraz powiedz mi pan—mówiła dalej do niego— co pan powiesz cioci, jeżeli się zapyta, gdzie pan tak długo byłeś?

— Powiem,—odpowiedział Wiktor—że na polowaniu zagrzęzłem w błoto i nie mogłem tak prędko się wydobyć!

— Dobrze—więc do widzenia!

Słowo „do widzenia“ było dosyć sympatycznie wymówione. Wiktor uścisnął podaną rękę, chciał nawet ją ucałować, ale na to nie stało mu czasu. Pani Florentyna odwróciła się od niego i szybkim krokiem ku drodze zmierzała. Wiktor znikł wkrótce na ścieżce, która w głąb lasu prowadziła.

Na drodze dobyła pani Florentyna małą świstawkę z kieszeni i gwizdnęła trzy razy. Na ten sygnał ozwały się końskie kopyta i para czarnych jak kruki rumaków zaryła się przed niemi na drodze żwirowej.

— Czy pojedziesz pan ze mną? — zapytała stojącego obok Maryusza.

— Jak pani możesz o to pytać? — odpowiedział Maryusz.

— Sądziłam, że pan zechcesz na swoim wózku trochę bawić się w samotnika, dręcząc siebie z rozkoszą!

— Udręczenia moje już dawno ustały!

— Cieszę się z tego, że już raz przestałeś pan brać liche pozory za prawdę, jak to czynią ludzie bezduszni, ślepi złośliwi!

— Kto raz posiadł nasze zaufanie, tego nie można nigdy w niczem podejrzywać.

— Robisz pan doskonałe postępy!

— Zrozumiałem także dzisiejszą lekcyę!

— Zrozumiałeś pan? A to mnie bardzo cieszy. Nie ma nic obrzydliwszego, okropniejszego i tragiczniejszego, jak nieustanne podejrzywanie kobiety! Tyle jest czasem dziwnych, wyjątkowych sytuacyj,—tak fatalny jest często zbieg okoliczności — tak zagadkowy jest czasem refleks światła i cienia, że sąd przysięgłych mógłby z najspokojniejszem sumieniem wydać wyrok winy tam, gdzie jej właściwie nie ma, gdzie jej nigdy nie było!.., To też dobrze jest człowieka, z którym... na czas dłuższy się zaznajamia, przyzwyczajać do różnych takich złowrogich pozorów, aby go potem nie raziły, aby ich nie brał za prawdę! Czy prawda?

Rzekłszy to podała mu drobną rączkę do pocałowania. Maryusz ucałował rączkę w pokorze.

— Masz pani we mnie bardzo pojętnego ucznia — odpowiedział i podał jej rękę, aby wygodnie do faetonu się dostała.

Florentyna odepchnęła rękę i jednym skokiem była już na wysokim koźle.

— Pan jesteś tak pojętny... że się zaczynam obawiać! rzekła do niego, robiąc mu miejsce obok siebie.

Maryusz zajął to miejsce, a oba wózki ruszyły szparko drogą zwirową.

XII.

Przed oczyma jadących otwierał się widok bardzo piękny. Księżyc wychylił się z poza chmury i jasnem światłem oblał cały krajobraz, który rozciągał się uroczo między dwiema górami, okrytemi lasem iglastym.

Najprzód z pomiędzy drzew gęstych wychyliły się trzy kopuły z jasnemi krzyżami. Kopuły były w stylu bizantyńskim, ułożone ręką wiejskiego cieśli. Pokrywały one cerkiew stojącą na wzgórzu. Za nią wynosił się ciężko do góry dach pałacyku, zakończony na jednym rogu wieżą w stylu gotyckim. Pod tym dachem bieliły się mury urozmaicone różnemi przystawkami, i w świetle księżycowem błyszczał ganek oszklony. Ciemna topolowa alea prowadziła do tego pałacyku, położonego prawie w środku ogrodu. Zewsząd bowiem otaczały go drzewa, krzewy i trawniki, regularnie w pewne kształty ujęte.

Po za drzewami schowane były budynki gospodarskie, aby mieszkającym w pałacyku nie przeszkadzały śród poetycznych medytacyj!..

Tylko szmer fontanny przerywał tę błogą ciszę pluskiem jednostajnym, do czego mieszał się zdala dojmujący krzyk pawia.

Zaciszne te ustronie było przed kilku laty główną rezydencyą Jmćpana Marcyana Łodzi... byłego kapitana wojsk polskich.

Pan Marcyan Łodzia był znany na całem Podgórzu. Młody, przystojny, z ogładą ułańską, przypominającą czasy Wielkiego Księcia Konstantego, podobał się wszystkim pannom i paniom i z tego względu był przy wszystkich zabawach sąsiedzkich bardzo poszukiwany.

Wesoło więc było w całej okolicy a jeszcze weselej we dworze Brzozówki, gdy się zebrało dobrane towarzystwo, zabawiające się winem i kartami.

Pan Marcyan lubił jedno i drugie, nie mówiąc już o trzeciem, które zazwyczaj do tego należy. Z powodu tego trzeciego był w częstych tarapatach, ale wykręcał się jak mógł i do późnego wieku pozostał bezżennym.

Mimo tak lekkomyślnego życia był jednak dobrym gospodarzem, a zapalonym do budowania i upiększania swego gniazda.

Dworek ojcowski przerobił wkrótce na bardzo zgrabny pałacyk, otoczył angielskim ogrodem, sprowadził żywą wodę i opasał murem.

Porządek wzorowy panował wszędzie, a marcowy kawaler przestrzegał go z żołnierską systematycznością. Czytywał nawet książki i w tym celu urządził sobie ładną biblioteczkę.

Niejedna dziewica powiatu wzdychała do ładnego ułana, a gdy ułan się podstarzał — do ładnego pałacyku z werendą oszkloną i gotyckiemi krużgankami, do pięknych karych rumaków i karetki wiedeńskiej, którą przy końcu życia, gdy miał podagrę, zwykł był jeździć pan Marcyan — ale wszystko było nadaremnie! Pan Marcyan Łodzia poprzysiągł umrzeć w stanie kawalerskim.

Dopiero pod koniec żywota zagroziło panu Marcyanowi wielkie niebezpieczeństwo.

W domu od niejakiego czasu była gospodynią tak zwana „Hanka". Była to kobieta wiejska, rosła, z dużą ręką i rumianą twarzą.

Kiedy pan Marcyan na nogi już dobrze zaniemógł, wybuchła w domu jakaś rewolucya pałacowa.

Hanka wystąpiła energicznie ze swami prawami do pana Marcyana i jego pałacyku i zażądała związku sakramentalnego.

Za plecami Hanki stanęli dwaj bracia, z których jeden był wysłużonym sierżantem z pułku piechoty, a drugi trębaczem od dragonów tymczasowo na urlop puszczonym.

Tak silne rodzeństwo zagroziło obecnie panu Marcyanowi. Zrazu chciał tę burzę domową jakoś zgodnie załatwić, przyczem mógłby w swoim dawnym kawalerskim stanie pozostać. Próbował różnych środków, ale sprawa szła bardzo trudno. Wreszcie rozbiły się układy, a biedny kapitan ułanów był już bliskim kapitulacyi. Tem tylko siebie pocieszał w swojem smutnem położeniu, że podobny los trafił już niejednego starego kawalera!

Ale snać pan Bóg nie chciał shańbić herbu, bo w ostatniej prawie godzinie natchnął pana Marcyana myślą bardzo genialną.

Sam już nie mógł walczyć przeciw złości ludzkiej, ani przeciw trębaczowi od dragonów — poszukał więc sobie — sprzymierzeńca.

Była to właśnie pora kąpielowa. Pan Marcyan dla podagry wybrał się do wód zagranicznych, przyobiecawszy Hance, sierżantowi i trębaczowi, że się ożeni za powrotem do domu.

Pan Marcyan dotrzymał słowa — wrócił w dniu oznaczonym do domu, ale nie wrócił sam.

Przyjechała z nim cudnej piękności młoda osoba, którą panną Florentyną nazywano.

W sąsiedztwie mówiono, że to była córka jego towarzysza domowego a dziś emigranta, z matki francuzki. Była sierotą, a dawny towarzysz broni ojca wziął ją w opiekę do siebie.

Inni inaczej o tem mówili, jak to zwykle bywa.

Panu Marcyanowi nie chodziło teraz o to jak tam ludzie mówią, bo od tego czasu cofnął się do swego cichego pokoiku a fale walki domowej zostawił swemu nowemu sprzymierzeńcowi.

I rzeczywiście w domu rozpoczęła się teraz walka straszliwa. Sąsiedzi znowu różnie o tej walce mówili, jedni nazywali ją walką między rywalkami, inni twierdzili poprostu że to jest owa darwinowska „walka o byt“.

Pan Marcyan także się teraz o nazwę tej walki nie troszczył, bo sam miał święty spokój, jakiego oddawna pragnął.

Myśl pana Marcyana, zapożyczona wprawdzie, była jednak bardzo praktyczną. Divide et impera jaśniało tutaj w całej pełni.

Jednej tylko rzeczy zapomniał pan Marcyan, to jest, że gdy walka skończy się między powaśnionemi, pięść walcząca obróci się przeciw autorowi tej walki...

Gdyby w tej walce szło o pięście, to niezawodnie pan Marcyan ujrzałby teraz pięść Hanki przed nosem. Ale Hanka zwyciężyć nie mogła. Uległa słabej, wątłej, nerwowej kobiecie, która wiecznie migrenę miała i zawsze się leczyła.

Zwyciężyła Florentyna.

Hanka zabrała swoje manatki i razem z sierżantem i trębaczem od dragonów uciekła do rodzinnej wioski swojej, tylko się oglądała czy kto za nią po drodze nie goni!

Takiej sztuki dokazała wątła, nerwowa kobieta, nie używając ani razu jakiejbądź siły brutalnej!...

Pierwsza wiadomość o dokonanem zwycięztwie napoiła pana Marcyana niesłychaną rozkoszą. Zakurzył sobie lulkę na długim cybuchu, wyszedł w tureckim szlafroku na ganek oszklony i po długim czasie po raz pierwszy odetchnął całą, wolną piersią!

Florentyna usiadła przy nim. Tryumf zwycięztwa zarumienił jej piękne lica, ciemne oko zaiskrzyło się po walce ukończonej.

Pan Marcyan spojrzał na nią z rozkoszą, a nie wiedział biedny że zaprawiona w boju kobieta spróbuje wkrótce swojej broni na jego niepodległym dotąd karku...

I stało się to, co się zazwyczaj wydarza ministrom, gdy dwa przeciwne stronnictwa z sobą bój ukończą.

Pan Marcyan tyle miał tylko spokoju, że dwie fajki tureckiego tytoniu swobodnie wypalił.

Spostrzegł biedny, że dawna walka, tylko w zmienionym szyku bojowym, znowu w domu zawrzała.

A była to walka tem groźniejsza, że nieprzyjaciel był bardzo niebezpieczny....

Pan Marcyan wymykał się jak mógł, myślał nawet już czas niejaki nad możliwą kapitulacyą, ale wstyd nie pozwalał mu łamać słowa honoru, jak sobie raz powiedział, że w stanie kawalerskim wytrwa usque ad finem!

Zresztą cóżby sąsiedztwo powiedziało na taki krok istnie szalony!

Teraz pan Marcyan spostrzegł, że z deszczu wpadł pod rynnę. Walczył jak mógł, opierał się dopóki mu tylko sił stawało, ale z każdym dniem widział jaśniej, że sprawę przegra.

Był szlachcicem, dał sobie słowo honoru — dotrzymać musiał.

Wygrać sprawy nie mógł, chciał wyroku *in contumatiam.*

Postanowił umrzeć.

Pewnego dnia, gdy Florentyna była najczulsza, gdy czarne jej oczy świeciły najpon꜀tniej, gdy różowe usteczka tyle słodyczy dla niego gotowały — kazał się pan Marcyan ogolić gładko, położył się do łóżka i księdza zawołał.

— Cóż to jest?—zapytała słodko Florentyna.

— Umrę! krótko odpowiedział pan Marcyan.

Florentyna spojrzała z zadziwieniem na swego opiekuna.

Pan Marcyan uśmiechał się pod wąsem, kontent z siebie, że przecież już radykalny sposób wynalazł na wszelkie pokusy do stanu małżeńskiego, i że przecież tym sposobem uda mu się wymknąć od zastawionych na niego sieci!

— Tak moje dziecię—tak—umrę,—mówił do Florentyny, biorąc ją za pulchną rączkę — czuję, że mnie już Bóg woła do siebie!

Florentyna wzięła umierającego za rękę i pilnie liczyła pulsa jego.

Pan Marcyan uśmiechał się nieznacznie do siebie, dziękując Bogu, że go natchnął taką myślą genialną!

W samej rzeczy — oprócz jednego śmiałego ataku na piechotę nieprzyjacielską, była to najlepsza myśl jego życia!

Florentyna liczyła pulsa umierającego przez chwilę, a potem zamyśliła się.

Puls rzeczywiście był nieregularny, raz za prędki, drugi raz za powolny. Widać było jakąś irytacyę....

Florentyna podniosła się z krzesła.

— Gdzież idziesz serce?—zapytał konający.

— Po księdza!—odpowiedziała Florentyna.

Pan Marcyan kiwnął głową, że dobrze.

Jakoż wkrótce nadszedł ksiądz. Za księdzem weszał

także i Florentyna, trochę inaczej ubrana. Miała na sobie suknię czarnę jedwabną, włosy starannie do góry podczesane i prześliczną koronkową bertę.

Pan Marcyan spojrzał na Florentynę i uśmiechnął się pod wąsem. Pomyślał sobie: Ładna i piękna co się zowie— mógłbym się ożenić..... gdybym był młody—a tak.... trzeba umierać!

Florentyna zostawiła księdza samego z konającym, a sama wyszła do przyległego pokoju.

Spowiedź trwała dosyć długo. Po spowiedzi weszła Florentyna i znowu dość czasu minęło.

Stary kucharz i chłopiec Michałek nadsłuchiwali wprawdzie w trzecim pokoju, ale wszystkiego słyszyć nie mogli. Mogli tylko odróżniać, kiedy mówił ksiądz, kiedy pan Marcyan a kiedy Florentyna.

Po niejakim czasie otworzyły się drzwi. Florentyna wyszła z zapłakanemi oczami, ksiądz uśmiechał się z zadowoleniem, a pan Marcyan patrzył na pułap wytrzeszczonemi oczyma, jakby tam muchy chciał łapać!

Wkrótce zażądał ksiądz, aby do chorego weszło dwóch świadków. Wszedł kucharz i gospodyni.

Po chwili zjawiła się Florentyna z pierścionkami.

Ksiądz odmówił modlitwę, włożył na palce pierścionki, związał stułą—i ślub był skończony.

Zrazu podobało się to panu Marcyanowi — uśmiechał się, a nawet podany papier, jako ostatnią swoją wolę z uśmiechem podpisał, ale gdy sobie przypomniał, że jako szlachcic i kapitan trzeciego pułku ułanów, słowo dane złamał i ożenił się — posmutniał nagle, obrócił się do ściany i—umarł.

Taka była potocznie opowiadana historya o panu Marcyanie Łodzi, niegdyś właścicielu ładnego pałacyku i ła-

dniejszej jeszcze wioski Brzozówki — i o jego ożenieniu się na łożu śmiertelnem.

Sąsiedzi do opowiadania tego dodawali różne poprawki, a każdy według najlepszego wierzenia swego przyjmował to, co mu się najbardziej podobało.

Faktem jednak niezbitym było, że pani Florentyna po śmierci swego męża była właścicielką bardzo pięknego majątku, a co do wdzięków swoich i urody, jeszcze ładniejszą niżeli przed tem.

XIII.

Księżyc krył się właśnie poza ciemną chmurą, gdy szybkonogie rumaki stanęły nagle przed gankiem, z którego wychodziło jakieś światło zielonawe.

Zanim Maryusz z wysokiego kozła na ziemię spuścić się zdołał, wyskoczyła drugą stroną Florentyna lekko jak ptaszek i pociągnęła za metalową rękojeść od dzwonka.

Srebrny głos dzwonka rozległ się w dalszych komnatach, a równocześnie wypadł z ganku służący o przyjemnej twarzy, z pewną wytwornością ubrany.

Florentyna ujęła jedną ręką długą suknię, w drugiej trzymała kapelusik i elegancki batożek i tak postępowała naprzód. Za nią szedł Maryusz.

Przedpokój był oświecony lampą zieloną. Miał on raczej pozory małego saloniku niżeli przedpokoju. Bogaty dywan rozścielał się pod nogami, duże w złotych ramach zwierciadło wisiało na ścianie, a pod niem, na marmurowej konsoli, leżały przybory do czesania włosów i stały flakoniki z wyszukaną perfumą.

Wchodzący tutaj najwybredniejszy gość mógł się tu godnie przygotować do wejścia do salonu.

— Nie lubię zapachu koni,—rzekła Florentyna,—zlewając sobie ręce jakąś perfumą.

Za nią poszedł w ślady Maryusz. Weszli do salonu.

Salon był oświecony. Stały na stole dwa srebrne kandelabry, każdy o czterech świecach.

Przy tak jasnem oświetleniu można było wszystkie przedmioty dobrze widzieć. Na ścianach wisiały obrazy olejne w złotych ramach. Niektóre były nawet wysokiej wartości. Pomiędzy niemi jaśniały olbrzymie zwierciadła w ramach rzeźbionych. Meble były kryte żółtym aksamitem, takiegoż koloru i materyału były portyery. W jednym rogu stał otworzony fortepian palisandrowy, a leżące na nim nuty najnowszych utworów okazywały, że gospodyni domu nie zaniedbuje tej jednej ze siostrzyc sztuki. Również i literatura miała tutaj pewne okazy. Na małym stoliczku przed szezlongiem leżały książki w rozmaitych językach i pisma czasowe.

Drugi pokój, który do salonu przytykał, był w połowie ciemny. Widać jednak było na ścianie porozwieszane bronie różnego gatunku. Szpady, pałasze, karabele, pistolety, strzelby i rewolwery wisiały tutaj malowniczo. Dalej pod ścianą stało biurko misternie rzeźbione, przedstawiające jakąś budowę gotycką, obok niego był kantorek starożytnej roboty.

Z trzeciego pokoju, jakby z czarodziejskiej jakiej perspektywy wypływało błękitne światło. W tem świetle niezwykłem i dosyć słabem, majaczyły niewyraźnie różne sprzęty i urządzenia pokojowe, zwieszały się do ziemi w dziwacznych draperyach różne zasłony, a stojąca naprzeciw drzwi gotowalnia elegancka dawała do mniemania, że to był budoar kobiecy.

Wszystko to razem wzięte sprawiało urok niezwykłego komfortu i dobrego gustu. Możnaby wnosić, że tutaj zo-

stały ślady starego kawalera-sybaryty świętej pamięci pana Marcyana, ale przy bliższem rozpatrzeniu się trzeba było przyznać, że i zgrabna rączka pani Florentyny zrobiła tu wiele, co świadczyło o niepospolitym guście i rozmiłowaniu w rzeczach estetycznie pięknych.

Maryusz usiadł na fotelu, i z upodobaniem patrzał naokoło siebie. Florentyna tymczasem udała się do pokoju z światłem błękitnem, aby tam w ubiorze swoim coś odmienić.

Za chwilę wyszła znowu do Maryusza i lekkiem dotknięciem złotego ptaszka, który stał na stole, zadzwoniła na służącego.

— Dawać herbatę!—zawołała.

Służący zamiast odpowiedzi otworzył podwoje, które z salonu prowadziły na prawo do osobnego pokoju.

Pokój ten podłużny był ubrany w obrazy przedstawiające różne rasy i grupy koni. Były także tam różne zwierzęta, żywe i pobite. Od pułapu zwieszała się duża, misterna lampa na stół owalny, którego struktura kazała się domyślać, że może się znacznie rozsunąć i tworzyć kształt inny.

Stół ten otoczony był krzesłami, rzeźbionemi misternie z dębowego drzewa z trzcinowem wyplataniem. Na stole stały ładne naczynia z przekąską wykwintną.

Florentyna usiadła na jednem krześle — na drugiem obok niej zajął miejsce Maryusz.

Więcej towarzystwa przy herbacie nie było. Florentyna nie lubiła usługi żeńskiej—żadnej starszej kobiety nie było przy niej.

Rozmowa przy służącym toczyła się po większej części po francuzku. Florentyna władała tym językiem z prawdziwym paryzkim akcentem. Mówiono o rzeczach powszednich, o wypadkach dni ubiegłych, i drobnych przy-

godach w sąsiedztwie, o których mimo osamotnienia bardzo dobrze była poinformowana Florentyna.

Herbata wraz z wieczerzą przeciągnęła się dosyć długo. Maryusz był w dobrym humorze, Florentyna była wesoła i dowcipna.

Wreszcie opuszczono stół herbaciany i przeniesiono się do salonu. Tam zagrała Florentyna kilka sztuk najnowszych, zanuciła parę romansów francuzkich i już zaczynały się pojawiać owe złowieszcze pauzy, które są znamieniem znużenia jednej lub drugiej strony, gdy Florentyna nagle wzięła jeden kandelabr do ręki i przeszła z nim do błękitnego buduaru.

Błękitne światło buduaru zbladło przy jaskrawem świetle świec stearynowych, farbując oświecone przedmioty lekko przyćmionym kolorytem.

Florentyna postawiła na małym stoliku hebanową szkatułkę z papierosami—wyjęła jeden i zapaliła.

Za jej przykładem poszedł Maryusz.

— Więc pan byłeś dzisiaj u państwa Zygmuntów?— rzekła rzucając się na sofkę.

— Byłem — odparł Maryusz siadając naprzeciwko— i długi czas myślałem i marzyłem o tem, co tam widziałem!

— Cóżeś pan widział? Mówią, że się bardzo kochają!

— Widziałem rzeczy, których każdy samotnie żyjący człowiek zazdrościć może! — odparł Maryusz z westchnieniem.

Florentyna uśmiechnęła się rozkosznie i cienką wstążką wypuściła siny dymek aż na środek pokoju.

— Więc pan zazdrościsz panu Zygmuntowi — rzekła po chwili - zazdrościsz mu pan.... czego?

— Szczęścia, jakie jest jedynem pragnieniem człowieka!

— Pan stajesz się w dojrzalszym wieku sentymentalnym!

— Któż pani powiedział, że takim samym w młodych latach moich nie byłem?

— Powiedziałam to sama sobie... inaczej nie miałabym przyjemności dzisiaj rozmawiać z panem! Rozumiesz mnie pan?

Maryusz uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Jednej rzeczy nigdy nie spodziewałem się u pani— odparł—nie spodziewałem się nigdy—zazdrości!

— A jeżeli ją pan znalazłeś, powinieneś z tego być— dumnym!

— Więcej niż dumnym—jestem szczęśliwym!

Florentyna postrząsła ładną główką.

— Jakto łatwo panu zostać szczęśliwym!—rzekła z figlarnym uśmiechem—wystarczy gra słowa i światła w spojrzeniu oka!

— Gry hazardowne są wzbronione ustawą — odparł również z uśmiechem Maryusz.

— Wszak to zwykła dzisiejsza gra towarzyska!

— Nic nie mam przeciw temu, jeżeli ją pani dla siebie zechcesz tak nazwać—dla mnie jest ona w wysokim stopniu hazardowna!

— Cóż pan hazardujesz przy niej?

— Wszystko, co tylko człowiek swojem nazwać może! Szczęście, sny, marzenia i wszelkie błogie nadzieje, z jakich zazwyczaj składa się życie!

Florentyna spuściła papieros, zatrzymała dym w ustach i patrzała chwilę głębokiem spojrzeniem w twarz Maryusza.

Po chwili westchnęła lekko, wypuściła dym z różowych usteczek i odrzekła:

— Jakież to różne są pragnienia na świecie!

— Najlepsze pragnienia są te—odpowiedział z powagą Maryusz — które spotykają się z pragnieniem drugiej osoby!

Florentyna poruszyła głową.

— Nie zawsze! Czasami takie pragnienia poprzedza, jako warunek, inne pragnienie, bez którego tamte są niemożliwe!

— Czy może mi pani bliżej określić to pragnienie?

Florentyna westchnęła.

— Trzeba być kobietą — trzeba przejść takie koleje losu, jakie ja przeszłam, aby to wszystko zrozumieć!

Maryusz patrzał z uwagą na piękną twarz Florentyny, która teraz przyćmiła się uroczo jakąś chmurką smutku i zamyślenia.

— Mógłbym zrozumieć—ozwał się po chwili—pozwól mi pani tylko kilka kart odczytać.

Florentyna odrzuciła papieros, założyła ręce na piersi i głowę oparła o poręcz sofki.

— Znasz pan moje dzisiejsze położenie—rzekła z powagą—patrzysz pan od roku na mnie, ale nie widzisz pan tego, co mnie właściwie wyróżnia po nad inne kobiety. Czy nieprawda?

— Może to być prawdą... ale nie mogę się domyśleć...

— Pan widzisz wdowę młodą, a może nawet nie brzydką, widzisz fortunę, widzisz może czasem niejakie pragnienie z jej strony, że tę młodość i tę fortunę chciałaby chętnie podzielić z jakim godnym towarzyszem... Czy nieprawda?

Maryusz był trochę zakłopotany.

— Niezawodnie—odparł—to mogłem widzieć i przeczuwać....

— A tego pan nie widziałeś i nie przeczułeś, że tej kobiecie potrzeba wprzód do jej snów i marzeń czegoś innego....

— Nie mogę się domyśleć!

— Bo pan mnie dobrze nie znasz!.... Mnie potrzeba innej—opinii!

— Innej opinii?—powtórzył zdziwiony Maryusz i wpatrzył się w piękne, ciemne oczy ślicznej kobiety.

— Tak jest—innej opinii, — powtórzyła Florentyna z całą powagą i spojrzała przed siebie.

Maryusz bawił się tymczasem papierosem myśląc nad odpowiedzią, której naprędce znaleźć nie mógł.

— Nic pani nie rozumiem—rzekł po chwili—być może, że tylko wtedy zrozumiem, jeżeli pani mi do tego sama dopomożesz!

— W tych słowach byłeś pan nieszczery — odpowiedziała spokojnie—ale mniejsza o to. Nieszczerość ta może panu nawet zaszczyt czyni. W każdym razie chcę, abyś pan wiedział czego może nie wiesz!

Wyrzekłszy te słowa poprawiła się na sofce, oparła rękę o poręcz i mówiła dalej:

— Urodziłam się i wychowałam za granicą. Matka moja nie była polką; wnet zostałam sierotą. Ojciec łamał się z pierwszemi potrzebami życia, przez protekcyę dostałam się do naukowego zakładu kobiet. Tam to zapoznałam się z nowym prądem, który od brzegów nowego świata docierał do Europy. Był to prąd nowej myśli — uwolnienia od dzisiejszych więzów kobiety i jej równouprawnienia....

Zatrzymała się chwilę i mówiła dalej:

— Ta myśl przedewszystkiem podobała się dwom rodzajom kobiet. Bogatym lub niezawisłym podobała się dla tego, że dawała im szersze pole wolności — a biednym z tej przyczyny, że dawała im możność zarządzenia sobą

w sposób im najdogodniejszy! Ja należałam do biednych. Z radością niewysłowioną przyjęłyśmy nową ideę nowego świata i całowałyśmy pierwsze promieniste strzępki tej wschodzącej jutrzenki, która dla nas niosła dzień szczęścia i swobody!...

Po chwili mówiła dalej:

— Nie wszyscy zrozumieją co to jest urodzić się biedną dziewczyną. Wprawdzie piszą nam o miłości, o zakochaniu się i tym podobnych pięknych rzeczach, ale w życiu z tem prawie nigdy się nie spotykamy! W wieku materyalizmu nie ma uczuć bezinteresownych, a jeżeli się gdzie okażą, to albo są bardzo małemi wyjątkami, albo opierają się na zupełnie innym gruncie, na jakim je świat widzieć usiłuje. Złudzenie jest to, a nic więcej! Czyż nie słusznie mówię?

— Nie przeczę temu, — odparł Maryusz z lekkiem westchnieniem, — że dzisiaj nietylko materyalizm we wszystkiem górę bierze, ale nawet owe wyjątki, o których pani wspominałaś, muszą walczyć z podejrzeniem, że inne mniej szlachetne pobudki niemi kierowały.

Florentyna spojrzała na mówiącego, a wyraz złośliwy otoczył jej piękne usta. Chciała mu coś odpowiedzieć, z czego wcale może nie byłby kontent, ale powstrzymała się.

— Masz pan słuszność, — odpowiedziała po chwili — dzisiaj obliczone jest wszystko na złudzenie. Nie trzeba zatem ludzi winować, jeżeli nam nie wierzą! Żądza dobrych pozorów, czy to cnoty, czy dostatków, stała się tak powszechną chorobą, że musiała wywołać naturalną reakcyę podejrzywania wszystkiego a przynajmniej zrównania wszystkich pozorów tak dobrych jak i złych. Jeżeli wciąż dla pozorów dobrych koniecznie wiary się wymaga, to z drugiej strony nie odmawia się jej i złym pozorom. A że łatwiejszą jest wiara w złe rzeczy, które bliźnim szkodzą

to też kobieta ściągająca na siebie złe pozory jest od razu okrzyczaną co najmniej za lekkomyślną, jest odsądzoną od czci i wiary, jest postawioną pod pręgierz hańby publicznej! A winą tego wszystkiego jest uganianie się świętoszkowe za pozorami cnoty—i żądza uznania tych pozorów za prawdę! A pozór wzięty raz za prawdę, musi się zrównać z wszystkiemi pozorami, a więc i z pozorami złego!...

Dziwna ta, z niektórych ekscentrycznych romansów zaczerpnięta filozofia, sprawiła na Maryuszu dosyć kłopotliwe wrażenie. Mógł się zgadzać lub niezgadzać z tą filozofią, zawsze odpowiedź była dla niego bardzo trudną, gdyż nie wiedział, czy odpowiedź jego przypadnie do gustu pięknej kobiety, czy ją zadraśnie w tem, z czem ona przed nim ukrywać się chciała.

— Słowa pani, — odpowiedział ostrożnie — są bardzo piękne a może i słuszne, ale nie wiem, do czego pani właściwie dąży?

— Dążę do tego, — odrzekła spokojnie Florentyna,— że nowa z nowego świata do nas idąca idea usiłuje rozszerzyć zakres kobiety, usiłuje nadać jej więcej wolności, zrównoważyć ją z mężczyzną—a tem samem pozwala jej przekraczać dotychczasowe ciasne granice w życiu społecznem. Nowość jednak ta spotyka się u nas zaraz z pozorami złego i z gotowością do wiary w te pozory.... bo w ogóle do wiary w zewnętrzne pozory przygotowywano nas przez długie wieki!...

Maryusz skrzywił się trochę. Podobna rozmowa nie wchodziła ani w jego rachubę, ani nie był do niej należycie przygotowany. W podobne rozumowania subtelne nigdy się nie wdawał, a nawet nigdy swojej głowy do nich nie ćwiczył.

Skrzyżował więc ręce i słuchał pięknej prelegentki z wytrwałością godną lepszej sprawy. (?!)

— Powiedziałam panu,—mówiła dalej,—że ten nowy prąd rozszerzania granic kobiety, powitałyśmy z wielką radością. Kobiety urodzone w dostatkach i niezawisłe, mogły w tym prądzie widzieć tylko nadzieję większej wolności od tej, jaką mają dzisiaj. Dla biednych była to istna deska ratunku.... Wiele dzisiaj piszą o tem. Pomijam to wszystko, co na tem polu dopomódz może kobiecie przez równouprawnienie do nauk i korzyści ztąd wypływających. Biorę tylko stronę obyczajową tego usamowolnienia.

Florentyna spoczęła tutaj chwilę.

— Dotąd—mówiła dalej — miała kobieta pewne granice, poza które wyjść nie mogła, chociażby poza temi granicami była tak białą i niewinną jak baranek. Dla czego? bo był to pozór złego!... Dla pozoru więc musiała być zawsze bierną, zawsze schowaną przed okiem tych, do których zbliżały ją naturalne instynkta. Jej nie wolno nawet stać na miejscu, gdy się ktoś do niej, choćby nawet w szlachetnym zamiarze zbliża; ona podług odmiennego prawa obyczajowego musi uciekać, bo gdyby ją ujrzano, że nie ucieka, rzuconoby na nią klątwę, hańbę!... Jeszcze kobieta bogata ma większe przywileje, ma środki zadośćuczynić temu prawu obyczajowemu, a przecież nie uciekać—ale dla biednej nie ma tutaj żadnego pośredniego ratunku. Ona albo musi się cofnąć do zupełnej samotności, albo idąc na przebój, muiść bez żadnych względów wbrew opinii publicznej, która ą potępia i błotem na nią rzuca!... Czyż nie tak dzieje się na świecie?...

Maryusz ruszył poważnie głową na znak, że nic nie ma przeciw temu.

— Za mąż pójście—mówiła dalej Florentyna—jest celem kobiety. Do tego celu prowadzą różne drogi. Czasami jest to droga poważna, urzędowa. Dwoje ludzi spotyka się w życiu, odważą siebie wzajemnie na wagę moralną i mate-

ryalną, a gdy obopólny rachunek się zgadza, przystępują do ołtarza i ksiądz ich błogosławi. Czasami z jednej strony jest brak czegoś — jest brak majątku, ale za to równoważy uroda, wykształcenie lub pozycya moralna. I ta para czasem zchodzi się razem, albo spokojnie, albo po odbytej walce z otaczającemi przeszkodami. Należy to jednak zawsze do rzadszych wypadków.

— A gdzież pani miłość podziała? — zapytał Maryusz.

— Miłość?... z ironią odpowiedziała Florentyna — miłości dajmy na teraz pokój. Jest i ona, ale nie tak wygląda, jak dzisiaj o niej piszą!...

— Przecież nieraz widzimy, że mężczyzni żenią się z biednemi—tylko z czystej miłości!

— Słyszałam nieraz, że tak mówią — ale nie zaprzeczysz pan, że wtedy kobieta jest najczęściej piękną!

— Często... prawda!

— Mniej ładna nie należy do tych wybranych!

— Warunkowo mogę i to potwierdzić.

— Jakaż więc miłość prowadzi mężczyznę do takiej biednej, ale ładnej kobiety? Dlaczegóż ta sama miłość nie prowadzi go do mniej ładnej?... Otóż na to odpowiadam, że żadne wyższe, moralne przymioty kobiety nie powodują tutaj uczuciami mężczyzny, ale proste, zmysłowe upodobania!

Maryusz ruszył się na fotelu, ale pięknej towarzyszce nic nie umiał na razie odpowiedzieć.

— Każda kobieta — mówiła dalej Florentyna — może się komuś podobać, jeżeli tylko ma sposobność do tego. Bogate i niezawisłe mają cały magazyn sposobów i sposobików legalnie w kodeks towarzyski wpisanych, ale biedna ich nie ma! Ona najczęściej nie ma przystępu tam, gdzieby być chciała i podobać się mogła—dla niej wiele legalnych

i otwartych dróg towarzyskich jest zamkniętych—ona może mieć tylko drogi poboczne i zakryte, a na tych spotyka się zaraz z pozorami złych obyczajów i zaraz jest ukamienowaną!... Czy zgadzasz się pan ze mną?

Maryusz od niechcenia kiwnął głową.

— Przy materyalizmie dzisiejszym — mówiła dalej Florentyna — rzadko kiedy uboga panna może na siebie zwrócić uwagę mężczyzny. A jeżeli jest tak szczęśliwą, że ktoś, chociażby dla rozpędzenia nudów do niej się zbliży i coś przyjemnego jej powie.... cóż może z tem zrobić? Czy ma cofnąć się i to co jej dano zakopać w głębi wspomnień, czy uwierzyć i iść dalej? Ale jakże uboga dalej iść może? Dla niej nie istnieją różne środki towarzyskie, uświęcone obyczajem, a takie jakie jej pozostają, są po za granicami—dobrych pozorów! Cóż wtedy ma robić?

— Rzeczywiście—trudna pozycya,—rzekł po niejakim namyśle zakłopotany Maryusz.

— Dodajmy jeszcze do tego—mówiła dalej Florentyna—że mężczyzna zbliżający się do ubogiej, nie bierze najczęściej tego zbliżenia na seryo, ale ułoży sobie tylko pewną igraszkę. Jakież wtedy ma być zachowanie się ubogiej dziewczyny? Dwojakie: albo zbadawszy ukryte intencye mężczyzny, odwraca się z dumą i pogardą od niego, albo zbliża się do niego napozór z ufnością, ale skrycie z nadzwyczajną bacznością i sprytem niepospolitym i powoli krok za krokiem przyprowadza nieoględnego aż do pewnej granicy, na której czeka na nich święty Sakrament małżeństwa. Nie mówię, aby kobieta w tej drodze złych środków używać chciała. Uchowaj Boże! Jest w świecie serca i duszy tyle środków subtelnych, jakiemi kobieta kochająca rozporządzać może, że mężczyzna sam nawet nie będzie o tem wiedział, że za pomocą takich środków znalazł się nagle tam, gdzie zrazu wcale się nie wybierał! Ale świat...

zły, świat powszedni, który za końcem swego nosa nic nie widzi, potępi prawie zawsze taką kobietę, i wyda na nią wyrok, że poszła drogą złą i nieobyczajną! Dla czego? Bo to zbliżanie się mężczyzny do kobiety nie miało miejsca w salonie, nie odbywało się w kontredansie przyzwoitym, mężczyzna nie posyłał pannie bukietów z uprzywilejowanego magazynu – a może czasem widziano ich oboje o szarej godzinie rozmawiających pod murami kościoła!...

Maryusz zrobił tragiczny ruch ręką, jakby całą grozę podobnej sytuacyi widział przed sobą.

Zapalona apostołka swobody w obyczajach mówiła dalej z coraz większym ogniem:

— Po tem com powiedziała wyobraź pan sobie teraz biedną sierotę, która prócz Boga, nikogo nie miała na świecie! (Piękne oczy Florentyny zaszły łzami). Tułałam się po świecie szukając kawałka chleba. Miałam na pozór dosyć szczęścia. Zbliżano się do mnie z wyszukanemi frazesami, ale umiałam to wszystko należycie ocenić. Pewna doświadczona kobieta poradziła mi, abym z tych frazesów korzystała i powoli te frazesa na prawdę zamienić usiłowała. Próbowałam tego tam, gdzie moje serce mogło mieć udział — ale nie udało mi się. Przeciwnik był zręczniejszy odemnie, wymknął się. Ale ta próba rzuciła już na mnie cień podejrzenia. Oburzała mnie ta niesprawiedliwość ludzka, szamotałam się w tych niegodnych więzach zarzuconych od wieków na biedną kobietę — ale przełamać muru nie mogłam!

Florentyna westchnęła i wysłała swe ciemno-szafirowe oczy gdzieś daleko, daleko, po jakieś miłe ale dzisiaj bardzo smutne wspomnienie!...

Maryusz użył tej chwili do zapalenia świeżego cygara.

— Tymczasem wydarzyło się — mówiła po znacznej pauzie — że u wód zagranicznych poznałam Św. pamięci

Marcyana... Byłam wtedy w towarzystwie pewnej damy, którą znał nieboszczyk. Marcyan często u nas bywał, mówił ze mną bardzo wiele i codziennie dawał mi dowody swojej wielkiej przychylności. Nie powiadam abym się w nim zakochała. Był to starzec sześdziesiątletni. Ale pozycya moja osamotniona stawała się dla mnie nieznośną, a ludzie byli tak źli, że w każdym choćby najmniejszym kroku moim widzieli najczęściej coś złego!... Jeżeli według wolnego wyboru szczęśliwą być nie mogłam, postanowiłam przyjąć nad sobą opiekę starego człowieka, nie uważając go za męża ale za ojca raczej. Po pewnej rozmowie z świętej pamięci Marcyanem powiedziałam o tem mojej towarzyszce, a ta uznała postanowienie moje za rozsądne. Ale teraz następuje najważniejszy epizod mego życia.

Florentyna zakryła tutaj oczy rękoma i tak długi czas prawie bez oddechu siedziała. Maryusz użył tego czasu, aby wąsy swoje w należyty porządek wprowadzić. Wyjął z kieszeni małe zwierciadło i starannie obejrzał w nim dolną część twarzy.

Gdy wąsy i wspomnienia Florentyny w należytym były już porządku, słuchał Maryusz dalej zwierzeń kobiecych.

— Jakkolwiek nieboszczyk wyraźnie mi się oświadczył, i wyraźnie powiedział, że pragnie wejść ze mną w związki małżeńskie, na miejscu jednak tego uczynić nie chciał, wymawiając się różnemi domowemi przeszkodami, które pierwej usunąć należy. Jakieby to były te przeszkody, o tem nigdy mi nie mówił. Sądziłam, że to będą przeszkody albo familijne, albo poprostu majątkowe. Jedne i drugie mogłam usunąć — ale pierwej potrzeba było mojej obecności w majątku nieboszczyka. Nieboszczyk podzielał ze mną to zdanie i przedłożył mi życzenie swoje, abym z nim do kraju pojechała i przez czas niejaki u niego zamieszkała,

za nim owe przeszkody się nie usuną. Otóż teraz w tym przypadku moim, czyż nie jasno stawia się kwestya biednej kobiety? Cóż miałam robić? Idąc utorowanym dla nas od wieków gościńeem, powinnam była z "pogardą odrzucić podobną propozycyę mężczyzny, powinnam była mu powiedzieć, że albo natychmiast niech weźmie ślub ze mną, albo niech jedzie bezemnie, a po załatwieniu interesów swoich, niech mnie potem szuka po szerokim świecie!... Na pierwszy warunek nieboszczyk nie chciał w żaden sposób przystać, choć go o to ze łzami zaklinałam! Druga alternatywa stawiała mi bardzo smutny horoskop, bo można było z pewnością wiedzieć, że po wyjeździe o mnie nawet się nie zapyta!... Cóż było robić, jak pan sądzisz?

— To coś pani zrobiła! — odpowiedział Maryusz wypuszczając tragicznie dym z cygara.

— Gdyby to był młody człowiek—mówiła Florentyna dalej — mogłabym uwierzyć, że się we mnie zakochał, i pomimo rozstania się ze mną, przecież o mnie nie zapomni. Nieboszczyk był człowiek stary — wiedziałam, że tylko obecność moja sprawia na nim przyjazne mi wrażenie i że obecności mojej przy nim koniecznie potrzeba, aby w końcu ze mną, jak mi obiecywał, zaszedł do ołtarza. Cóż miałam zrobić?

— Już powiedziałem,--odparł Maryusz zakryty chmurą.

— Po długiej walce, po krwawym płaczu — postanowiłam jego woli zadość uczynić i chociaż nie byłam jeszcze ślubną żoną jego, udałam się z nim do kraju. Wyobraź pan sobie, co zaraz z tego powodu ludzie w całym powiecie o tem mówili!... Brzydki, okropnie brzydki jest ten świat, który tylko czycha na to, aby na kogoś błotem, kamieniem rzucić! Pogardzam nim i wydałam mu wojnę, wojnę do ostatka!

Maryusz machnął kilka razy ręką, jakby także tym światem pogardzał.

— Jakież pani przeszkody zastałaś w domu nieboszczyka – zapytał po chwili?

— Przeszkody?... przeszkody, jakie zazwyczaj napotykają się po majątkach starych kawalerów, którzy zamiast połączyć się z godną kobietą przed Bogiem, w sybaryckich swoich wygodach szukają innych, niegodnych rozrywek.

Maryusz pośpieszył prędko z giestem, któryby okazał, że z mówiącą zupełnie się zgadza, a od niego odwrócił podejrzenie, że także do owych niegodnych sybarytów należy.

— Ale dzięki raz powziętemu postanowieniu, uwolniłam nieboszczyka od zmory, która go dusiła, i po zwalczeniu brzydkich namiętności wyszedł razem ze mną na otwartą polankę uczuć szlachetnych, o których dawniej nie miał wyobrażenia! I kiedy właśnie oczyszczony z dawnych nawyczek zdążał do kresu lepszego, szlachetniejszego życia, owładnęła go niemoc śmiertelna i życiu jego koniec położyła. Ale aby ludziom odjąć wszelki pozór do złej o mnie opinii, połączył się przed śmiercią legalnym ślubem ze mną.

— Są przecież na to pisemne dowody? — zapytał Maryusz z pewnym niepokojem.

— Są dokumenta ślubu i testamentu! — odpowiedziała Florentyna i długa pauza milczenia nastąpiła teraz.

Maryusz jednostajnie puszczał kółka z dymu w powietrze, jakby niemi znaczył ustępy myśli swoich, a Florentyna puściła wspomnienia gdzieś daleko, może aż do śmiertelnego łoża umierającego Marcyana Łodzi, który przy śmierci stał się nieocenionym jej dobrodziejem! A może też w inną, dalszą jeszcze stronę poszły jej wspomnienia, może zaszły aż tam, gdzie jej serce z równem szczęściem drugiego serca bić mogło, a przecież nie biło!...

Po niejakim czasie ozwała się Florentyna:

— W dzisiejszem mojem położeniu, zanim jeszcze o nowem szczęściu pomyślę, mam jedno pragnienie, o którem panu na wstępie rozmowy wspomniałam.

— Jakież pragnienie? —zapytał Maryusz.

— Czy się pan nie domyślasz?

— Domyślić się mogę, ale nie wiem czy trafię....

— Wszak dzisiaj widzisz mnie pan w stanie, którego niejedna może mi zazdrościć! Mam majątek i pozycyę materyalną tak dobrą, jakiej szukać w całem sąsiedztwie.

— Nikt tego bynajmniej nie zaprzecza!

— Otóż w dzisiejszem mojem położeniu pragnę tego, czego mi ludzie zaprzeczają!

— Czegóż mają zaprzeczać? - Są dokumenta ślubu i testamentu... proces krewnych nieboszczyka...

— Skończył się na moją korzyść.

— Czegóż więc chcą ludzie? Zazdroszczą pani!

— Być może że zazdroszczą, ale zazdrość tę maskują innem uczuciem, które mocno dokucza!

— Nie rozumiem!

— Zarzucają mi, że niezwykłą drogą przyszłam do mego szczęścia. Rozumiesz mnie pan?

— Cóż im szkodzi ta „droga niezwykła“?

— Tę drogę niezwykłą po swojemu nazywają inaczej, i odmawiają mi zwykłego szacunku.

Maryusz z nieukontentowaniem podkręcił wąsa.

— Wyjątkowa sytuacya pani—rzekł po chwili — może im wprawdzie dać materyały do różnych ubocznych podejrzywań, ale cóż to panią obchodzi?

— Czuję się bardzo osamotnioną, a to co się do mnie ciśnie, niegodne mnie!

Maryusz westchnął:

— Można przecież na to sobie poradzić. Można

z kraju wyjechać, można zamieszkać w Dreznie, w Wiedniu, w Paryżu albo w Rzymie. Tam zostanie wszystko za panią jak wątła pajęczyna, którą wiatr porwie i po krzakach poroznosi, a nowi ludzie i znajomi sądzić będą o pani podług zasobów materyalnych.

Gdy Maryusz te słowa wymawiał, błyszczała radość z jego oczu. Obrazy, które teraz przechodził, odbijały się rozkosznie w jego duszy i poznać można było po jego twarzy, że o tem co mówił słodko zamarzył.

Florentyna patrzała z uwagą na niego. Na jej ustach różowych igrał uśmiech ironiczny, tłumiła coś w sobie czego okazać nie chciała. Po chwili z widocznym wysiłkiem woli swojej przybrała minę poważną, odetchnęła pełną piersią i rzekła:

— Pan stawiasz mi przed oczy bardzo ponętne obrazy. Nieraz w życiu podróżowałam i na wspomnienie tych dni czuję wielką rozkosz w sercu. Ta rozmaitość, ta nowość nieustanna, to dziwne życie bez obowiązków na jutro, może nas upoić aż do zapomnienia! Potem ta wolność rozrządzania sobą, ta wiedza, że nikt kroków naszych nie kontroluje, bo nikogo nie obchodzimy, i ta prawdziwa rozkosz, że stałych sąsiedztw wkoło siebie nie mamy, które chciwe plotek, zdolne są najgorsze rzeczy wymyślić i im potem uwierzyć — wszystko to jest wielką korzyścią podróżników szczęśliwych, ale nie wszyscy mogą sobie w ten sposób życie urządzić!

— Cóżby pani stało na przeszkodzie wyjechać za granicę i tam mieszkać w wielkiem mieście, które ma tyle rozrywek i przyjemności?

Florentyna zrobiła tu małą pauzę. Z ironią patrzała chwilę na mówiącego, a ukrywając przemocą śmiech wydobywający się całą twarzą, odrzekła:

— Pan sądzisz, że ja na życie zapatruję się ze stano-

wiska rozrywek i zabawek codziennych? Nie wiem czem dałam panu powód do takiego mniemania, które mi ubliża. Przecież życie jest czemś innem, niżeli zabawką i rozrywką. Przecież mamy obowiązki, które spełnić musimy. A obowiązki mieszkających na wsi są poważniejszej natury, niżeliby na oko sądzić można. Tu otacza nas lud małoletni, dla którego żywym przykładem być mamy. Tu powinniśmy z każdego dnia zdać sobie sprawę, cośmy zrobili pożytecznego dla tych, co nas otaczają, lub dla potomności. Miasta zajmują się teraźniejszością, na wsi ciążą obowiązki dla przyszłości!

Maryuszowi zagasło cygaro. Na takie słowa nie był przygotowany. Z zadziwieniem spojrzał na piękną kobietę, z najmodniejszą fryzurą, która takie rzeczy bez zająknienia się wymawiała! Zkąd się takie słowa wzięły w jej ustach, które tak zręcznie cygaro trzymać umiały?....

Zanim jeszcze Maryusz do siebie przyszedł, wstała piękna Florentyna a szeleszcząc jedwabną suknią, przeszła się kilka razy po buduarze.

— Zadziwia to pana,—rzekła do niego,—z tej strony jeszcze mnie pan nie znałeś i nie mogłeś wiedzieć dla czego pragnę innej sytuacyi, niżeli tej, w jakiej jestem teraz! Nie chcę być tak osamotnioną jak jestem teraz, bo takie osamotnienie przeszkadzałoby mi w najlepszych chęciach moich. Prócz tego plotki sąsiedzkie mogłyby wejść między lud, a w takim razie wszelki trud i praca stracona!... A dotąd widzę wielkie osamotnienie moje, ludzie unikają mnie, prócz tych, którym majątek mój się podoba.....

Maryusz zakaszlał i posunął się na krześle.

— Kobiety—mówiła dalej Florentyna—unikają mnie nawet w kościele — nie widzą mnie nigdzie — omijają mnie zdaleka—z szyderstwem patrzą na mnie—szepcą sobie coś do uszu na mój widok — wytykają mnie palcem —... to są

rzeczy, których przecież obojętnie znieść nie można! A jakiż grunt mają do tego wszystkiego? Złe pozory! Widzisz pan, pozory i zawsze pozory! Otóż według mnie powinna kobieta raz skończyć z tym ostracyzmem pozorów i tak żyć, aby już raz tych pozorów nie było!

— Czas może tu wiele zrobić—odpowiedział Maryusz —a cóż innego pozostanie?

— Trzeba raz ludzi przekonać, że pozory mogą być gorsze od człowieka i dla tego nietrzeba się od tych pozorów uchylać tchórzliwie. Gdy ludziom już dosyć będzie, wtedy wrócą się do dobrej o nas opinii. Przecież nie tak źle było—powiedzą sobie—jak się wydawało!

Maryusz zmarszczył trochę czoło. Filozofia taka nie przypadła mu do smaku. Przypomniał sobie wiele takich pozorów, które dla niego dość dokuczliwe były, a między innemi i dzisiejsze łowy pstrągów....

— Powiadasz pan, że czas może tu wiele zrobić—mówiła dalej Florentyna—nie przeczę temu, ale my od roboty nie powinniśmy gnuśnie się odsuwać. Trzeba i z naszej strony jakiejś roboty!

— Nie wiem o czem pani myśli!

— Trzeba się zbliżyć do ludzi.... trzeba w sąsiedztwie wyszukać strony najprzystępniejszej!...

— Czy masz pani kogo na myśli.

— Trzeba domu poważnego, który w całem sąsiedzwie ma aureolę zacności i szacunku... trzeba w tym domu najprzód obmyć się pierwszą wodą, a potem pójdzie już rehabilitacya łatwiej! Ludzie często są podobni do stada owiec. Gdy jedna skoczy, inne pójdą w jej ślady. Gdy jeden sąsiad coś krzyknie, inni krzykną za nim—gdy zaś powie hola!—niesprawiedliwie sądzicie—nie jest tak źle!... wszyscy odpowiedzą, że tak jest, że niesprawiedliwie sądzono, że źle nie jest!... Nieprawdaż?...

— Ktoryż byłby to dom?

— Sądzę, że w takim razie mógłbyś mi pan być pomocnym...

— Ja? Gdybym tylko mógł!

— Jesteś pan przyjacielem tego domu... byłeś drużbą...

— Pani Augusta.... Zygmunt?...

— Tak, pani Augusta — to kobieta na którą cały powiat się patrzy. Pan Zygmunt jest przyjacielem pana, a pani Karola kocha męża swego jak pensyonarka. Sprawa pana nie będzie trudną, a dla mnie może się ona stać progiem do nowego szczęścia, za którem tęsknię, a przy którem i pan jakiś udział mieć możesz!

Mówiąc to dotknęła się różowym paluszkiem ramienia Maryusza i uśmiechnęła się tak rozkosznie, że Maryusz już był w siódmem niebie, nim jeszcze wszystko co słyszał w głowie swojej mógł uporządkować.

Chciał wziąść ten paluszek i serdecznie go ucałować— ale Florentyna w tej chwili cofnęła rękę i z powagą rzekła do niego:

— Wiem dobrze, że w tym domu znajdziesz pan wielkie trudności. Jest to dom dawny, tak zwany obywatelski. Obywatelstwo wiejskie, jak każda korporacya, jest zawistnem dla tych, którzy z po za jego sfer wchodzą w te same szeregi. Słowem nie lubią tak zwanych intruzów z innych stanów, albo czasem nawet i powiatów. Takim intruzem jestem ja w ich oczach — ztąd tak łatwo wierzą temu wszystkiemu, co ktoś na wiatr powie, bo są mi już z góry nieprzychylni. Być może, że i pan tego doznasz, jeżeli dłużej tutaj zostaniesz.

Maryusz zamyślił się.

— Przed czynem żadnych namysłów — mówiła dalej Florentyna—a tem bardziej jeżeli jest coś do wygrania przy tem! Rozumiesz mnie pan?

Florentyna podała drobną rączkę Maryuszowi, a drugą wskazała na bronzowy zegar pod kloszem, który okazywał już godzinę po północy.

Maryusz zrozumiał ten ruch i westchnął.

— Tak prędko! wyrzekł, i małą rączkę przycisnął do ust gorących.

— Prawda że prędko!—powtórzyła z uroczym uśmiechem Florentyna — ale może przyjdzie czas, że godziny jeszcze prędzej biedz będą niżeli dzisiaj..... dobranoc..... dobranoc..... za kilka dni rozpoczynamy akcyę!

Jeszcze kilka razy wyszło z różowych ust pięknej kobiety to czarowne słowo: dobranoc... a za chwil kilka zniknął wózek w ciemnościach nocy.

XIV.

Już niebo zarumieniło się brzaskiem jutrzenki, gdy Maryusz zdążył do swego folwarku.

Był to dom podłużny, dosyć obszerny. Zdaje się że dawniej nie miał on wyłącznego właściciela, ale należał do większego majątku i był tylko siedzibą delegata dworskiego, który tym obszarem rządził i według swego najlepszego rozumienia orał i zasiewał. O wygodach życia nie było tu mowy, zresztą mieszkaniec tego folwarku nie miał zapewne większych pretensyj do wygód, nad zaspokojenie najpierwszych potrzeb życia.

To też wszystko było obliczone stosownie do tych potrzeb. Całe obejście było zagrodzone wysokim płotem, który na froncie miał prostą, zwykłą bramę. Na dziedzińcu była studnia z żórawiem. Dom mieszkalny miał na jednym rogu dwie duże izby po jednej stronie, po drugiej była kuchnia i piekarnia. Za temi ciągnął się szereg komór różnego rodzaju, przeznaczonych na schowki narzędzi gospodarskich. Naprzeciwko tego domu była duża stajnia, a trzeci bok zabudowań tworzyły szopy i stodoły. Wszystko to było pod słomą, tylko dom mieszkalny miał gonty.

Później, przy rozdrobnieniu majątków ziemskich, fol-

wark ten otrzymał osobnego właściciela i był siedzibą jednego z potomków dworu.

Nowy właściciel nie mógł budynku ekonomskiego przekształcić w dwór obywatelski, bo do tego prawdopodobnie brakło pieniędzy. Zrobił więc co się małym kosztem zrobić dało. Przyczepił ganek, ściany pomalował na żółto, wewnątrz izby kazał wykleić malowanym papierem, a brak rzeczywistego kominka zastąpił malowanym według genialnego pomysłu wędrownego malarza. Reszta została po dawnemu.

Prawdziwą ozdobą tego arkadyjskiego ustronia był sad rozległy i wysoko wyrosły. To jednak nie było już zasługą młodszego pokolenia, które o przyszłości nie myśli. Stary jakiś właściciel dworu pomyślał o wnukach i prawnukach, posadził na pustej przestrzeni parę tysięcy sztuk drzew owocowych, a reszty dokonał Pan Bóg. Prawnuki zaś tego pracowitego człowieka, biorąc coroczną kwotę za dzierżawę gruszy i jabłoni, nie westchnęli nawet ani razu do Boga za spokój duszy domyślnego antenata, który wiedział, że takiej kwoty kiedyś zapotrzebują licznie rozrośnięci potomkowie....

Zdaje się jednak że i dochód z owoców nie pomógł wiele wybrednej potomności, bo ostatni tego folwarku właściciel opuścił w nocy progi rodzinne i więcej do nich nie wrócił, mimo wszelkich sądowych nawoływań.

Zamiast niego stanęła przed sądem rzesza żydków z papierami w zanadrzach, złorzecząc głośno imieniowi jakie tyle lat z powagą nosił ów antenat rodu, który te piękne drzewa zasadzić kazał.

Od tego czasu folwark zmieniał kilka razy właściciela, a na dłuższy czas zatrzymał się przy propinatorze miasta powiatowego, który tam dla rodziny swojej urządził sobie willegiaturę.

Ale nieszczęście prześladowało mieszkańców folwarku, który dziwnym sposobem nazywał się „Cudzą Wolą“! Propinator dopuścił się w gorzelni znacznej defraudacyi dochodów rządowych a „Cudza Wola“ przeszła na rzecz sekwestru, jaki rozciągnięto na cały propinatora ruchomy i nieruchomy majątek.

Od sekwestru dostała się „Cudza Wola“ jako dzierżawa do rąk Maryusza.

Warunki dzierżawy były dosyć uciążliwe, bo sekwestr nie dał na dłuższy przeciąg czasu folwarku wydzierżawiać. Maryusz jednak przyjął wszystkie warunki tak co do czasu jako też i inwentarza, czemu wszyscy sąsiedzi mocno się dziwili.

Byli jednak między sąsiadami tacy, którzy w tej dzierżawie Maryusza coś innego upatrywali. Wiedzieli o tem, że panu Maryuszowi wpadła w oko młoda, ładna i bogata wdówka i że chciał się jak najbliżej niej ulokować, aby potem z folwarku przenieść się do pałacyku.

Zdaje się, że rzeczywiście takie zamiary miał Maryusz. Wszystko bowiem przemawiało za tem. Samo dzisiejsze urządzenie tego domu okazywało, że dzisiejszy mieszkaniec uważa ten dom tylko za etap do dalszej swej podróży.

Ganek odznaczał się największą prawie troskliwością. Był on opatrzony różnokolorowemi taflami szkła, a wewnątrz przystrojony różnemi trofeami myślistwa. Wisiały tam rogi jelenie, skóry i łby z dzika, a nawet puszasty niedzwiedź patrzał ze ściany na przychodnia świecącemi szklannemi oczyma. Przedsionek za gankiem był bardzo mały, bo powstał z przegrodzenia obszernej sieni, aby drzwi do kuchni zasłonić. Przez ten pasaż przechodziło się do pierwszej izby, dzisiaj salą nazwanej. Izba ta była wyklejona papierem malowanym, miała kanapkę wełnianą i kilka

foteli, stół okrągły i obrazki za szkłem, które tworzyły zbiór premij Towarzystwa sztuk pięknych.

Alkierz za tą izbą stanowił pokój sypialny dzisiejszego gospodarza. W nim mieściło się jeszcze najwięcej komfortu, ale był to komfort przeważnie podróżny.

Łóżko wcale niewykwintne nakryte było wykwintnym dywanem. Na stoliku stała kawalerska gotowalnia bardzo okazała. Błyszczały tam srebra i kość słoniowa i szkła zużyte. Było mnóstwo narzędzi rozmaitych, które mogły nawet słusznie napełnić portfeil chirurga. A wszystko było angielskie, wykwintne i z gustem dobrane.

W drugim rogu na małym stoliku stała srebrna miednica z srebrnym, misternie rzeźbionym kubkiem. Leżały przytem mydła różnej edycyi i szczotki rozmaitego kształtu.

Dalej świeciły się dwa kufry błyszczącą blachą po rogach obite. Z szafy wyglądało futro niedźwiedzie, ów konieczny paliusz dzisiejszy każdego obywatela ziemskiego, który ma prawdziwe poczucie swojej godności.

Kilka siodeł, szpicrut, dwa batogi i pięć par butów różnego kalibru uzupełniały, jakby na oko sądzić można, ałyc ruchomy majątek właściciela — krom wózka, koników i Michałka w czapce lakierowanej ze srebrnym galonkiem.

Jeszcze do tego doliczyć trzeba samowar duży. Kilka maszynek do kawy różnych systematów i okazały portfeil na listy i papiery w czerwony safian oprawny.

Do tego całego otoczenia należałoby dodać jeszcze konterfekt samego gospodarza.

Pan Maryusz herbu Ostoja należał do typu ludzi, jakich pełno jest w kraju naszym. Jest to typ tak spowszedniały, że trudno do niego dodać coś ciekawego.

Maryusz był synem rządcy pewnego większego majątku. Jak rządca zapatrywał się we wszystkiem na swego pryncypała hrabiego Alberta, tak też i syn jego pierworodny wziął sobie za przykład syna hrabiego młodego pana Alfonsa.

Rządca był to człowiek nowej daty. Nie należał on do tych rządców dawnych, którzy pokornie bez czapki przed dziedzicem stali, nisko się kłaniali, w domu kaszę z mlekiem jedli, dobrze gospodarowali i uczciwie się prowadzili, a po skończonej służbie na emeryturę wychodzili z nieszpetnym kapitalikiem, za który kupowali sobie własny mająteczek.

Ojciec Maryusza należał do ludzi postępowych. Na oko trudno było odróżnić go od dziedzica. Przy zrównaniu praw ludzkich zrównali się we wszystkiem z sobą. Rządca nosił nawet lepszy kapelusz od dziedzica, pani rządczyni nosiła lepsze jedwabie i piekła droższe ciasta od tych, które szły na stół pański, jeździła lepszą od dziedziczki karetą. W domu, (osobliwie, gdy hrabstwa nie było) podejmowano gości w taki sam sposób, jak to widziano u hrabstwa, te same gatunki win były przy obiedzie, a cygara jeszcze droższe. Nawet służba miała szyk hrabski, a rozmowa tak daleko odbiegała od rzeczy, które do rządcy należały, że nieznajomy gość nie mógłby się zoryentować, czy jest w domu zwykłego ekonoma, czy w salonie arystokratycznej dzielnicy S-nt Germain!... Żona bowiem rządcy była ciągle na wyżynach życia, a od niechcenia opowiadała o loży pierwszopiętrowej, z której patrzała się na produkcye wędrownego teatru, a za którą trzeba było tyle zapłacić, ile można było mieć za korzec sprzedanej pszenicy.

Na takiem postępowem stanowisku miał też i rządca prawdziwie postępowe upodobania. Lubił polowanie z char-

tami, do czego trzymał trzy rasowe bieguny. Lubił wysoką grę w karty, wina francuzkie i herbatę karawanową.

Wkoło domku ekonoma roiło się mnóstwo psów rasy rozmaitej, a były nawet i takie, które miały urzędowy rodowód z pieczęciami.

W takiem otoczeniu wychowywał się młody Maryusz. Rodzice starali się zawsze wścibić go między dziatwę pańską i cieszyli się niezmiernie, gdy Maryusz umiał z tem i owem paniątkiem gracko się zaprzyjaźnić.

Hrabia Albert nic nie miał przeciw temu, aby Maryusz z jego Alfonsem trochę się pobawił, a matka Alfonsa kazała mu nawet często za to dać kawy lub herbaty.

Powoli wchodził Maryusz coraz więcej w stosunki pańskie i gdy był już młodzieńcem, pochwycił zręcznie ton podobnych sobie próżniaków na chlebie pańskim, nazywając dobrodziejów swoich po imieniu chrzestnem, tak jak ich nazywa rodzina. Hrabia Bonifacy był u niego „Facusiem“, jak go krewni nazywali, książę Jerzy „Jurciem“ a baron Zenon „Zyziem kochanym“. Mianowicie używał tych słów, gdy mowa była o nieobecnych.

— Widziałem dzisiaj Adasia w mieście! — mówił do znajomych o księciu Adamie, chociaż książe ani słowa do niego nigdy nie przemówił, ani do nazywania go „Adasiem“ nigdy go nie upoważnił.

— „Miecio“ dzisiaj niedobrze wygląda — mówił do hrabiego Salezego—widziałem go w kościele.

Miał to być hrabia Mieczysław, z którym Maryusz żadnych nie miał stosunków, ale którego u hrabstwa tak nazywano!

Takie zużyte już dzisiaj uganianie za pozorami stosunków bliższych z ludźmi, którzy po za sferą nawet prostej znajomości stają, takie nazywanie ich zdrobniałemi imionami chrzestnemi, do jakich tylko rodzina, lub najbliż-

si przyjaciele prawo mają, jest dzisiaj już taką śmiesznością, że nawet mówić o tem niewarto, gdyby ta śmieszność w skutkach swoich nie była tragiczną.

Nie ma bowiem w gruncie rzeczy nic tragiczniejszego jak fałszywa pozycya. Może ona nazewnątrz być śmieszną, można nawet użyć dla niej lekkiej satyry—ale z poważnego widziana stanowiska przedstawia jedną z najboleśniejszych ran naszego społeczeństwa.

Zajęta nieoględnie fałszywa pozycya w towarzystwie prowadzi do wszystkiego złego.

Nie ma przestępstwa, nie ma zbrodni nawet, jakąby nie chciał ratować się człowiek, aby takiej pozycyi raz zajętej nie postradać.

Wyradzają się ztąd awanturnicy, ludzie na wszystko gotowi, niecofający się przed żadnym środkiem, aby tylko pozostać tam, gdzie się przypadkowo raz stanęło.

Gdy człowiek taki nie ma należytej energii do bronienia swojej pozycyi, z której nieprzebłagana logika faktów nieustannie go strąca—zostaje biernem i wygodnem narzędziem w rękach najgorszych z tych, do których się cisnął, aby na jednym z nimi stać poziomie.

Staje się wtedy za kęs pańskiej pieczeni pośrednikiem rzeczy niecnych i brzydkich, pożycza ręki swojej do brudów najnikczemniejszych, a za jeden fawor łaski gotówby nawet popełnić zbrodnię!

Do tego wszystkiego prowadzi nieoględne wychowanie, pchanie dzieci do sfery, do której całem przyszłem życiem nigdy należeć nie będą, bo warunków do tego nie mają.

Postępowy rządca hrabiego Alberta myślał, że wszystkich obowiązków swego ojcowstwa znakomicie dopełnił, jeżeli syna wychował na panicza i próżniaka, bratającego

się z paniątkami i nazywającego hrabiów i książąt po imieniu chrzestnem.

To też bardzo smutne było życie Maryusza, gdy postępowy rządca do wieczności się przeniósł, a syn jego pierworodny miał tylko tyle zasobów materyalnych, ile potrzeba było na kupienie wózka eleganckiego, takiego samego jaki miał hrabia Alfons—karych koników i Michałka w czapce lakierowanej.

Zrazu było jeszcze jako tako. Znało się tego i owego, można było na parę tygodni pojechać, zagrać w karty i zapolować. Ten i ów znajomy nie zamknął drzwi przed gościem, chociaż serdeczności jego niebardzo akceptował Pozwolił mu jeść chleb swój i cygara swoje wypalać do pewnego czasu. Potem zręcznie skierował kroki jego w inną stronę i zrobił krzyżyk za jego plecyma, chociaż od frontu grzecznie go ucałował.

Szło to czas jakiś, a mina była przytem niezgorsza, bo w skrytości duszy wylegał się planik wcale niezły.

Maryusz był przystojnym mężczyzną, miał nadzwyczajną swobodę w obejściu się z ludźmi, bo tego tylko uczył się, i prócz tego miał stosunki w tak zwanej wyższej sferze, które pewien blask rzucały na niego.

Z takiego kapitału trzeba było póki czas skorzystać. Maryusz postanowił to uczynić i za ten kapitał kupić sobie jaką szlachciankę jednowioskową, z którą byłoby mu bardzo do twarzy.

I niewiele brakowało, a byłby tego szczęścia dostąpił. Dopomagały mu do tego tradycye obywatelskie, że łatwiej jest ułowić pannę ze dworu dobrze dobranym zaprzęgiem, chociażby na kredyt kupionym, niżeli dyplomem pracy i uznania powszechnego!... że więcej w takim razie znaczy protekcya Jmćpani Kalasantowej, która się rodzi z Radziwiłłów i dwa razy do roku w Paryżu bywa, niżeli

Bóg wie jakie rekomendacye uniwersytetów i innych zborów poważnych!...

Otóż wydarzyło się, że Maryusz wytropił gdzieś nad Bugiem taką pannę jednowioskową, która do stosunków arystokratycznych wzdychała — znalazła się także już niemłoda hrabina, która rzeczywiście z Radziwiłłów pochodziła i szczególny swój fawor na przystojnego Maryusza skierowała — słowem było wszystko gotowe, gdy między panną a starościną zaszło jakieś nieporozumienie co do praw wzajemnie sobie przyznawanych, i skończyło się smutną dla Maryusza utratą tak panny, jako też i protektorki!

Obie przeszły do obozu najzaciętszych nieprzyjaciół!

Po tej nieudanej wyprawie po złote runo małżeńskie, nastąpiła druga i trzecia, a jakkolwiek każda z nich była bardzo bliska celu, zawsze jednak przy brzegu rozbijało się wszystko, a biedny Maryusz osiadał na mieliznie!

Nie złamało to wprawdzie nadziei rozbitka, ale lata ubiegały tymczasem i znaczyły kreski swoje na czole i skroniach nieszczęśliwego kandydata do panny jednowioskowej!

Nie było to wcale zabawnie, ale rzeczy musiały iść swoim torem.

W tym to okresie czasu nastąpiła znajomość Zygmunta z Maryuszem. Maryusza poznał Zygmunt gdzieś u jednego z bogatych krewnych swoich, a że obaj wtedy mniej więcej na jednym wózku jeździli, zaprzyjaźnili się prędko z sobą jako ludzie jednego znaku. Prócz tego Maryusz dowiódł tu pewnego znawstwa ludzi i sytuacyi. Spostrzegł, że Zygmunt przy lepszych warunkach prędzej do upragnionego portu zawinie i że wtedy będzie mógł podać mu rękę pomocną. Z tego powodu, obliczywszy to wszystko, wszedł z nim odrazu w ścisłą przyjaźń, dając mu różne skuteczne

rady z bogatego zasobu swoich doświadczeń. Zygmunt zaś osamotniony wtedy i do szlachetniejszych porywów zdolny, przyjął z wdzięcznością ofiarowaną przyjaźń a nawet przyrzekł mu, że jego ramieniu powierzy przy ślubie przyszłą swoją narzeczonę.

Tak też się i stało, a Maryusz zabierał się teraz do plonu który tak rozsądnie posiał.

Warunki położone przez Florentynę były wprawdzie trudne, ale drużba liczył teraz wiele na przyjaciela, i miał nadzieję, że wszystko uda mu się wybornie.

Długo więc myślał o tem, gdy do Złotej Wiszni przyjechał i swobodnie na łóżku się położył, a obraz rozkosznej kobiety przesuwał mu się od czasu do czssu przed oczyma, aby go w powziętem postanowieniu tembardziej utwierdzić.

Cała jego uwaga była teraz zwrócona na Złotą Wisznię, gdzie miał się rozegrać ostatni akt dramatu jego burzliwego życia.

Do tego aktu postanowił jednak wszystko dobrze przygotować.

XV.

Gdy tak Maryusz w zamysłach swoich powoli Złotą Wisznię do planów swoich wciągał, rozegrywał się tam w tej chwili dramat niemniej ciekawy, którego ekspozycya datowała od samego ślubu.

Jak wiadomo Zygmunt był drażliwy na swoje stanowisko w majątku żony. Robił wszystko co tylko mógł, aby w domu i sąsiedztwie uchodzić za rzeczywistego pana i właściciela majątku. Pani Augusta była w wysokim stopniu wyrozumiałą i sprzyjała nawet tym chęciom Zygmunta, chcąc mu dać grunt do należytego w powiecie stanowiska. Karola zaś kochała swego męża nad wszystko w świecie i byłaby nawet chętnie wyparła się majątku swego, gdyby tylko mogła tem sprawić mu jaką przyjemność.

Warunki więc były dla Zygmunta bardzo korzystne. W takich warunkach można było wiele zrobić — ale przeszkadzała temu jakaś Nemezis, która z samej sytuacyi wypływała.

Gdyby Zygmunt choć w czemkolwiek mógł zrównoważyć majątek żony, gdyby z jaką taką zasługą osobistą stanął przed nią—gdyby zresztą Karola należała do tych lekkich istotek, które lubią świat i zabawy i rade są mężom

swoim, jeżeli umią te zabawy z szykiem urządzać i różne pochlebiające im stosunki towarzyskie wyrabiać—to jeszcze mógłby Zygmunt coś dla niej zrobić i z tego przed sobą się pysznić. Ale na to wszystko nie było miejsca w zacnym, poczciwym dworze, a nieszczęśliwy wyglądał tutaj jak zwierzę szlachetne zamknięte do wygodnej klatki!

Nie mógł nawet liczyć na żadną troskę. Gdy tylko oczy ze snu otworzył, ujrzał już w pokoju jadalnym stół nakryty i słyszał szum samowaru, który wołał wszystkich do śniadania. Karola podała mu filiżankę swoją ręką, pani Augusta posmarowała mu kromkę chleba masłem, a on potrzebował tylko pożuć trochę zębami i całe śniadanie było skończone.

O jednej i tej samej godzinie przychodził stary Onufry do pokoju, przypatrywał się sędziwemu zegarowi, i według jego skazówek nakrywał do obiadu i potrawy przynosił, jak to zwykł robić od lat kilkudziesięciu.

To samo działo się przy herbacie.

Zygmunt nie miał dla siebie żadnego pola do roboty, a to co robił, było tylko pozorne. Chciał wyjść na szerszy horyzont, ale tam właśnie powiedziano mu, że do takiej pracy nie ma żadnego mandatu, bo dotąd nic nie zrobił i niczem się nie zalecił.

Pozostały mu tylko różne sposobiki, któremi w domu i w sąsiedztwie chciał swoją niezależność ratować.

Wiadomo już jakie to były te sposobiki. Mieniał i kupował konie, powozy, bryczki, psy i barany, aby tylko w domu i w sąsiedztwie mówiono, że sam wszystko robi według swego zachcenia. Potem dołączyła się do tego mania odmieniania służby. Odpędzał parobków i przyjmował nowych, groził każdemu utratą chleba, i natychmiast groźbę urzeczywistniał, jeżeli na jaki opór natrafił.

Miało to mu nadać pozór niezawisłości i wszechwładz-

twa, którego tem więcej łaknął, im więcej przekonywał się, że niczem na nie zasłużyć nie może. Mania ta doszła w końcu do pewnego szału jak u starca, którego siły już opuściły, a który chce jeszcze być silnym!

Było rzeczą bardzo naturalną, że podobna żądza wywołana niemocą, była często ślepą i trafiała tam, gdzie trafić nie chciała.

Pozbył się dobrych koni, a nabył złe i kaleki, chociaż brat sąsiad dał mu słowo honoru, że są zdrowe i czyste jak bursztyn. Śmiano się z niego, że go zdołano oszukać— a oszukaństwo w koniach należało w powiecie do takich samych godnych pochwały czynów, do jakich w starej Grecyi należało sprytne złodziejstwo.

Pomieniał dobre powozy za złe i połatane, a służba śmiała się po kątach. Zygmunt sam wiedział potem, że się oszukał, ale szedł dalej tą drogą, aby tylko sąsiadom dowieść, że nie jest malowanym mężem na majątku żony, ale że sam niezawiśle rządzi i panuje.

Prowadziło to do różnych nieprzyjemnych scen domowych. Mimo wszelkiej wyrozumiałości nie mogła pani Augusta puścić płazem takich wybryków i czasami skarciła je należycie. Nie mogła także i Karola zostawić samą matkę na tem polu. Przyłączyła się do niej, i słowami nadzwyczaj oględnemi zaklinała męża, aby nic nowego w domu nie zaprowadzał i spokojnie się zachował.

Słowa te pełne miłości i słodyczy rozdrażniały tem więcej Zygmunta, że trafiały właśnie w najboleśniejszą jego ranę.

W tych słowach widział rozgorączkowany Zygmunt ukrytą wojnę przeciw sobie, widział wymówki, że to wszystko nie jest jego, że tem dowolnie rozporządzać nie powinien.

Nie zapomniał o tem, że przed ślubem była pani Au-

gusta przeciw niemu i że tylko niezłamana miłość Karoli zdołała jej upór przełamać. W słowach więc dzisiejszych widział ciąg dalszy tych nieprzychylnych chęci ku sobie, widział jasno usiłowanie matki, aby i córkę dla tej nieprzychylności pozyskać.

Takiem chorobliwem okiem patrzał w koło siebie, gdy pewne zdarzenie zaostrzyło jeszcze tę chorobę.

Pani Augusta miała zwyczaj w rocznicę śmierci swego męża sprawiać solenne żałobne nabożeństwo, i czynić różne wota pobożne.

Każda taka rocznica uczczona była inną uroczystością. W jednym roku darowała pani Augusta wszystkie zaległe długi wieśniakom, w drugim fundowała ochronkę dla małych dzieci, w trzecim rozdawała odzież i książki biednym dzieciom i t. d.

Tego roku postanowiła inaczej tę uroczystość odbyć. Ułożyła sobie, aby po nabożeństwie wszystkich tych, którzy pamięć nieboszczyka modlitwą w cerkwi uczcili, na suty traktament zaprosić i wszystkich, tak gości jak i czeladź, różnemi upominkami obdarzyć.

Aby jednak traktament i upominki nie były wyłącznym wabikiem dla rzeszy, kazała wszystko w tajemnicy zatrzymać, co się w tym celu przygotowywało, a tylko wiadomość o nabożeństwie rozgłosić.

Zygmunt właśnie w tym dniu, w którym przygotowania robiono, wyjechał do miasta powiatowego za interesem, a Karola nie miała nawet czasu o tem mu powiedzieć.

W mieście powiatowem widział Zygmunt rządcę, który chyłkiem koło niego się przesunął — widział arendarza, który był zakłopotany co ma dziedzicowi odpowiedzieć, gdy go pytał po co do miasta przyjechał — spotkał w końcu i starego Onufrego, który najgorzej się sprawił, bo wyrafinowaną dyplomacyą swoją tak Zygmunta rozgniewał, że

tenże w obec całej grupy ciekawych próżniaków zelżył go ostatniemi słowami, co starego aż do łez ubodło.

Podejrzliwy Zygmunt widział w tem wszystkiem jakieś machinacye podziemne, aby tylko jemu dokuczyć i dać mu uczuć, że on w domu jest niczem i że tylko ciążąca na wszystkich obecność jego we dworze, jako tako wszystko w karbach trzyma; gdy zaś tylko na chwilę z domu wyjedzie, poczynają się tam jakieś inne rządy, które jego powagę podkopują. Taki dualizm drażnił go do ostatecznego. Kazał konie zaprzęgnąć, aby jak najprędzej w domu stanąć.

Karola była właśnie u matki, która upominki przywiezione przez rządcę porządkowała. Uśmiechała się rozkosznie na samą myśl, że jutro te upominki sprawią biednym ludziom tyle radości, a piękne jej oczy łzami zaszły, gdy sobie przytem przypomniała, że ta radość biednych ludzi zejdzie się właśnie z tak bolesną dla niej rocznicą, w której ukochanego ojca swego utraciła!

I tak smutek i radość zmieszały się razem w pięknych oczach Karoli i rozżarzyły je tak uroczym blaskiem, że wyglądała jak mały cherubinek.

— Czy Zygmuntowi powiedziałaś o naszym planie?— zapytała matka, kładąc obok wstążek małe zwierciadło.

— Jakoś przy pożegnaniu zapomniałam — odpowiedziała Karola — nic dziwnego; gdy się z nim żegnam, to o wszystkiem zapominam! Nie wiem dla czego, ale zawsze czuję jakąś obawę, aby mu się co złego nie stało, gdy jest odemnie oddalony.

— Dowodzi to tylko, że go kochasz! — odpowiedziała matka z zadowoleniem.

— Zdaje mi się, że ja nie tyle go kocham, ile on mnie kocha. Poczciwy Zygmunt!

— Miłość wasza wzajemna jest jedynem szczęściem

mojem. Gdyby nadeszła taka chwila, w której albo ty, albo on stałby się powodem nieporozumienia między wami, byłaby ona chwilą mojej śmierci!

— Nie wymawiaj mamo takich słów! — zawołała Karola i spazmatycznie chwyciła matkę za rękę.

— Słowa przecież nie są jeszcze rzeczywistością!

— A już tak bolą, że mi serce z bólu ostygło!

W tej chwili zaturkotał wózek pod oknami.

— Zygmunt przyjechał!—rzekła matka.

— Zygmunt!—krzyknęła Karola i właśnie chciała wybiedz z pokoju na powitanie męża, gdy matka ją zatrzymała.

— Powiedzże Zygmuntowi o jutrzejszej naszej uroczystości,—rzekła do niej—może nam jeszcze co doradzi.

— Nie, nic nie powiem—po niejakim namyśle odpowiedziała Karola—będzie to dla niego niespodzianką!

Rzekłszy to roześmiała się na myśl tej niespodzianki, jak małe dziecię, i szybko pobiegła do drzwi, aby Zygmunta uściskać, którego cały dzień nie widziała.

Spotkała się z nim w sieni.

Zygmunt miał czoło zachmurzone.

— Jakoś nie prędko ci męża powitać! — rzekł do niej —przyjechałem od chwili, byłem już w swoim pokoju, a ciebie nigdzie znaleźć nie można!

Karola spojrzała z wyrzutem na męża, zarzuciła białe rączki na jego szyję, a patrząc mu w oczy rzekła:

— O ty niewdzięczny! Ty możesz to mówić.... ty...

— Gdzieżeś była, gdy wózek przed ganek zajechał?

— Byłam u mamy!

— U mamy?... Czy była jaka konferencya?

Karola filuternie spojrzała w oczy Zygmunta. Uśmiech zaigrał na jej ustach różowych. Otworzyła usta i już chciała coś powiedzieć, ale namyśliła się.

— Tak... konferencya odbyła się między nami!—odpowiedziała z udaną powagą—bo kto jest tak szkaradny jak ty, kto nie tak jak powinien żegna się z żoną, kto potem w mieście o niej nie myśli.... ten zasłużył na to, aby w jego nieobecności odbywać pewne konferencye, choćby tylko... z mamą!

— Konferencye z mamą są czasem najgorsze!—odpowiedział zgryźliwie Zygmunt!

— Czy wolałbyś z kim innym?

— Może byra i wolał!

Karola odepchnęła męża od siebie.

— Idź, brzydki jesteś! Ty śmiesz takich słów używać do mnie! Ty nie wiesz, że mnie same słowo już kole!

Karola była w tej chwili zarumieniona gniewem szlachetnym. A z tym gniewem było jej tak pięknie...

Zygmunt kochał Karolę. Chwilę wpatrywał się w nią rozpromieniony, zapomniał o wszystkich swoich podejrzeniach i żonę serdecznie uściskał.

Karola ucieszyła się, że tak serdecznym był dla niej mąż dzisiaj, i ucieszyła się, że mimo tych wszystkich serdeczności potrafiła tajemnicę zatrzymać.

Przy herbacie powiedziano mu krótko o jutrzejszem nabożeństwie za duszę nieboszczyka.

Zygmunt nie wiedział o całej skali jutrzejszej uroczystości, a ponieważ nazajutrz był dzień powszedni a roboty pilne, dał dyspozycyę do tych robót i spokojnie czekał nabożeństwa.

Tymczasem nadszedł contre-ordre od niewidomego komendanta, a służba zaprzestała robót swoich i tłumnie udała się do cerkwi miejscowej.

Zygmunt nie miałby nic przeciw temu, gdyby to stało się za obopólnem porozumieniem się. A tak widział w tem wojnę podstępną przeciw sobie. Nic jednak nie mówił.

Nabożeństwo odbyło się bardzo solennie. Cała cerkiew była pełna wiernych, którzy ze swej strony wystąpili z bractwami, z światłem i chorągwiami.

Proboszcz miał krótką do nich przemowę, mówiąc o dobrym dziedzicu. Wszystko co tylko dobre było i piękne w gromadzie, odnosiło się do owego dobrego dziedzica, który opiekował się młodszą bracią swoją. W tej przemowie, naturalnie, nie mogło być nic o Zygmuncie.

Pani Augusta zgromadzonych zaprosiła na skromną ucztę wraz z dziećmi.

Dwa duże stoły w cieniu lip starych, zastawione były jadłem i napojem, a obok nich leżały duże stosy różnych upominków.

Pani Augusta zapraszała sama do jadła i napoju, rozmawiała z starszymi. Karola pomagała jej, starając się naśladować ją we wszystkiem. Rządca uwijał się także i zachęcał dobrem słowem.

Zygmunt spostrzegł, że tutaj nie ma roli dla niego. Kilka razy chciał w tem i owem matkę wyręczyć, chciał nawet sam coś zrobić dla gości tak licznych, ale jakoś mu się nie udawało.

Pani Augusta nie chciała się dzisiaj w niczem dać wyręczyć, za jej przykładem poszła Karola—a to co na swoją własną odpowiedzialność chciał zrobić, nie było należycie przez gości ocenione, bo wszystkich oczy i afekta obracały się tylko za panią Augustą i Karolą.

Do nich to stosowały się wszystkie przemówienia, im oddawano hołdy lennicze, im dziękowano za opiekę i upominki, a chociaż pani Augusta kilka razy bardzo zręcznie ich afekta do Zygmunta skierować chciała, skończyło się tylko na kilku urzędowych pokłonach, w których nie było ani szacunku, ani szczerości.

Oprócz tego rozpoczął długą perorę najstarszy z kmie-

ci, w której wyłącznie mówił o nieboszczyku, o pani dziedziczce i jej dostojnej córze. A mówił w ten sposób, że podejrzliwy Zygmunt mógł całą tę demonstracyę uważać za wymierzoną przeciw sobie.

Kmieć mówił o wdzięcznej pamięci dla człowieka który razem z nimi pracował, którego pracę widzieli własnemi oczami, a który do tej pracy przyszedł z woli ojca swego, jako do swego prawowitego dziedzictwa. Jako cień przy nieboszczyku postawił mówca innego człowieka, który bez pracy przyszedł do majątku, i po nim się teraz tłucze jak gęś szara. Nie tylko krzywdzi ludzi, ale nawet poniewiera nazwisko tych, którzy dla niewdzięcznego pracowali.

Mówca miał tutaj na myśli lekkomyślnego młodzieńca z sąsiedztwa, który po stryju wziął ładną fortunę i teraz wszystko starozakonnym za lichwę od pożyczek wypuścił.

Mówca jednak nie nazwał go po imieniu, a mówił o nim takie rzeczy, które Zygmunt zupełnie mógł do siebie zastosować.

Słuchał więc tej perory z zaciśniętemi ustami, i szukal tylko sposobności, aby gniewem wybuchnąć.

W całej tej urządzonej manifestacyi na cześć nieboszczyka widział ukryty zamiar pani Augusty, aby przed jego oczyma położyć mu do porównania przeszłość z obecnością, z czego mógłby dla siebie wyczytać sens moralny.

— Patrz!—chciała mu powiedzieć pani Augusta—oto pamięć o człowieku, który pracą swoją zapisał swe imie w całej gromadzie, a ty co uczyniłeś?... Bez pracy, bez zasługi osobistej przyszedłeś do majątku żony, i czemże teraz jesteś w obec tych ludzi? Oto jesteś niczem, jak tylko konsumentem chleba żony, a co robisz jest jeszcze gorsze od próżniactwa!

Zdawało się Zygmuntowi, że słowa te słyszy śród głośnego szmeru uroczystości, że każde zdrowie wzniesione na

cześć pozostałej wdowy i córki jest protestem przeciw niemu, który tu jest niczem, i takim pozostanie na zawsze.

Cały przebieg tej uroczystości popsuł Zygmuntowi wiele krwi i zakrwawił jego serce jeszcze bardziej.

Już prawie jasno widział, że przeciw niemu wszyscy tu spiskują, zacząwszy od pani Augusty aż do starego Onufrego, który nigdy do niego się nie odezwał, nigdy mu na zapytanie nie odpowiedział, aby do tej odpowiedzi i do słów swoich nie wmieszać imienia nieboszczyka i nie westchnąć przytem z widocznym wyrzutem na dzisiejszy porządek rzeczy.

Nie mogąc już stanu rzeczy odmienić, zapragnął gorąco czegoś, czem mógłby nie tylko domowym ale nawet i sąsiadom dowieść, że on tu jest teraz panem domu, że według jego woli wszystko się dzieje.

Pierwszym produktem tego pragnienia była myśl w gruncie rzeczy wcale niewinna.

Przeciw manifestacyi chciał także urządzić manifestacyę.

Właśnie wypadała w tych dniach rocznica śmierci jego matki.

Chciał nieboszce wyprawić niemniej solenne nabożeństwo, a uczta i upominki miały jeszcze przewyższyć to, co w tym względzie zrobiono na cześć nieboszczyka.

Pani Augusta przyjęła myśl jego dobrotliwie, a Karola nawet z uniesieniem ją powitała i sama zaraz zajęła się nią całą duszą.

Ubrano w cerkwi wspaniały katafalk, postawiono dziesięć rzędów świec jarzących, okna zasłoniono czarnym kirem—z miasta sprowadzono śpiewaków, przygotowano obfitą ucztę i drogie upominki, słowem było wszystko, co dawną uroczystość o wiele przewyższało.

Rezultat jednak był bardzo smutny.

Rządca przez jakieś nieporozumienie zarządził roboty, których odwołać nie było można—gospodarze mieli dokończać w polu rozpoczętych prac, bo niebo groziło dniami słoty i niepogody — a nawet stary Onufry zaniemógł w tym dniu i odebrał zaimprowizowanej uroczystości tą właściwą jej cechę dworskiego festynu.

Zaledwie kilkanaście bab starych i dzieci zeszło się do ogrodu, a manifestacya taka stała się istną parodyą!

Zygmunt był niepocieszony. W tem wszystkiem widział ukryty spisek, a chociaż o prowadzenie tego spisku nikogo wprost nie posądzał, był jednak przekonany, że on jest rezultatem żywionych przeciw niemu niechęci ze strony wszystkich domowników.

Teraz jeszcze goręcej pragnął czegoś, czem mógłby wszystkim dowieść, że on jest tutaj panem samowładnym, że jest niepodległym nikomu.

I kiedy właśnie myśląc nad tem, szerokiemi krokami po gabinecie swoim chodził, zaturkotał wózek przed gankiem, a do pokoju wszedł gość pożądany.

Był to Maryusz.

XVI.

Zygmunt uściskał serdecznie przyjaciela, którego w tej chwili rzeczywiście uważał za takiego.

Nie było w tem nic dziwnego. Osamotniony prawie w domu i w sąsiedztwie, chociaż to osamotnienie więcej było urojonem niżeli rzeczywistem, wyciągnął chętnie rękę do człowieka, który mu przynajmniej dotąd nic złego nie zrobił i którego jeszcze o żadne złe rzeczy nie podejrzywał. Wszyscy już mu coś zrobili, w czemś dokuczyli, jak to sobie uroił w fałszywem położeniu swojem — Maryusz tylko jeden był w oczach jego czysty i nieposzlakowany, był mu przyjacielem już wtedy, gdy jeszcze gwiazda szczęścia jego drzemała.

Człowiek z szlachetnym gruntem nie bada, nie rozumuje tam, gdzie go szczere uczucie ciągnie.

W Maryuszu widział człowieka, którego los prześladuje tak samo, jak dawniej jego prześladował, a już położenie takie mogło mu zapewnić jego sympatyę.

A czemże dopiero mógł dla niego być taki człowiek, który w tej chwili zbliża się do niego, gdzie on ma serce pełne żalu, gdzie dusza upada pod brzemieniem skarg niewypowiedzianych jeszcze przed nikim, gdzie cała przyszłość

jego, którą ongi razem z nim w tak uroczych widział kolorach, pokrywa się teraz szarą mgłą i grozi nawet złowieszczym kirem nocy!....

Jakże nie ucieszyć się takim człowiekiem? Jakże nie nazwać go przyjacielem, nie ucałować i do serca nie przycisnąć, kiedy temu sercu dzisiaj właśnie, takiego człowieka koniecznie potrzeba!...

Maryusz poczuł po gorączkowym uścisku Zyymunta, że ten jest w jakiemś położeniu wyjątkowem.

Powoli spojrzał na niego z uwagą.

Zygmunt miał włos w nieporządku, kołnierzyk skręcony i chustkę rozwiązaną.

— Nie wiem—ozwał się do niego — czy to co widzę na tobie, jest skutkiem wielkich pieszczot — losu, czy owocem jakiejś desperackiej sytuacyi, która domyślać się każe jakiej elementarnej lub ekonomicznej klęski w trzypolowem gospodarstwie Złotej Wiszni!

Zygmunt westchnął i machnął ręką.

— Czy to tylko kłopoty gospodarstwa wykręcają chustkę na szyi i włos burzą na głowie? — odrzekł z cierpkim wyrazem.

Maryusz uśmiechnął się, jakby się czegoś domyślał.

— Moralne gospodarstwo życia—ozwał się po chwili —ma daleko więcej szkopułów, niżeli mają pługi i motyki ekonoma! Tu można przynajmniej widzieć niebezpieczeństwo, tam najczęściej wszystko jest zakryte!

Zygmunt westchnął po raz drugi i czemprędzej podał przyjacielowi cygaro, aby tym sposobem uwolnić się od odpowiedzi na ostatnie jego słowa.

Maryusz odgadł to i skrycie się ucieszył. Przeczucie jego nie myliło go wcale, że Zygmunta zastał w jakimś stanie wyjątkowym, z którego łatwo mu było skorzystać.

Zapalił spokojnie cygaro, ubrał twarz w wyraz obojętny i zaczął rozmowę od rzeczy powszednich.

— Co robisz teraz w polu? Czy siejba skończona? Czy sądzisz że rzepak się uda? Czy nie szkodzą mu chrząszcze? Czy żniwiarka Ceres ma łaskę u ciebie, czy wolisz Minerwę, która w pancerzu funkcyonuje?...

Zygmunta niecierpliwiły te zapytania.

— Proszę cię,—ozwał się,—daj mi choć na chwilę zapomnieć w życiu o pługach, żniwiarce i parobkach, których na to Pan Bóg stworzył, aby dokuczali każdemu gospodarzowi na wsi!

Maryusz patrzał z uwagą w twarz Zygmunta. Nie chciał obcesowo dotknąć się tego, co go dolega.

— Jeżeli cię taka rozmowa nie bawi—rzekł po chwili, to wybierz inną. Ja jak najchętniej zastosuję się do tego.

Zygmunt milczał czas niejaki.

— Gdybyś się kiedy ożenić zamyślał—rzekł do niego —to mówię ci, abyś nigdy nie żenił się dla majątku żony!

— Dla majątku żony?

— Zrazu wygląda to bardzo pięknie, a człowiek nawet myśli, że spotkało go wielkie szczęście! Ludzie winszują mu tego szczęścia, a każdy zawraca oczyma, jakby tego wszystkiego w głębi duszy zazdrościł! Tymczasem takie ożenienie się jest jednem z największych nieszczęść na świecie!

— Jak dla kogo!

— Powiadasz, jak dla kogo! Przyznam się, że znalazłby się może człowiek, który z całą bezczelnością i bezwstydnością żarłby przez całe życie chleb żony, chociażby ten chleb przyprawiano mu Bóg wie czem! Wierzę, że są takie żołądki strawne, którym nic innego nie trzeba, aby tylko miały ustawicznie co trawić, nie pytając o to co się tam dzieje z twarzą wyżej położoną, czy ona przy tem tra-

wieniu rumieni się wstydem, czy na niej są jeszcze gorsze znamiona hańby, są ślady ręki świekry lub różowe paluszki ukochanego niegdyś aniołka z fryzurką *à l'enfant!* Wierzę, że takim żołądkom wszystko jedno, co się tam dzieje na górze, byle tylko one swój karm miały! To są zwierzęta a nie ludzie!... Czy nie prawda?

Maryusz zachmurzył się. Na twarzy jego malowało się pewne nieukontentowanie.

— Nie pozwolisz mi nawet przyjść do słowa—ozwał się po chwili—i od jednego tchu wymalowałeś tak sprosny obraz, który może tylko mieć miejsce między ludźmi na pół dzikiemi, w warstwie pozbawionej jeszcze uszlachetniającej cechy człowieczeństwa! Być może, że gdzieś między bezdusznym tłumem objawia się w ten sposób nierówność materyalna w małżeństwie....

Uśmiechnął się z ironią Zygmunt i przerwał przyjacielowi:

— Jeżeli się tobie mój obraz nie podobał dla tego, że zbyt plastycznie maluje nieszczęście nierównego małżeństwa, to cofam go jak najchętniej i zastąpię przez inny. Nie podobało się tobie, że w moim obrazie nierówność majątkowa wybija się czasem na twarzy męża zamaszystą ręką świekry, albo pulchnemi palcami żony. Prawda, jest to sposób bardzo pospolity, używany w warstwach najniższych. Ale pytam ciebie, czy inny, kunsztowniejszy sposób, używany w warstwach wyższych, jest mniej bolesny i obelżywy od tego prostego, naturalnego sposobu, w którym ręka, pięć palców i twarz są głównemi aktorami? Czy myślisz, że te miodem zaprawione słówka, które mają tylko ostrze najdelikatniejszej szpilki, że słówka te podane ze słodszym jeszcze uśmiechem, mniej bolą i mniej hańbią, jeżeli wyraźnie mówią: Nie troszcz się tak bardzo mój kochany—bo to nie twoje — ty przecież tutaj nic nie masz—

niczem tu nie jesteś?.... Powiedz mi, czy takie policzkowanie jest mniej haniebne od tej ręki pięciopalcowej, która tylko w największej namiętności pozwoli siebie do takiej funkcyi użyć i człowieka nacechować, jak cechuje w lesie siekiera drzewo, które ma być ścięte!...

— Jeżeli kto rzeczywiście takie słowa wymówi, jakie przytoczyłeś—po chwili odrzekł Maryusz — to w takim razie nie przeczę, że sytuacya jest bardzo smutna!

— Ależ nie trzeba takich słów!—prędko przerwał Zygmunt cały w gorączce—nie trzeba, aby wyraźnie ktoś to powiedział, co sam powiedziałem — a gdyby nawet powiedział — bodaj czyby nie lepsze były takie słowa od tego przymuszonego milczenia, które tak wiele mówi — od tych spuszczonych niby oczu, które jednak tak nieznośnie patrzą —od tych dziwnych krząkań i pokaszliwań, które bynajmniej nie są skutkiem kataru—zresztą od owej bezprzykładnej uległości, którą się na każdym kroku spotyka a nawet tam, gdziebyś chciał coś twardszego nadeptać? Powiedz mi mój drogi, czy nie jest to wszystko gorsze od otwartych, jasno wypowiedzianych słów? Na słowo można dać słowo. Można rzecz wyjaśnić i zgodzić się na chwałę Boga, nie obrażając Jego majestatu! Ale na taką skrytobójczą truciznę nie masz środka! Pokręci ona w tobie wnętrzności, a ty napróżno machasz w koło siebie rękami w myśli, że to węże Laokoona otoczyły cię swemi splotami!...

— Czy masz powód do takiej oskarżającej mowy?

— Jakże byś chciał, abym tak mówił bez przyczyny? Czy myślisz, żebym krzyczał w niebogłosy nie czując żadnego bólu? W takim razie byłbym tylko waryatem a nic więcej!

Zygmunt odrzucił cygaro i szerokiemi krokami przeszedł się kilka razy po pokoju. Maryusz patrzał za nim

z uwagą. Na jego czole malowały się jakieś myśli ważniejsze.

Zatrzymał się Zygmunt i mówił dalej:

— Nie ma nic okropniejszego jak ból niewidomy. Ludzie nic nie widzą, a to co widzą cechuje zdrowie normalne. Jest dobra cera twarzy, jest apetyt, jest nawet czasem uśmiech—jakże może być ten człowiek chory? Gdzież tu szukać choroby?... A tymczasem chory trapiony newralgią zaciska zęby z bólu i kurczowo chwyta za rękę lekarza, aby go ratował, aby go w boleści tej nie porzucał!... Prawda, że taki chory jest godny politowania?

— Mowa twoja przestrasza mnie—bo każe się domyślać rzeczywistej choroby!

— Tak—jest ona rzeczywistą a nie urojoną. Mówię ci, tu wszystko na mnie patrzy złemi oczami, wszystko złorzeczy mi, wszystko wojuje ze mną, chociaż się z tem w oczy zręcznie ukrywa!

— Przecież pani Augusta...

— Pani Augusta jest kobieta zacna, ale są czasem rzeczy w człowieku silniejsze od niego. Matka mojej żony była przeciwną naszemu pobraniu się. Zarzucała mi, że nie mam odpowiedniego majątku lub posady. W końcu dała się ubłagać i pobłogosławiła córkę, a nawet stara się wszystkiemi siłami, abym o tej dawniejszej ku mnie niechęci zapomniał! Ale trudna na to rada! Co jest w człowieku, to przy każdej sposobności wyłazi jak szydło z worka, mimo jego woli i wiedzy. Pani Augusta sama nie wie kiedy i czem mi dzisiaj dokucza!

Maryusz smutno pokiwał głową.

— Przecież żona twoja....

— Żona moja to anioł prawdziwy! Kocham ją całą duszą i nie wiem coby się ze mną stało, gdybym kiedy ją miał stracić. Ale trudno i jej wyrzec się tego, co tam wre

w głębi. Ona wie o tem, że to jej majątek, że to wszystko co ją otacza, do niej należy — a chociaż kocha mnie nadewszystko w świecie, nie może jakoś temu i owemu przeszkodzić, co mnie martwi i poniża! Mówię ci, mam tutaj wszelkie warunki szczęścia, prócz jednego—to jest—żem się ożenił dla majątku! Gdybym sam mógł być czemś.... coby własną moją zasługą być mogło, byłoby mi jakoś śmielej — a tak zdaje mi się, że mnie karmią jałmużną!

Pot kroplisty wystąpił na czoło Zygmunta. Usiadł w fotelu i ręką głowę podparł.

Maryusz milczał czas niejaki. Dał przyjacielowi ostygnąć. Po chwili ozwał się:

— Wszystko to, co słyszę od ciebie, naprowadza mnie na myśl bardzo smutną, która już nieraz przychodziła mi do głowy!

— Co za myśl?

— Masz słuszny powód do skargi — ale jaki jest ten powód, sam nie wiesz!

— Nie wiem?...

— Tak jest — nie wiesz. Przypominasz mi chorego, który woła, że noga go boli, a tymczasem cierpienie jest gdzieindziej!

— Miałżebym się mylić?

— Mylisz się co do powodów. Niedługo jestem tutaj, a mógłbym już wiele ci powiedzieć.

— Słucham cię!

— Najprzód muszę ci powiedzieć, że główne powody dzisiejszej zwichniętej twojej pozycyi pochodzą od sąsiadów!

— Od sąsiadów?

— Tak jest. Obywatelstwo ziemskie zamieszkałe od lat dawnych w powiecie, tworzy samo przez się pewną korporacyę. Wiążą je razem tradycye, stosunki i różne powia-

towe wydarzenia. Jeżeli więc w sąsiedztwie jakie miejsce się otworzy, czy to przez śmierć gospodarza, czy z powodu dojrzałości panny, to cała ta korporacya powiatowa patrzy ciekawie kto to miejsce zajmie. Jeżeli miejsce jest korzystne, jeżeli wdowa ma czysty majątek lub panna znaczny posag, rozumie się samo przez się, że sam powiat, że sama obywatelska korporacya dostarcza zaraz kandydatów do tej intratnej posady. Natychmiast pan Bolesław, kawaler marcowy, smaruje szuwaksem wąsy i sprzęga kulawą czwórkę, a z drugiej strony pan Zefir jasno-włosy pomaduje włosy, rozdziela je na środku i wykupuje w miasteczku wszystkie lapisowe rękawiczki. Niechże teraz między tych protegowanych powiatowych wpadnie jakiś obcy człowiek, o którym nawet powiedzieć nie można, że jest Podolak, Wołyniak lub co najmniej Polesiuk! Hajże na niego! To taki, to owaki! Gra w karty, siedział w kozie... za co?... nie wiedzieć!... Jeżeli mimo to temu obcemu uda się miejsce zająć i ładną wdówkę lub posażną jedynaczkę do ołtarza zaprowadzić—cały powiat będzie mu wrogi, a chociaż osobiście nikt wojny mu nie wypowie, ale po za oczy będą przeciw niemu wszyscy walczyć jak mąż jeden! Biedny jest taki intruz powiatowy—suchej nitki na nim nie zostawią! A on nadaremnie ogląda się na wszystkie strony, nadaremnie śledzi co się to znaczy, że w lewym i w prawym boku coś go boli—bo szturchańców nie widzi!

Zygmunt ciężko westchnął.

— Ty jesteś tutaj obcym — mówił dalej Maryusz — przyszedłeś nawet bez famy majątkowej, jaką każdy golec nie pogardza, jeżeli ją mieć może — szczerze i otwarcie stanąłeś między nimi powiedziawszy głośno, że majątku nawet na księżycu nie masz—i wziąłeś im z przed nosa posażną pannę... Józefowi, Henrysiowi i Pantasiowi nadeptałeś tym sposobem na nogę, którzy dla panny Karoli

już czwórki bodaj z fornalki sprzęgali—i ty chcesz aby te wszystkie rozczarowania Henrysiów i Pantasiów wraz z ich mamami i ciociami nie odbiły się na twojej skórze?... O jakże naiwny jesteś!

Zygmunt poprawił się na krześle.

— W twoich słowach jest wiele prawdy — rzekł po chwili—o tem jakoś nie myślałem!

— Cała ta falanga malkontentów—mówił dalej Maryusz—spiskuje teraz przeciw tobie, używając najboleśniejszej dla ciebie broni—to jest, zarzucając tobie, żeś wszedł tutaj bez majątku, goły jak święty turecki i żyjesz z majątku fartuszkowego, jak dawniej mówiono.

Zygmunt wzdrygnął się.

— Mówią prawdę! szepnął półgłosem do siebie.

— Ale ta prawda ich wcale nie obchodzi, podjął szybko Maryusz—bo ta prawda nie jest jeszcze prawdą bezwzględną, bo oni nie mogą wiedzieć ile ty do tej spółki włożyłeś uczuć serdecznych, ile uderzeń serca poświęciłeś dla ukochanej istoty i czego się dla niej wyrzekłeś, aby być jej wiernym! Tego oni nie wiedzą, bo to nie da się na jarmarku obliczyć jak plon kartofli, ani nawet tego nie można w karty przegrać u hrabiego Izydora!

Zygmunt podał rękę Maryuszowi.

— Widzę w tobie szczerego przyjaciela—rzekł do niego—który widząc złe strony, nie jest ślepy na dobre!

Maryusz uścisnął podaną rękę.

— Otóż ta nieprzyjazna, szczelnie zwarta fanlanga—mówił dalej Maryusz—występuje przeciw tobie jako intruzowi, jako obcemu w powiecie, i stara się oczernić cię jak najsumienniej. Jeżeli nie słowa, to już sam nieprzyjazny prąd wpływa na atmosferę domową. Tam przypominają sobie także żeś przyszedł do nich bez niczego, a to zaprawia wszystkie ich słowa do ciebie wyrzeczone, zaprawia uśmiechy i wejrzenia choćby z największą czułością rozdawane!

Maryusz spoczął tutaj chwilę.

Zygmunt był ciągle zamyślony; słowom przyjaciela nie można było odmówić słuszności. Były one po większej części prawdziwe. Opierały się na znawstwie stosunków parafialnych. Zygmunt przypomniał sobie wiele drobnych szczegółów, które słowa przyjaciela w zupełności potwierdziły. Ucieszyło go, że przynajmniej jednego człowieka ma, który jego położenie zrozumiał i ocenić potrafił.

— W podobnem zupełnie położeniu—mówił po chwili Maryusz—jest pewna osoba, którą tej zimy bliżej poznałem. Przed tobą nie mam żadnych tajemnic, to też otwarcie ci powiem, że tą osobą jest—pani Florentyna!

— Pani Florentyna? zawołał z zdziwieniem Zygmunt.

— Tak jest, pani Florentyna! Nie uwierzysz jak smutny jest los tej kobiety!

— Słyszałem że w jej życiu zaszły pewne nienormalności...

— Wszystko tak samo, jak u ciebie. Na nieboszczyka kapitana zagięła parol czterdziestoletnia panna Hortensya, marzyła także o nim pani Marcinowa wraz ze swoim pupilkiem po pierwszym, nieznajomym mężu—a gdy nagle nieboszczyk do swego pałacyku przywiózł młodą, piękną kobietę i z nią legalnym ślubem się połączył, zaraz posypały się pod sekretem najzjadliwsze plotki, odbierając nieszczęśliwej kobiecie wszystko, co ma najdroższego—jej dobrą opinią!

— Jeżeli się nie mylę—pani Florentyna z razu bez ślubu mieszkała w pałacu nieboszczyka...

— Nieboszczyk był dziwak jakich mało! Ułożył był sobie, że dzień jego ślubu musi odbyć się w pewnym dniu dla niego pamiętnym... a Florentyna była sierotą—była córką jego towarzysza broni jemu testamentem poleconą...

Cóż mógł przyjaciel i towarzysz ojca lepszego zrobić. jak ją wziąść do swego domu i na śmiertelnem łożu z sierotą się zaślubić, aby tym sposobem bez żadnych procesów udarować ją całym majątkiem swoim?...

— W tak wyjątkowem położeniu...

— Położenie było bardzo wyjątkowe. Wyobraź sobie biedną sierotę, na obcej ziemi—pod opieką pewnej kobiety, której nie można było zaufać—cóż miała ta sierota zrobić, gdy jej nieboszczyk przedstawił aby z nim pojechała do kraju, gdzie ją zaślubić postanowił?... Nie był to wprawdzie stosowny mąż dla niej—lecz sierota nie chciała męża w swojem położeniu, ale ojca, któryby ją otoczył opieką! Jako z ojcem pojechała, jako z przyjacielem nieboszczyka ojca swego! Cóż w tem było tak anormalnego?

— Przy bliższem rozpoznaniu sytuacyi—

— Przy bliższem rozpoznaniu sytuacyi jest ona niewinną jak anioł i tylko złość ludzka może coś wynaleść złego, co niekorzystne światło na nią rzuca! Ale dla sąsiedztwa było grzechem śmiertelnym najprzód, że ta kobieta przybyła tu ubogą...

Zygmunt ruszył się niecierpliwie na krześle.

— Że zdołała pozyskać szczęście i majątek nieboszczyka!

— O tak! tak! to grzech śmiertelny! zawołał z rozdrażnieniem Zygmunt.

— Że ten majątek nie dostał się pannie Hortensyi, która w sąsiedztwie ma tam ciotki i dwóch stryjaszków z zadłużoną fortuną.... Że nieboszczyka nie mogła uwikłać w swoje sidła pani Marcinowa. która w tym celu aż z Paryża kok sprowadziła!...

— Tak! tak! To zawiść, to zazdrość parafialna! Kubek w kubek jak u ciebie!

— Prawda! prawda!

— Prócz tego jeszcze ma ta kobieta wyższe wykształcenie od sąsiadek, jest może piękniejszą od pani Szymonowej—ma lepszy szyk i ładniejszy ekwipaż od państwa Wojciechów... czyż tego nie dosyć, aby na nią rzucać kamieniem choćby bez wyroku?

— Tak, to prawda!

— Zarzucają jej niektóre ekscentryczności - cóż ona temu winna, że się chowała za granicą, gdzie te ekscentryczności nie są ekscentrycznościami? Cóż ona temu winna, że dłuższy czas była w towarzystwie angielskiem, gdzie kobieta wolna ma wszelką wolność, i gdzie tej wolności nikt na złe nie tłómaczy?... Zaprawdę, lepszą jest ona od pani Antoniowej, która zawsze ręce w małdrzyk trzyma i oczka skromnie spuszcza a o której przecież wie parafia tyle wcale niebudujących rzeczy! Ale sąsiedzi lubią świętoszkowe pozory, bo te pozory mogą pokryć wiele, bardzo wiele brudnych rzeczy, a każde wolniejsze słowo biorą za herezyę, osobliwie, gdy to słowo wymknie się z różowych ust pięknej, młodej kobiety, która przyszła do sąsiedztwa biedna i tutaj znalazła szczęście, na które inne sobie zęby ostrzyły!... Czyż z tobą to samo się nie dzieje?

Zygmunt westchnął i potarł ręką po czole

— A gdybyś poznał tę kobietę—mówił dalej Maryusz —gdybyś się od niej samej dowiedział, jak piękne ona ma wyobrażenia o obowiązkach obywatelskich!... Niedawno mówiła mi, że chce kosztem swoim założyć szkółkę, chce dzieci wiejskie kazać uczyć racyonalnego gospodarstwa, sadownictwa, robót kobiecych...

— Widać że zacna kobieta!

— Najzacniejsza pod słońcem—ale cóż z tego, kiedy stoi pod klątwą znakomitości powiatowych, które raz powiedziały że z nią wdawać się nie będą!

— Jest osamotnioną?

— Zupełnie jak ty! Nawet nie ma odwagi odwiedzić kogo, bo się lęka impertynencyi! Tobie tego nikt nie zrobi, bo wie, że go możesz zarąbać lub zastrzelić, ale biednej kobiecie...

— Rzeczywiście jest to wielka niesprawiedliwość, której należałoby koniec położyć!

— Któż to zrobi? Do tego trzeba odwagi i — niezawisłości w domu własnym i w sąsiedztwie!

Zygmunt zerwał się z krzesła.

— Któż ci powiedział, zawołał gniewnie, że mi brak odwagi lub niezawisłości?... Jestem we wszystkiem w domu moim niezawisłym! Jestem sam panem sobie, nikt mną nie rządzi jak istotą bezduszną!

Maryusz uśmiechnął się ironicznie.

Rozdrażniło to Zygmunta.

— Uśmiechasz się z ironią—zawołał—nie wierzysz że w domu moim panem jestem? I ty należysz do tych, którzy myślą, że na chlebie żony jestem jako trusia potulny, że wygrzewam się pod pulchnym pantoflem żony, że kobiey rządzą mną jak bezdusznym manekinem, a ja słuchać ich muszę, bo mi jeść dają, bo tutaj niczem jestem, bom tu nic nie wniósł?...

Maryusz wziął przyjaciela za rękę.

— Nie unoś się—rzekł do niego—ani mój uśmiech ani moje słowa do tego nie dążyły! Właśnie ten gniew twój niczem z mojej strony niewywołany dowodzi, że ma on rzeczywistą podstawę w dzisiejszej twojej sytuacyi.

— Czy ci o tem kto mówił?

— Nikt mi nie mówił, ale mogłem poznać w sąsiedztwie że tak ludzie myślą!

— To nieprawda! Zapytaj kogo chcesz, czy nie robię tutaj co się mnie podoba!

— Mówmy otwarcie kochany Zygmuncie. Słowa twoje są tak gorączkowe, jakbyś sam w nie nie wierzył, a jednak chcesz wierzyć. Przyznaj się, że tutaj panowanie twoje napotyka wiele chociaż drobnych niewygód, które jednak mogą zatruć cały żywot człowieka wtedy, gdy mu obcy ludzie szczęścia zazdroszczą!

Zygmunt zwiesił głowę.

— Widzisz że mam słuszność—mówił dalej Maryusz— zresztą na wstępie do naszej dzisiejszej rozmowy sam się przyznałeś do tego!

— Masz słuszność! odpowiedział smutno Zygmunt.

— Trzeba więc szukać sposobu, aby raz z tej fatalnej, dwuznacznej sytuacyi wyjść na otwarte powietrze.

— Daremnie nad tem myślę!

— Przedewszystkiem trzeba w obec domowych okazać wolę nieugietą, a czasem nawet zrobić to, coby się niebardzo robić godziło, byle tylko na swojem postawić! Rozumiesz mię?

— Próbowałem tego nieraz!

— Mieniałeś, kupowałeś ślepe konie, odpędzałeś służbę, ale to nie wystarcza!

— Cóż robić?

— Zetrzeć się z panującemi w domu i w sąsiedztwie zdaniami, jeżeli te zdania nie są słuszne, i wystąpić śmiało do niektórych reform.... Przedewszystkiem starać się o to aby wola twoja była zawsze na wierzchu, aby w każdej rzeczy widziano, że ty jesteś panem w domu, i że tam wszystko to się robi, co ty chcesz, chociażby to na razie sprzeciwiało się fałszywym wyobrażeniom sąsiedztwa!...

Zygmunt zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju krokiem niespokojnym, jakby coś sobie w głowie układał. Twarz jego była zarumieniona, czoło sfałdowane, oczy tryskały ogniem.

Był on w tej chwili podobny do rumaka krwi szlachetnej, którego bezczynnie zamknięto w ciasnej klatce. Zjeżył grzywę, nozdrza rozwarł, ziemię grzebał nogami — ale klatka jego nie rozszerzyła się!... Po cóż on szedł do tej klatki, dokąd go wabił owies kanarkowy..... i gdzie nie potrzebował myśleć o obszernym stepie i tam szukać pożywienia?...

W tej chwili otwarły się z łoskotem drzwi gabinetu.

Zygmunt drgnął cały.

Na progu ukazała się piękna jak aniołek Karola.

— Cóż tam znowu!—krzyknął Zygmunt z chmurą na czole.

— Przecież wiesz dobrze o tem,— rzekła z uśmiechem Karola—że nie wolno ci zamykać się sam na sam z panem Maryuszem na całą godzinę!

— A cóż ci to tak zawadza?—odfuknął Zygmunt.

— Gdyby mi nie zawadzało—nie przyszłabym tutaj—zresztą czy nie mam do tego prawa?

Karola wymówiła te słowa z udaną powagą, którą właśnie teraz chciała zakończyć serdecznym uściskiem. Ale Zygmunt odepchnął jej drobne rączki.

— Przecież żadnych praw ci nie zabieram — rzekł z pewną goryczą—tylko proszę cię, abyś mi moich nie zabierała, choćby tylko osobistych!

Karola często podobne słowa słyszała od męża, ale brała je za rezultat złego humoru, od którego choćby najlepszy mąż wolnym nie jest.

Cofnęła więc swoje białe rączki i z dziwnym wyrazem w głosie odpowiedziała:

— Przepraszam, jeżeli przerwałam ważną jaką rozmowę, chciałam tylko panów prosić na herbatę, bo już dawno nalana!

Głos Karcli miękł coraz więcej, a przy ostatniem słowie zabłysły łzy w jej pięknych oczach.

Spostrzegł to Zygmunt. Żal mu się zrobiło tych pięknych oczu i łez jak perła czystych....

Wziął Karolę za rękę i serdecznie ją ucałował.

Tymczasem był już Maryusz w drugim pokoju.

XVII.

Od tej rozmowy minęło kilka dni. Zygmunt cieszył się, że jest ktoś drugi na świecie, który położenie jego pojmuje i mniej więcej z nim się zgadza.

Już sam dawniej przyszedł do tego, że w tak wyjątkowem położeniu potrzeba mu przedewszystkiem wszystkich pozorów rzeczywistej niezawisłości. Więcej zatem niżeli dawniej był zawistny o te pozory i przestrzegał ściśle, aby mu tych pozorów nie odbierano.

Pani Augusta jako kobieta zacna i rozsądna uchylała mu się wszędzie, aby tylko nie spotkać się z jego wolą. Umiała tak wszystko rozsądnie zarządzić, że Zygmunt nawet jej podejrzywać nie mógł, jakoby po dawnemu rządy sprawiała.

Karola już przez miłość dla męża nie sprzeciwiała się w niczem jego woli, nie stawała w poprzek jego rozkazom, chociaż te rozkazy nie były zawsze stosowne.

Zygmunt więc przez niejakiś czas nie spotkał się nigdzie z oporem, ani nawet z czołem zachmurzonem. Wszystko uginało się przed nim, nawet służba już naprzód starała się odgadywać jego zamysły.

Byłoby to dla każdego innego wystarczającem dla

szczęścia i pokoju, ale Zygmunt czuł nieustannie wyjątkowość swego położenia, czuł nierówność, i szukał czegoś koniecznie, czemby w sposób uderzający dał dowody rzeczywistej swojej równości i swego panowania.

Nie było jednak na jego nieszczęście żadnego zdarzenia, z którego mógłby z pewnym efektem skorzystać. Wszyscy byli mu ulegli, chociaż on tę uległość w podejrzliwości swojej uważał za pewną nieprzyjazną bierność, za pokój zbrojny.

Szukał sobie okazyi, kazał robić to i owo — nikt mu się nie sprzeciwił, nikt mu w niczem oporu nie stawił.

Jakże tu było dowieść ostrza, jeżeli nie było co przeciąć tem ostrzem? Jakże to było zrobić coś w domu, coby nawet w sąsiedztwie uznano za dowód jego niezawisłości i rządów jego?...

Kiedy się nad tem zastanawiał, a wielki niepokój serce jego pożerał, stało się pewnego dnia, że po obiedzie dopalając cygara zatrzymał się dłużej niżeli zwykle w jadalnym pokoju. Również w tym samym pokoju była pani Augusta i Karola.

Pani Augusta przypomniała sobie coś o gospodarskiej rozmowie, jaką dzisiaj miała z arendarzem i rzekła do Zygmunta:

— Mówił mi Berko, że rzepak po dziesięć złotych reńskich i pół — nie wiem po czemu ty Zygmuncie zrobiłeś w mieście ugodę?

Zygmunt zmarszczył czoło. W tem prostem zapytaniu widział ukrytą wojnę. Odrzekł gniewnie:

— Dlaczegóż matka nie zapyta naprzód: po czemu sprzedałem rzepak — a potem możesz matka powiedzieć, że Berko to i owo mówił!

— To przewróć sobie zapytanie, jak ci się podoba - odpowiedziała z uśmiechem pani Augusta.

— A nawet możesz poprzekładać słowa!—dodała z pieszczotą Karola.

Ubodły te żarty Zygmunta.

— Nie trzeba zamazywać tego co się powiedziało,—rzekł zachmurzony—bo szyk tego zapytania był dosyć kunsztowny, ale nie tak znowu zamaskowany, aby po za nim nie widzieć małej strzałki!

— Co za strzałka?

— Najprzód powiedziałaś matka, jaka jest cena rzepaku podług arendarza. Że ta cena jest przesadzona, o tem zapewne matka wiedziała. Ale to nie przeszkadzało właśnie, aby dla tem większego kontrastu zapytać się, po czemu ja sprzedałem.

— Cóż w tem widzisz?

— W tem widzę utajoną żądzę, aby mi namacalnie dowieść, że ja wszystko tutaj źle robię!

Karola wzięła go za rękę i pocałowała.

— Zlituj się, któż kiedy o tem myślał!—zawołała.

— Sam sobie jesteś nieprzyjacielem — odrzekła pani Augusta—sam się dręczysz bez powodu! Któż myślał o tem, o co ty mnie podejrzywasz?

— Do takich podejrzywań mam bardzo wiele powodów—smutno zawołał Zygmunt—zresztą wypływa to z natury rzeczy!

— Z jakiej natury rzeczy?

— Siedzę na majątku żony. Nic jej nie wniosłem bo byłem sierotą, bez ojca i matki. Zdawało mi się, że moje serce, które Karolę ukochało, jest przecież czemś; ale potem przekonałem się, że na wagę realną życia nie kładą się takie imaginacyjne rzeczy jak serce, uczucia i t. p. frazesy!

Karola roześmiała się.

— O mój ty biedny, nieszczęśliwy bajronisto!—zawo-

łała śród pieszczoty—czegóż ty tak siebie martwisz i drugich, którzy cię kochają?...

Zygmunt wywinął się z objęć żony.

— Pieszczoty twoje—odrzekł—nie zmienią mego położenia, ani nie zmienią ciebie jak i mamy, u których znajdzie się zawsze spory zasób nieprzyjaznego dla mnie usposobienia, jeżeli tego będzie potrzeba!

— Co też ty mówisz Zygmuncie!—ozwała się z powagą pani Augusta.

— Ja mówię dzisiaj szczerze i otwarcie i chciałbym aby mi wzajemną monetą odpłacono!

— Zkądże przychodzą ci dzisiaj takie czarne myśli?

— Te czarne myśli już dawno mieszkają w mojej głowie—dziwi mnie tylko, że nikt ich nie widział!

— Wiele rzeczy kładłam na karb złego humoru!

— Zły humor ma także swoje powody!

— Ale powody takie mogą być najczęściej urojone!

— Trudno wierzyć w urojenie, gdzie wszystko boli!

— Cóż cię dotknęło?

— Wszystko co słyszę dotyka mnie. W sąsiedztwie szczególnie nie mam łaski!

— Cóż masz sąsiedztwu do zarzucenia?

— Niech matka raczej zapyta co ono mnie zarzuca?

— Cóż ono tobie zarzuca?

— Zarzuca mi najprzód żem tu wszedł bez szczególnego mandatu, żem potrafił zaskarbić sobie miłość i rękę Karoli i że tym sposobem pokrzyżowałem rachunek tego lub owego kawalera powiatowego, któremu prawdopodobnie termina wekslowe już mocno dokuczały.....

Karola roześmiała się.

— Przysięgam ci,—rzekła, — że żadnemu z nich nie dawałam najmniejszej nadziei!

— To być może, ale to rzeczy i żalu tych, którzy tak zachowali, nie zmienia. Zresztą wszedłem tu jako człowiek nowy, jako intruz, który odebrał komuś upatrzony kąsek. Przecież był w sąsiedztwie Pawełek, był Piotruś ładny chłopiec — dla czego jednemu z tych nie dostał się posag Karoli!

Karola śmiała się ciągle.

— Z tego powodu wyszukują różnych rzeczy na mnie. Mówią, że do majątku żony przyszedłem z niczem, że dla tego w domu żony nic nie znaczę, że robię tylko to, co mi mama i córka mamy rozkażą lub pozwolą — a jeżeli co sam niby zrobię, to jest złe i b.zydkie!...

— Przecież ty temu nie wierzysz co oni mówią!—rzekła Karola z powagą.

— Nie masz nawet powodu zwracania uwagi na takie plotki,—dodała spokojnie pani Augusta.

— Nie chcę temu wierzyć—odpowiedział Zygmunt,—ale czasem tak się wszystko jakoś składa, że temu choć w części uwierzyć trzeba!

— Nie bluźń Zygmuncie!—zawołała Karola.

— Dałbym wiele za to gdyby to mogło być bluźnierstwem. Ale biorę przykłady z innych, że takie rzeczy są możliwe. Nieszczęściem mojem jest, że tu z pnia nie wyrosłem, lub że nie wszedłem do powiatu z aureolą zamków, lub fałszywej korony hrabiowskiej! Ja tu nic nie przyniosłem prócz siebie ja tu nic nie mam — a o tem mówią wszystkie spojrzenia całego sąsiedztwa, nie tykając już języków!

— Na czemże to wszystko opierasz?

— Czuję że tak jest, a na innych mam tego dowody. Wszak w podobnem ze mną położeniu jest niedaleka nasza sąsiadka...

— O kim myślisz?

— O pani Florentynie!

— O pani Florentynie?—powtórzyły obie kobiety.

— Czy was to zadziwia?

— Bardzo słusznie może to nas zadziwiać — odparła z powagą pani Augusta.

— Nie wiem jak możesz siebie i panią Florentynę kłaść na jednem miejscu!—dodała Karola.

— Widzę, że się nie omyliłem—zaledwo nazwisko biednej kobiety wymówiłem, zaraz rozległ się okrzyk: hajże na Soplicę!

— Nie wiem, czy mówisz na seryo — rzekła pani Augusta—czy tylko w żarty bawisz się z nami. Przecież wiesz dobrze kto jest pani Florentyna! Sąsiedztwo bardzo dobrze czyni, że jej nie przyjmuje!

— Dlaczego?

— Dlaczego?... aby na to odpowiedzieć, trzebaby wiele czasu. Zresztą zapytaj się opinii publicznej!

— Opinii publicznej?..... Czem jest ta opinia publiczna, mam tego dowody na sobie!

— Przecież pani Florentyna nie przyszła tu jako żona nieboszczyka....

— Trzeba uwzględnić jej wyjątkowe położenie!

— Do takiego wyjątkowego położenia odwołują się wszystkie kobiety, które na nieprawych drogach spotykamy.

— Czyż dla tego, że z żelaza robią sztylety, trzeba uznać wszystko żelazo za bezbożny materyał?

— Nawet po śmierci nieboszczyka dała pani Florentyna wiele materyału do oskarżeń ugruntowanych.

— Mogły to być tylko pozory! Jej wychowanie różni się od wychowania naszego parafialnego, gdzie wszystko uchodzi, byleby tylko publicznie z tem się nie nosić!

— Dowodzi to przynajmniej, że się ludzie wstydzą. Bezwstyd jest ostatnim stopniem upadku!

— Zapewne jest tego zdania pani Michałowa, która nie może dojść do tego mimo wszelkich swoich usiłowań, aby pan Magnus w niej się zakochał? Pani Florentyna napozór wydaje się od niej szczęśliwszą, bo jest młodszą i ładniejszą!

— Nie wiem, zkąd ci przyszło do głowy, bronić taką kobietę.

— Bo ona jest prostą ofiarą spisku parafialnego!

— Jakiż powód do tak strasznego spisku?

— Jest najprzód młoda i piękna, przyszła do parafii aby zabrać majątek, po który sięgała panna Hortensya z jednej strony, a z drugiej pani Marcinowa—ubiera się ładnie i modnie, nie chce się kłaniać powagom powiatowym, wysiadującym kanapę adamaszkową—a największą jej zbrodnią—wszyscy mężczyzni lgną do niej jak muchy do miodu, patrzą na nią i wzdychają do niej!... Czyż to niedosyć do aktu oskarżenia i wydania wyroku choćby nawet *in contumatiam!*

Karola przysłuchiwała się tej rozmowie z uwagą. Teraz roześmiała się, wzięła Zygmunta za rękę i rzekła:

— Słuchaj Zygmuncie! Gdybym cię mniej kochała, mogłabym cię podejrzywać o niewierność, lub przynajmniej ochotę do niej. Że pani Florentyna mężczyznom podobać się może, o tem wiem dobrze a nawet są na to pewne jawne dowody. Że pani Florentyna mężczyznom podobać się usiłuje, wiedzą także wszyscy o tem. Być więc może, że z kolei wybrała ciebie za cel afektów swoich nigdy dobrze niezrozumianych, być może, że nawet już jakie kroki uczynione są w tym względzie, o czem ja jeszcze nie wiem — ale to ci powiedzieć muszę, że w takim razie będę tak nieszczęśliwą, jak żadna kobieta dotąd nieszczęśliwą nie była.

Karola wymawiała te słowa z uśmiechem, i chciała widocznie temu wszystkiemu nadać obrót wesoły, ale przeszkodziły jej łzy, które teraz zaszkliły się w jej oczach.

Zygmunt nie widział teraz tych łez, bo właśnie z zachmurzonem czołem patrzał przed siebie.

— Chcesz ważną przez się sprawę zbyć żartem—rzekł po chwili — ale to do żartów bynajmniej nie należy, jeżeli spisek parafialny zabija biedną kobietę, a nikt nawet w jej obronie stanąć nie chce!

— Weź jej obronę na siebie, przerwała mu Karola — a zyskasz przy niej pozycyę w powiecie — obrońcy w sprawach karnych lub drobiazgowych!

Rozdrażnił ten żart Zygmunta.

— Każdy prawy człowiek,—zawołał,—powinien stanąć w obronie takiej kobiety, którą za oczy potępiają dla tego, że jest tu obcą, że przyszła tylko z wdziękami swemi a posiadła pałac i browar—trzeba więc rzucić na nią hańbę, trzeba ją podpatrywać, z kim mówiła, do kogo się uśmiechnęła, aby z tego sporządzić całą istotę czynu i winną na banicyę osądzić!... Czyż się tak samo nie dzieje ze mną? Czyż i ja tutaj nie zawadzam dla tego, że do parafii przyszedłem jako obcy, że nic z sobą nie przyniosłem a mimo to osiadłem na majątku, o którym ktoś inny myślał?... Kubek w kubek, jedna i ta sama pozycya!

Pani Augusta powstała i z powagą ozwała się:

— Jakiekolwiek bądź twoje zdanie jest o pięknej i zręcznie podmalowanej ofierze powiatowej, jakiekolwiek możesz mieć w tem pobudk', ja jednak oświadczam ci, że nie chcę, aby mój dom był kiedykolwiek miejscem do je rehabilitacyi!

— Cudzym domem rzeczywiście rozrządzać nie mogę! —odpowiedział w rozdrażnieniu Zygmunt.

— W takim razie—będzie on zawsze dla ciebie „cudzym“!

— Zdaje się, że on takim jest zawsze!

— Ależ Zygmuncie! Nie unoś się!—wołała Karola.

— Jak to, chcesz abym się nie unosił, jeżeli matka mojej żony wyraźnie mi powiada, że to nie jest mój dom, że tutaj nic nie mam, że jestem tutaj obcy, jak obcym jestem w całem sąsiedztwie!

— Przecież nikt ci tego nie powiedział — robisz co chcesz a my wszyscy słuchamy!

— Nie widzę tego! Przeciwnie w każdem słowie, w każdem spojrzeniu widzę coś poniżającego dla siebie, coś co mówi--nie jesteś tu panem!

— Ależ panem jesteś—niezawisłym panem!

— Przypomnę ci te słowa w najbliższej przyszłości!

— Sama ich nigdy nie zapomnę!

Pani Augusta wyszła już była z pokoju, aby walki urojonej nie zaogniać — teraz trzasnął drzwiami Zygmunt idąc do swego gabinetu—została tylko Karola.

Biedna kobieta patrzała czas niejaki na drzwi, za któremi Zygmunt zniknął. Twarz jej piękna i sympatyczna oblokła się smutkiem, w oczach zadrgały łzy jasne. Westchnęła głęboko i powoli wyszła za matką.

Tymczasem po gabinecie szerokiemi krokami chodził Zygmunt. Miał twarz zarumienioną, czoło zachmurzone, usta zaciśnięte.

W rozdrażnieniu dzisiejszem przechodził ostatnie koleje swego życia. Przypomniał sobie, dwa lata temu, jak był szczęśliwy, gdy po raz pierwszy usłyszał z różowych ust Karoli to czarowne słowo, które tak dziwną wibracyę sprawia na nerwach. Wtedy to słowo długi czas spać mu nie dało, powtarzał je sobie, ściskał i całował wszystkich w nadmiarze swego szczęścia!... Dalej przypominał sobie,

jak błogie były te chwile, gdy jako narzeczony siedział przy Karoli, czytał z nią, lub jej coś opowiadał, czego ona z taką rozkoszą słuchała!... Wreszcie nadszedł najważniejszy akt życia, na stopniach ołtarza przysięgał Karoli wieczną miłość, ona nawzajem to samo przysięgała, świadkowie tej przysięgi zazdrościli mu szczęścia, o bo on tak był szczęśliwy, jakim tylko człowiek być może na ziemi!.... Karola rzekła wtedy do niego: Patrz na mnie! Jestem w ślubnym stroju, może w nim nawet ładniej niżeli zwykle wyglądam, ale zważ to, że mnie masz kochać taką jaką będę w codziennym stroju, masz kochać kobietę powszednią tak samo jak ja ciebie również kochać będę!... O jakże piękną była wtedy, gdy te słowa wymawiała!... Matka przyjęła go za syna i rzekła mu: To wszystko twoje, choć nic nie masz!... Czemuż ten piękny obraz tak nagle się zmienił?... Bo to co powiedziano śród wzruszenia nie nastąpiło w rzeczywistości, a on rzeczywiście nic nie miał, przyszedł do majątku żony z niczem, bo nie przyniósł z sobą żadnej osobistej zasługi, ani pracy dokonanej—był niczem!... Jakże ta nicość jego nie miała z czasem wyjść na wierzch i przerazić patrzącego? Prędzej czy później musiało to nastąpić, tak jak każda nierówność okaże się na wadze widoczną, bo wzruszenia serca i duszy mijają, a rzeczywistość zostanie zawsze rzeczywistością!

Takie smutne obrazy nasuwały się teraz przed oczy Zygmunta. Była w nich wprawdzie pewna konsekwencya, ale on tej konsekwencyi dzisiaj nie chciał. On chciał już raz stanąć pewną nogą na danym gruncie, chciał wziąść to, co mu niegdyś w chwili wzruszenia dano, chciał domowym i sąsiadom okazać, że jest niezawisłym panem, a nie mężem malowanym na chlebie żony!

W dzisiejszem rozdrażnieniu chciał więcej niżeli kiedykolwiek czegoś dokazać, coby te niezawisłość jego w ja-

snem świetle postawiło, przyczem mógłby się odwołać do słów Karoli, niedawno do niego wyrzeczonych, że tu w tym domu jest panem niezawisłym!

Gorączka takiego kroku wzmagała się w nim z każdą chwilą. Przechodził myślą najrozmaitsze rzeczy, ale nigdzie nie mógł coś stosownego wynaleźć. To było zamałe, tamto wprost niemożliwe!

Długi cza· w takiem wzburzeniu chodził po pokoju. Nie słyszał nawet różnych głosów, które odzywały się z warsztatów gospodarstwa wiejskiego. Tam ryczały krowy, tu rżały konie — tam słychać było pianie kogutów, tu nawoływanie pastucha... wszystkiego tego nie słyszał Zygmunt, ale przecież w tej chwili coś usłyszał....

Był to cichy, jednostajny turkot kół wozowych.

Zygmunt zatrzymał się i nadstawił ucha.

Turkot zbliżał się coraz więcej. Nie był on szorstki i chropawy, jaki zazwyczaj mają wozy gospodarskie. Tempo j'go, równe i odmierzone, okazywało, że koła, które ten turkot tworzą, wyszły z ręki mistrzowskiej.

Zygmunt coraz ciekawiej nadstawiał ucha.

— Któżby to mógł być?—pytał siebie, czy może książę Izydor, czy hrabia Antoni?... Tylko oni mogą mieć tak kunsztowne ekwipaże z fabryk zagranicznych! Ale nie— książę zapewne nie przyjedzie—a hrabia Antoni ma w domu chorą matkę... Któżby to mógł być?

Ciekawość jego rosła z każdą chwilą. Wspiął się na palcach, aby przez żywy płot dziedzińca dojrzeć na drogę, po której właśnie toczyły się koła tak misterne.

Wreszcie na dziedziniec wtoczył się elegancki faetonik. Złotogniade rumaki parskały ogniem. Jakby widmo jakie zatoczył się w koło faetonik i stanął nagle przed gankiem.

Na koźle siedziała młoda, piękna kobieta. Białe je

dwabne lejce trzymała silną ręką. Jej twarz była zarumienioną, oczy z pod gęstej zasłony strzelały jasnym blaskiem.

Zygmunt poznał—panią Florentynę!

— Zapytaj się ‹zy państwo w domu i czy przyjmują! —rzekła do służącego w wykwintnej liberyi, który za nią siedział.

Służący zeskoczył, wydobywając z zanadrza pugilaresik z kartami wizytowemi.

Zygmuntowi zaiskrzyły się oczy. Sam Pan Bóg widocznie zesłał mu kobietę, która w tej chwili była mu tak potrzebną!

Rozkoszna myśl przeszła mu przez głowę.

— Prosić—prosić do salonu!—zawołał na starego Onufrego, który stał, jakby nie dosłyszał.

— I czegóż stoisz?—mówił dalej Zygmunt — czy nie słyszałeś dobrze?

— Proszę pana — odpowiedział Onufry drapiąc się w głowę—to ta pani przyjechała....

— Wiem—wiem—prosić!

Onufry ciągle stał na miejscu.

— Cóż to znowu?—zawołał Zygmunt niecierpliwie—czy tu każdy ma swoją wolę? Czy tu każdy rozkazuje, tylko ja nie?... Prosić!

— Możeby... starszej pani powiedzieć,—mówił zakłopotany Onufry.

— Pierwej prosić—a potem rób co chcesz!

Zygmunt był już w wysokim stopniu zniecierpliwiony. Widząc to Onufry ustąpił i powoli oddalił się.

W drodze jednak namyślił się. W małym korytarzyku, gdzie go Zygmunt nie mógł już widzieć, skręcił na prawo i poszedł wprost do pani Augusty.

Tymczasem służący pani Florentyny stał już w ganku

czas dłuższy. Zygmunt niecierpliwie wyglądał przez okna czekając Onufrego. Ale Onufrego nie było.

Opuściła go wreszcie cierpliwość. Wybiegł z pokoju.

— Przepraszam pana—zawołała srebrnym głosikiem Florentyna—może panie nie mają czasu....

— I owszem,—odrzekł Zygmunt podchodząc pod kozioł, zaraz będą służyć—proszę pani!

Rzekłszy to podniósł rękę do góry, aby ją podać pięknej amazonce. Florentyna oparła rękę na jego dłoni, podniosła się z całym urokiem wprawnej zalotnicy i w piękną jego twarz utopiła głębokie spojrzenie.

W tej pozie zatrzymała się chwilę.

— Pan mnie masz za wątłe stworzeńko—rzekła z rozkosznym uśmiechem — które potrzebuje ręki cudzej, aby zejść z powoziku..... do takiej ręki nie jestem przyzwyczajona!—dodała z smutnym uśmiechem.

Potem, jakby niewidzialną wypchnięta sprężyną, podniosła się do góry, bucik prunelowy lekko oparła o stopień i jak zgrabna baletnica stanęła nagle na ziemi.

Zygmunt podziwiał jej zręczność, ale teraz dopiero w całej okazałości stanęła przed nim piękna kobieta. Czarna, jedwabna suknia spływała długo za nią, mała tylko koronkowa kryzka bieliła się pod szyją.

— Zrównałam się z panem, — rzekła z uśmiechem,— chociaż niedawno tak wyższą byłam od pana!

— Paniom się słusznie taka wyższość należy!—odparł Zygmunt z galanteryą.

Florentyna westchnęła.

— Smutna jest ta wyższość nasza — rzekła z bolesnym uśmiechem—ludzie albo trzymają nas na ołtarzu adoracyi, albo kopią nas nogami, jeżeli im z tem jest wygodniej!

— Mogę pani służyć—ozwał się Zygmunt z uśmie-

chem wskazując na ganek—poprowadzę panią przez stopnie, coraz wyżej, jak pani sama widzisz!

— Oby słowa pana miały to znaczenie,—odpowiedziała,—jakie ja im w tej chwili w myśli nadaję!

— Bądź pani pewna, że w tej myśli może się zgadzam z panią.

Zygmunt podał jej rękę. Florentyna spojrzała na niego dużem, czarnem okiem, jakby badała znaczenie słów wymówionych, potem uśmiechnęła się rozkosznie, przyjęła podaną rękę a czarny, lugduński jedwab zaszeleścił po schodach prowadzących na ganek.

Na ganku pojawił się w tej chwili Onufry. Widząc Zygmunta prowadzącego Florentynę zakłopotał się stary, i sam nie wiedział co począć. Rozpostarł ręce, jakby idącym chciał wejście wzbronić.

— Proszę...—mówił powoli — przepraszam... starsza pani kazała przeprosić.... bo nie ma nikogo w domu!

Zygmunt spojrzał piorunującym wzrokiem na starego. Poczerwieniał na twarzy.

— Przecież są panie—odrzekł—idź i powiedz, że przyjechała pani Florentyna ***.

— Mówiłem,.... ale jak Boga kocham, nie ma nikogo w domu!

— Przed chwilą były!—mówił dalej Zygmunt i ukąsił się w usta, aby dalej nic nie powiedzieć.

— Były... ale... wyjechały! Właśnie w tej chwili wyjechały,... tak ot... co tylko odjechały!

Zygmunt zbladł teraz. Uczuł zimno febry.

— Zapewne wyjechały na spacer—zaraz wrócą—rzekł do pani Florentyny—niech pani wnijdzie!

Zygmunt mówił to dla Florentyny. Wewnątrz inaczej był przekonany. Postanowił nie cofać się.

Onufry jednak był nieprzejednany.

— Nie na spacer, nie—odparł z miną najsprawiedliwszego człowieka—wyjechały panie.... do miasta!

— Mylisz się staruszku!—rzekła do niego Florentyna z ujmującym uśmiechem — dopiero w tej chwili widziałam w oknie młodą panię!

Onufry z indygnacyą spojrzał na Florentynę.

— Czyż miałbym kłamać? — odrzekł — ja mówiłem z wielkiemi paniami, a nikt mi nie powiedział że kłamię! A włos siwy he?

— *Il est ivre Madame!*—rzekł Zygmunt do Florentyny —*je vous prie—prenez les devants!*

Rzekłszy to odtrącił jedną ręką starego Onufrego, któremu z przestrachu oczy słupem stanęły — drugą rękę wysunął zręcznie z koronek brukselskich, zapraszając giestem Florentynę, aby do salonu weszła.

— Zawołaj mi natychmiast Michała!—rzekł w przedpokoju głosem stanowczym do Onufrego.

Stary znał dobrze ten głos, zbladł na twarzy i powoli jak widmo grobowe podążył korytarzem na lewo, aby rozpanu wypełnić.

Michał stawił się natychmiast.

— Niech tu młoda pani zaraz przyjdzie!—zawołał Zygmunt głosem donośnym.

Tymczasem przeszła się Florentyna po salonie.

Salon był bogaty i z wielkim smakiem urządzony. Florentyna podziwiała kobierce, obrazy, zwierciadła, palisandrowe meble i ładne kwiaty w misternych koszach.

— Przyznam się panu—ozwała się po chwili — że salon taki sprawia na mnie bardzo miłe wrażenie. Nie jest to bowiem salon dzisiejszych bogatych ludzi, którzy za pomocą jednej spekulacyi przyszli do fortuny. Salon takich ludzi nosi zawsze piętno niedawnego ich wyniesienia się. Obrazy są najczęściej tandetne, malowane z pośpiechem,

jakby dopiero na zamówienie były robione. Obrazy takie ubierają tylko ściany, a kupcy nazywają je technicznym językiem swoim *pour embellir*.... Nawet w ramach widać pospieszny obstalunek wzbogaconego nagle spekulanta. Rzeźby są prawie niewykończone, zaledwie namarkowane, tylko z frontu błyszczące, a w tyle proste drzewo i prosta farba! Nie było czasu na lepszą robotę, bo bogaty spekulant chciał prędko tych świecideł, aby udawać przed światem, że lubi sztukę..... A tu w tym salonie widać rękę kilku wieków—kilka generacyj składało tu nabytki rzetelnej sztuki i bogactwa....

— Uwagi pani są słuszne — odpowiedział Zygmunt, patrząc niecierpliwie na drzwi—ten salon powoli zapełniał się temi dziełami sztuki.....

— Widać nawet tutaj dzieje wewnętrzne różnych dziedziców tego majątku..... naprzykład tych kilka obrazów przedstawiających rozkoszne sceny biesiady szlacheckiej..... ta misa z indykiem, na którą patrzą z taką tęsknotą dalsi biesiadnicy, podczas gdy bliżsi niemiłosiernie głęboko krają..... ten jegomość w piaskowym żupanie jakże kwaśno patrzy przez szkło na cienkusza koloru zielonego, którego mu sprytny sługa z innego nalał gąsiora niżeli tamtemu karmazynowi, którego rostruchan pali się winem ognistego koloru?... A jakże smutna jest ta przerwa w refektarzu klasztornym, gdzie od pełnego półmiska pieczeni wołają biesiadnika do głosowania, jak to przez okno widać, które w kształcie loży wychodzi do nawy kościoła, napełnionej obradującą szlachtą? Jak po mistrzowsku oddana jest na twarzy patryoty walka wewnętrzna między obowiązkiem publicznym wotowania nad sprawą, a pokusą nieodpartą pysznie wyglądającej pieczeni!... Te obrazy malują niezawodnie czasy saskie—a miłujący te czasy dziedzic nabył je i tutaj powiesił... Nieprawda?

— Tak.... nadzwyczaj trafnie czytasz pani tutaj kronikę domową—odpowiedział Zygmunt patrząc z niepokojem na drzwi, z których wyjść ma gospodyni domu...

— Tutaj — mówiła Florentyna posuwając się dalej— uż inny duch panuje we dworze. Dziedzic ówczesny żył w innych czasach, lub lubił je przedewszystkiem. Wszędzie bitwy i bitwy. Tatarzy, Szwedzi, Krzyżacy—a nawet Grecy i Rzymianie, Giermanie i Normanowie zapełniają te burzliwe obrazy. Widać, że w owym czasie była cała atmosfera napełniona bojem, wojną. Wszyscy oddychali tą atmosferą, wciągali w siebie te dzikie, krwawe obrazy, żyli nie mi. Była snać potrzeba takiego ducha, były to konieczne instynkta wypływające z ówczesnej sytuacyi, było to wszystko we krwi, w kościach..... Ale jak się zdaje, nie wszyscy poszli za temi instynktami, wielu zostało spokojnie w domu—to też i skutek zaraz nastąpił smutny. Oto— kronika trzeciej generacyi... obrazy przedstawiają widoki grobów i cmentarzy z księżycowem oświeceniem... cudne nocne pejzaże... ale ludzi już nie ma—już wszyscy posnęli, pomarli!... Tu i owdzie jakiś wędrowiec samotny, zbierający szczątki dawnych zbroi i lam szczerozłotych, ale to zabawka tylko, nic więcej!...

— Pani tworzysz cały poemat!—zawołał Zygmunt zadziwiony talentem Florentyny...

I w tej chwili zapomniał nawet na drzwi popatrzyć.

— Epilog tego poematu jest bardzo smutny! — rzekła Florentyna spuszczając na dół szkliste oczy jedwabną rzęsą pokryte—epilog jest smutny... a ja jestem jednym małym rozbitkiem tego smutnego epilogu!...

Zygmunt patrzał z rozrzewnieniem na kobietę, o której losach tyle zajmujących rzeczy opowiedział mu niedawno Maryusz.

Przypomniał sobie w tej chwili krzywdę, jaką jej wy-

rządzają sąsiedztwa parafialne i szybkim krokiem postąpił do dzwonka i silnie za taśmę pociągnął.

Michał zjawił się na progu.

— Mówiłem, żeby młoda pani tu zaraz przyszła!—zawołał z czołem zmarszczonem.

Michał był widocznie zakłopotany. Chciał coś odpowiedzieć, namyślał się, ale nic nie powiedział. Obrócił się i odszedł.

Zygmunt zrozumiał to milczenie. Zacisnął zęby i z wymuszonym uśmiechem zbliżył się do Florentyny.

— Jeżeli się nie mylę,—rzekł do Florentyny—matka pani była francuzka...

— Tak jest — odpowiedziala Florentyna—urodziłam się w Paryżu, gdzie mój ojciec był wychodźcą...

— Miło było pani powrócić do swoich... do przyjaciół ojca pani....

— Daleko milsze było moje uczucie, gdy do tego tęskniłam dopiero!... Marzeniom nigdy nie dorówna rzeczywistość!

— Czy rzeczywistość tutaj jest dla pani tak nieprzyjemną?

Florentyna westchnęła i umilkła.

Zygmunt patrzał na nią ze współczuciem.

— Może to tylko tak z początku! — ozwała się po chwili Florentyna — trzeba się pierwej wżyć w stosunki z ludźmi, trzeba ich przekonać, że nie wszystko złe co się złem wydaje, trzeba wreszcie czasu na to, aby niektóre rany się zagoiły, które zadaliśmy mimowoli i wiedzy cudzym marzeniom i oczekiwaniom!... Człowiek bowiem najsprawiedliwszy nigdy nie wie, komu na nogę nadepce, tyle nóg plącze się w ciemności, zdążając do jednego i tego samego celu po ciemku!...

— Masz pani zupełną słuszność—odparł Zygmunt i zamyślił się nad tem, co Florentyna powiedziała.

W słowach jej widział wiele prawdy, a nawet wiele podobieństwa do siebie.

— Przyznam się panu — mówiła dalej Florentyna,— żem się długo namyślała z moją wizytą do państwa. Wiem o tem bardzo dobrze, że sąsiedztwa mają jakieś uprzedzenie do mnie; ale jakiś instynkt wewnętrzny kazał mi zbliżyć się do państwa.... i cieszę się z tego niewymownie, że ten instynkt nie omylił mnie!

Podała Zygmuntowi drobną rączkę. Zygmunt ścisnął rękę tę z całą serdecznością.

— Bądź pani przekonaną,—odparł, że całem naszem zachowaniem się udowodnimy, żeś się pani nie zawiodła!

Florentyna podniosła duże oczy ku niebu. W tych oczach migotało coś jakby łzy...

Zygmunt przypomniał sobie w tej chwili, że Karoli jeszcze nie ma. Szybkim krokiem pobiegł aż na próg.

— Michale!—krzyknął—powiedz młodej pani, aby natychmiast tu przyszła—powiedz, że ja tak chcę!

Sine pręgi wystąpiły mu na czoło. Florentyna bawiła się tymczasem białą koronką.

— Chciałam nawet rady zasięgnąć od pana — ozwała się po chwili—spodziewam się, że mi jej pan nie odmówisz!

— Słucham pani!

— Jakkolwiek w powiecie tutejszym wiele jest dam, które słusznie szczycą się tytułem, że należą do dobroczynności, i od czasu do czasu w towarzystwie księżnej na publicznych balach i loteryach figurują—ale żadna z nich nie myśli o tem, aby we własnej wsi swojej pełnić taki sam obowiązek miłosierdzia względem dzieci wiejskich, które rosną dziko jak lilie polne. Czyż to nie prawda?

— Zupełnie zgadzam się z panią. Tytuł opiekunki

biednych sierot jest u nas tylko prostą próżnością ocierania się o księżnę lub hrabinę. Na swoim zagonie, gdzie tego nikt nie widzi, pracować się nie chce!

— Otóż chciałabym założyć u siebie szkółkę dla biednych dzieci — i w tym względzie prosiłabym o pomoc sąsiedzką, bo jestem tutaj prawie obcą!...

— Pani zobowiązujesz nas swojem zaufaniem!

Karoli jeszcze nie było. Dłużej nie mógł już Zygmunt czekać. I tak kompromitowała już go żona przed obcą kobietą.

— Przepraszam panią za moją żonę — ozwał się po chwili gryząc usta—jest ona pod tym względem istną parafianką! Ręczę pani, że dopiero z panną służącą odbywa naradę, którą kryzkę wziąść na szyję i czy nie zawadziłoby z odwróconych koków zrobić fryzurę *à la chinoise*!... Pozwól pani, że sam pójdę i te ważną sprawę rozstrzygnę!

Rzekłszy to pospieszył szybko do progu. Ale w progu spotkał się już z Karolą.

Karola była bladą i miała ślady łez na twarzy. W tualecie nie było żadnej zmiany.

Zygmunt zawrzał gniewem na jej widok. Zrozumiał tę bladość i te łzy i wiedział, kto był tego powodem. Miał teraz dla siebie jawne dowody, kto właściwie w domu chce rządzić i czem on tutaj jest w istocie.

— Raz musi to się skończyć—tak albo tak!—rzekł do siebie i podprowadził żonę do Florentyny.

Karola była sztywna jak posąg. Zaledwie trochę ugięła się przed Florentyną. Usta zacisnęła, jakby ją ból jaki rozdzierał.

— Chwaliłam tutaj przed mężem urządzenie salonu—rzekła Florentyna — w samej rzeczy, że można go podziwiać!

— Zbyt jesteś pani łaskawa!—wyszepnęła Karola.

— Samo dzieło chwali się! Widać tu właśnie rękę kilku antenatów, którzy się składali na te skarby sztuki..... Czy ojciec lub dziad pana podróżował, że tyle mógł rzeczy drogich nazbierać?...

— To nie byli moi antenaci, którzy te skarby zbierali!—odpowiedział Zygmunt i poczuł rumieniec na twarzy.

— To pan nie jesteś najmłodszym dziedzicem tego domu? — zapytała Florentyna i z ukrytą ironią spojrzała na Zygmunta.

Karola zarumieniła się także. Wiedziała o tem, że Florentyna poruszyła najdrażliwszą stronę Zygmunta.

Zygmunt jednak prędko przyszedł do siebie. Słowa pani Florentyny były mu nawet teraz na rękę.

— Nie jestem z prawa najmłodszym dziedzicem tego dworu—odpowiedział z uśmiechem—tylko *de facto* nim być usiłuję, chociaż mi to dosyć trudno idzie!

I spojrzał na Karolę.

Karola ucieszyła się, że grożąca burza tak szczęśliwie minęła. Rozśmiała się z całą szczerością, ścisnęła męża za rękę i odparła:

— Jesteś nim kochany Zygmuncie *de facto* i *de jure*, jak mówią adwokaci — jesteś najmłodszym dziedzicem tego wszystkiego co cię otacza!

— Więc to właściwie.... majątek pani!—mówiła dalej nieubłagana Florentyna,—a w oczach jej migotało coś niedobrego.

Karola na to wprost odpowiedzieć nie chciała. Spojrzała z obawą na męża.

Rozśmiał się Zygmunt, ale uśmiech jego był smutny.

— Dlaczegóż nie odpowiesz? Wszak odpowiedź jest bardzo łatwa, jeżeli ma być prawdziwa!

Karola chciała pokryć czemś swoje zakłopotanie i najgorzej zrobiła.

— Dla tego nie odpowiadam—rzekła z uśmiechem—bo zapytanie nie było dobrze ułożone. Nie mogę bowiem powiedzieć, że majątek do mnie należy!

— A prawda!—zawołała Florentyna—to jest majątek matki pani! Dziwię się, że o tem nie wiedziałam! Ale to daje pani miarę, jak jestem osamotnioną tutaj!

— I dowiedziałaś się pani teraz — ozwał się z pewną ironią Zygmunt, —że to nie jest ani mój, ani mojej żony majątek, ale matki żony mojej! Jakże to daleka droga do męża! Nieprawdaż Karolo?

Twarz Karoli posmutniała

— Źle sobie nasze słowa tłumaczysz!—wyszepnęła.

— Nie pani—bardzo dobrze!—odpowiedziała Florentyna—chociaż to nie tyczy się pani, ale sąsiedztwa. W sąsiedztwie to bardzo wielki nacisk kładą na to, do kogo majątek należy. A ja mogę o tem wiele mówić, bo jestem w tem samem położeniu co mąż pani.... Mam majątek nieboszczyka męża mego!

— Przecież to nie powinno mieć żadnego znaczenia.. —rzekła bojaźliwie Karola.

— Widać, że pani mocno męża kochasz, jeżeli w takiej sytuacyi nie widzisz wielkiej różnicy!

Florentyna spojrzała z rozczuleniem na młodą kobietę, która ośmielona tem wejrzeniem rzuciła się w objęcia męża i długo na jego piersi twarz trzymała...

Niejakiś czas trwała jeszcze rozmowa. Przeszła na rzeczy powszednie i codzienne.

Tymczasem złoto-gniade rumaki niecierpliwiły się coraz więcej. Stangret objechał już kilka razy cały klomb dokoła.

Florentyna wyjrzała oknem i spostrzegła niepokój rumaków, których stangret już utrzymać nie mógł.

— Jakto człowiek jest niewolnikiem różnych dro-

bnych akcessoryów życia!—rzekła z uśmiechem wskazując ręką na niesforne rumaki—muszę odjeżdżać, ale spodziewam się, że niezadługo będzie mi wynagrodzoną ta bolesna przerwa.....

— Miły to będzie dla nas obowiązek! — odparł Zygmunt i podał rękę Florentynie, która już Karolę pożegnała.

Za kilka chwil stanęły rumaki jak wryte, poczuwszy energiczną rękę..... Florentyna zatrzymała się chwilkę jakby tryumfem upojona.... kiwnęła potem głową do ganku i jak widmo zniknęła.

Zdala tylko za akacyą schowany stary Onufry przerażonem patrzał okiem na kobietę, którą miał za istną czarownicę.

Po chwili złożył ręce i oczy podniósł do nieba, jakby Bogu dziękował, że nieszczęście szczęśliwie minęło!

XVIII.

Scena, jaka rozegrała się między matką a córką, podczas gdy Florentyna z Zygmuntem w salonie rozmawiała, była dla Zygmunta tajemnicą. Ani matka, ani córka nie powiedziały mu nic, chociaż zachowanie się jednej i drugiej było dosyć wymowne.

Zdaje się, że Zygmunt mógł się domyślić, jaka mogła być ta rozmowa, mógł wnosić z bladości Karoli i śladów łez na jej twarzy, że tu szło o pierwszeństwo posłuszeństwa dla matki lub dla niego. Z rezultatu jednak jasno widział, że walka ta zakończyła się posłuszeństwem dla męża.

Taki wypadek walki domowej, o której miał przekonanie, że od dawna pokryjomu istniała, zadowolił go widocznie a nawet wprowadził go w dobry humor.

Postawił przecież raz na swojem, okazał dobitnie swoją wolę i tej woli stało się zadość.

Sprawiało mu to nawet pewne wewnętrzne zadowolenie, gdy panią Augustę od tego dnia widział chmurną i smutną, gdy widział, że widocznie go unika i w swoich pokojach coraz więcej przesiaduje.

Pani Augusta nie mogła utaić swojej boleści, jaką jej

sprawił tak dziwny postępek zięcia, ale nie chciała wyzywać go przed kratki sądu domowego, nie chciała nawet z nim się spierać, czy to było źle czy dobrze z jego strony, bo widziała jasno, że słowami wcale go nie przekona, a taka rozmowa sprawiłaby tylko tem większe rozdrażnienie.

Chciała więc Zygmunta ukarać tylko swoją twarzą milczącą, powściągliwością pieszczot macierzyńskich i okazaniem delikatnem swego umartwienia, jakie sprawił jej Zygmunt.

Zygmunt przeciwnie, wziął to za oznakę odwrotu z zajmowanej dotąd pozycyi zwierzchniczej, i z uśmiechem przyszłego zwycięzcy czekał ostatecznego poddania się.

Najbardziej cieszyło go, że w sąsiedztwie wizyta pani Florentyny w Złotej Wiszni uchodzić będzie za owoc jego niezawisłości, gdyż wszyscy wiedzieli o tem, że pani Augusta nigdy nie przyjęłaby w domu swoim tej kobiety.

Ta myśl bardzo mu się podobała. Całe sąsiedztwo będzie teraz widzieć w nim człowieka niezawisłego, który ma już pewną własną pozycyę, chociaż siedzi na majątku żony.

Tak sobie wyrozumował Zygmunt i tą drogą dalej postępować postanowił.

Najboleśniejsze było położenie Karoli. Była ona teraz między Scyllą a Charybdą. Słuszność i przywiązanie dziecinne, kazały jej stanąć po stronie matki — miłość ciągnęła ją do męża. Wiedziała bardzo dobrze, czego mężowi potrzeba, co go najbardziej dolega. Tego jednak odmienić nie mogła. Majątek był jej, Zygmunt nic nie miał. Nawet przepisanie tego majątku na własność Zygmunta niby nie pomogło, bo Zygmuntowi nie chodziło o fizyczne posiadanie majątku—tylko dręczyło go przekonanie moralne, że on tutaj nic nie ma, że do spółki życia nic nie włożył, bo oso-

bista praca jego nie wiele znaczyła, a nawet wcale potrzebną nie była.

Tego bolesnego przekonania nie mogła Karola niczem mężowi odebrać. To była jego choroba, której nie mogła uleczyć ani pieszczotą, ani uległością bezwzględną, ani żadnem słowem.

Zygmunt miał za wiele moralnego gruntu w sobie, aby kolców takiej pozycyi nie uczuć. Po niewczasie spostrzegł, że w życiu żadnego kapitału sobie nie uzbierał, że jest poprostu proletaryuszem moralnym. A tych bolesnych kolców nic nie mogło przygłuszyć, ani pieszczoty kochającej żony, ani smaczny kęs chleba, jakim go karmiono.

Nieszczęśliwą więc teraz była Karola. Musiała bardzo ostrożnie obchodzić się z chorym, aby go w niczem nie urazić.

Jakkolwiek Zygmunt kochał ją szczerze, drażliwość jednak jego budziła w niej nieraz podejrzenie, czy się nie łudzi, czy Zygmunt w gruncie nie przestał ją kochać?...

Ta myśl bolesna wciskała się coraz więcej do jej duszy, straszyła ją jak zmora w długich bezsennych nocach i tworzyła widma tak straszne, że na widok tych widm prawie omdlewała....

Taiła się jednak z tem podejrzeniem sama przed sobą, matce ani słówkiem o cierpieniach swoich nie wspomniała, tylko w gorącej modlitwie szukała ukojenia.

Wizyta Florentyny tak niespodziewana dolała oleju do tego ukrytego ognia, który ją trawić zaczynał.

Cudownie piękna kobieta sprawiła na niej dziwne wrażenie. Widywała ją dawniej zdala, teraz poznała ją zbliska i musiała przyznać, że posiada wdzięki niezwykłej kobiety. Nietylko ciało, ale umysł świecił takiemi wdziękami, które zazwyczaj podbijają....

Przypomniała sobie teraz wszystkie szczegóły, z ja-

kiemi powoli wprowadzał Zygmunt Florentynę do rozmów codziennych, stając zawsze po jej stronie. Widziała ztąd, że Zygmunt przygotowywał już dla niej wstęp do domu i potem przemocą ją prawie wprowadził. Przypomniała sobie, że podczas tej pierwszej wizyty był Zygmunt nadzwyczaj ożywiony, był nawet dla niej bardzo wylany, jakby jej jałmużnę dawał za to, co drugą ręką jej odbierał....

Wszystko to zebrała razem Karola i przestraszyła się. Do tego jeszcze po wizycie Florentyny był Zygmunt przez dłuższy czas w różowym humorze. Uśmiechał się do siebie, nucił sobie półgłosem jakieś wesołe, miłosne piosenki, które dawniej jej śpiewał—i lubił samotne przechadzki nad stawem, które przecież nie miały żadnej dyagnozy samobójstwa....

I podczas gdy Zygmunt po odniesionem jednem zwycięztwie coraz więcej głowę do góry podnosił, pewniejszym już krokiem po samotnych przechadzkach chodził, a nawet z każdym dniem coraz weselszym się stawał: biedna Karola posępniała coraz więcej, pochylała się coraz bardziej do ziemi, a twarz jej blada stawała się z każdym dniem coraz więcej przezroczystą.

Zygmunt jednak dla uzyskania samoistnej pozycyi na chlebie żony uczynił był dopiero krok pierwszy — za nim w konsekwencyi musiały nastąpić inne.

Florentyna złożyła pierwszą wizytę w Złotej Wiszni w konsekwencyi wypadało Zygmuntowi odwiedzić ją z żoną nawzajem.

Zygmunt postanowił już to naprzód w myśli swojej— ale wykonanie tego postanowienia pozostawił czasowi, który był mu potrzebny, aby wydarzenie to rozeszło się w parafii i aby o tem sąsiedzi coś mówili.

Zresztą nie było to tak łatwe zadanie. Pani Augusta była jeszcze ciągle zagniewaną za mniemaną hańbę, jaką

wyrządził jej domowi. Potrzeba było zwolna ten gniew przełamać i w danej chwili znowu swoją wolę okazać.

Zaczął więc powoli zdążać do tego. Codzień, czy to przy obiedzie, czy herbacie, wprowadzał Florentynę do rozmowy. Mówił wiele o jej piękności, o znajomości ubierania się, co od parafianek wielce ją wyróżniało, o jej niepospolitem wykształceniu i talentach pięknych — i o prawdziwem poczuciu obowiązków obywatelskich, z jakiemi przed nim się zwierzyła.

Słowem, Zygmunt korzystał z każdej chwilki czasu niezapełnionej jakim innym materyałem i chwalił piękną kobietę, opowiadał o jej losach wyjątkowych, i doszedł w końcu do tego, że o niczem innem mówić nie chciał.

Łatwo pojąć, jakie wrażenie sprawiało to na biednej Karoli. Nagromadziła już w swojej głowie wiele pozorów, które Zygmunta o zniżenie temperatury serdecznej dla żony oskarżać mogły. Teraz postępowanie Zygmunta i ta wieczna adoracya pięknej lecz nienormalnie żyjącej kobiety, robiły wszystkie te pozory istotną prawdą.

I pani Augusta nie mogła dłużej w zagniewanej swojej bierności pozostać. Musiała to i owo Zygmuntowi powiedzieć, co tylko tem mocniej go przekonywało, że właśnie dobry środek do ocalenia swojej pozycyi wybrał, jeżeli takie dobre owoce, to jest opór wywołuje.

Cieszył się więc skrycie z drogi dobrze obranej i tą drogą szedł dalej.

Tymczasem wkoło niego tworzyła się coraz więcej dziwna atmosfera.

Jakkolwiek pani Augusta i Karola ze smutków swoich i podejrzeń przed nikim się nie zwierzały, domyśliła się jednak ich służba domowa.

Służba domowa nie lubiła skrycie Zygmunta. Powód do tego był bardzo prosty. Służba wiedziała o tem, że nic

nie miał gdy przyszedł do majątku żony, a że teraz, ratując swoją niezawisłość, był dla niej twardszym i więcej szorstkim, więc za jego plecami ruszała z litością ramionami. Nie chcąc siebie stawiać na pierwszym planie, wypychała naprzód najznakomitsze ofiary takiego nieludzkiego postępowania, to jest panią Augustę i Karolę—i niby litując się nad niemi, w ich obronie występowała.

Złożyło się to wszystko na pewną nieprzyjazną atmosferę, która Zygmunta otoczyła. W atmosferze tej wylęgały się przyszłe burze i pioruny i czekały tylko chwili sposobnej i znaku.

Łatwo teraz mogła odgadnąć służba, co właściwie największe sprawia matce i córce zmartwienie.

O Florentynie, jako o kobiecie wyzwalającej się gwałtownie i hazardownie z wszełkich karbów zwyczaju i obyczaju, mówiono źle w całej okolicy. Nic więc łatwiejszego nad proste przypuszczenie, że ta kobieta zaczyna tutaj mącić spokój domowy mieszkańców.

Zaczęto więc w sekrecie mówić o tem między sobą, zaczęto regestrować to, co w sąsiedztwie o tem mówią. Potem każdy ze służby uważał za swój obowiązek przyjść w pomoc uciśniowym, domowym kobietom, choćby ta pomoc nie była wcale jawna.

W pierwszym szeregu stanął stary Onufry. Od dawna przeczuwał jakieś nieszczęście w domu, w którym lat kilkadziesiąt wiernie służył. Smuciło to starego i nawet często nad tem przywidzeniem zapłakał.

Dzisiaj to przywidzenie przybrało pewne kształty i postać. Ta postać jeszcze bardziej zafrasowała go, bo wierzył, że jest w spółce z djabłem.

Mimo to wszystko, jako prawy katolik, który się djabła lękać nie powinien, postanowił potajemnie czuwać nad tem, aby się co złego w domu nie stało, za co Pan Bóg, jak

wierzył Onufry, nietylko dom ten, ale nawet całą okolicę należycie karze.

I tak uderzyło go, że Zygmunt zaraz po obiedzie wyjeżdża konno drogą polową i nie wraca aż przy zachodzie słońca.

Onufry myślał nad tem długo, aż wreszcie przyszedł do przekonania, że w tem coś się ukrywa.

Postanowił do tego dotrzeć.

Pewnego dnia powiedział w domu, że ma jakiś sprawunek w mieście i prosił, aby mu na ten dzień dano wolność zupełną.

A gdy takową otrzymał, wyszedł cichaczem niby do miasta, a tymczasem wrócił się drogą na prawo i tam w krzakach ukrył.

Długi czas leżał na ziemi. Wytężył ucho i chciwie chwytał każdy szelest listka. Wiatr przytem jakoś smutno szumiał w gałęziach i usposabiał go do tem smutniejszych myśli. Zalał się nawet kilka razy łzami, że jest tak nieszczęśliwy, że na stare lata czuwać musi, aby nieszczęście dom ominęło, w którym żył aż do siwych włosów... I wiele jeszcze smutnych myśli przebolał na jawie, zanim Bóg się ulitował nad nim i powieki jego słodkim snem skleił.

Onufry spał więc smacznie jak rycerz na kresach, i byłby o wszystkich obowiązkach swoich zupełnie zapomniał, gdyby w tej chwili nie była go lewa noga zabolała.

Otworzył oczy—a nad nim stały dwa ogniem ziejące, złotogniade rumaki, z których jeden już mu nogę rozmiażdżył kopytem, a teraz głowie zagrażał!...

Onufry był pewny, że to sen straszny. Zeszłej niedzieli mówił właśnie proboszcz w kościele o jakiejś bestyi apokaliptycznej, która z nozdrzy ma wyrzucać siarkę z ogniem i trzecią część ziemi spustoszyć.... Onufry mnie-

mał, że to widmo nie jest niczem innem jak tylko reprodukcyą tego we śnie, co na jawie od proboszcza słyszał.... mocował się z sobą, aby się obudzić i krzyż święty na czole położyć.... gdy nagle usłyszał znany nad sobą głos kobiecy:

— Usuń się staruszku, bo cię konie zabiją!

Onufry przetarł teraz oczy, przeżegnał się i uwierzył, że to na jawie. Prędko wysunął się z pod koni na bok i usiłował wstać z ziemi.

Powstać nie mógł, bo nogę miał skaleczoną, ale za to poznał znajomy faetonik i poznał kobietę, której głos niedawno jak puzon z pod Jerycha uderzał o ucho jego.

Włosy stanęły mu na głowie. Wytrzeszczył oczy i osłupiałym wzrokiem patrzał na nią.

Tymczasem skierowała Florentyna napowrót spłoszone konie na drogę, a dając służącemu tymczasem lejce, zeskoczyła z kozła, aby się przekonać, co się stało ze śpiącym w krzakach staruszkiem.

— A!... jeżeli się nie mylę, to my się znamy staruszku! zawołała bawiąc się biczykiem i poprawiając kapelusik z czerwonem piórem na głowie.

Onufry kiwnął głową ale nic nie odpowiedział.

— Cóż tu robisz przyjacielu?—zapytała po chwili.

— Wracałem z miasta—jąkał Onufry—i tak zdrzemnąłem sobie trochę!

— Zapewnie byłeś na propinacyi.... czy cię noga boli?

Onufry okazał krew powyżej buta.

Florentyna skrzywiła się.

— Zły jakiś znak na dzisiaj—szepnęła do siebie.

Po chwili zawołała na służącego:

— Masz chustkę.... Daj ją staruszkowi, aby sobie nogę zawiązał, i trzeba go wziąść do domu, bo sam nie zajdzie!

Onufry sam nie wiedział, co się z nim działo. Sam

czart pokrzyżował mu tak dobrze ułożone plany i oddał go na łaskę i niełaskę w ręce kobiety, w której widział uosobione nieszczęście swojej dawnej pani, dziedziczki Złotej Wiszni.

Ten sen przeklęty, który mu skleił oczy wtedy, gdy on był czuwać powinien jak rycerz kresowy ...

Śród tych gorzkich wyrzutów sumienia czuł stary Onufry, że jakaś silna ręka z ziemi go podniosła, nogę powyżej buta chustką białą obwiązała i potem go na wygodnych poduszkach w faetonie położyła... Potem nastąpiło jednostajne kołysanie resorów, konie jednostajnie uderzały kopytami o drogę żwirową, a gdy dobra godzina minęła, usłyszał skrzyp otwierającej się bramy i zobaczył przed sobą pyszny pałac z bijącą fontanną na dziedzińcu.

Onufry uważał teraz cały ten wypadek za istną karę za to, że do dobrego celu chciał iść drogą nieszlachetną.... Westchnął do Boga i poddał się swemu losowi, który go wydał do rąk żywych nieprzyjaciół.

XIX.

Kiedy Onufry w niewoli babilońskiej godzinki śpiewał i Boga prosił, aby go jak Daniela z jaskini dzikiej lwicy jaknajprędzej żywym wyprowadził—świeciło boże słonko pogodnie nad Złotą Wisznią, jakby tam nikt o biednego jeńca się nie troszczył.

Kobiety jak zazwyczaj były w sobie zamknięte i tylko Karola próbowała uśmiechu swego, który dawniej tyle miał uroku dla Zygmunta.

Dzisiaj po obiedzie był Zygmunt w jakimś wyjątkowym humorze. Karoli rosło serce na samą myśl, że mąż wróci do dawnych serdecznych stosunków, że to, czem się dotąd dręczyła, było może tylko chorobliwem przywidzeniem...

To też humor dobry Zygmunta powitała serdeczną wesołością, nie szczędziła pieszczot najczulszych, aby dawniejsze umartwienia mgłą zapomnienia przesłonić a życiu powszedniemu wykraść choć jedną złotą chwilkę poezyi, za którą teraz tak gorąco tęskniła....

Zaraz po obiedzie pobiegła do ogrodu, aby dla Zygmunta zerwać żółtą herbacianą różę, którą tak lubił. Niedaleko tej róży spotkała matkę.

— Co robisz?— zapytała matka.

— Zrywam różę dla Zygmunta! — odpowiedziała Karola.

Pani Augusta nie lubiła tych sentymentalnych kobiet, które dla okazania swego afektu pozbawiają życia biedne kwiatki, mające czas dłuższy ozdabiać i wonią napełniać atmosferę ogrodu.

— Ten krzak tak pięknie przyozdabia ten trawnik— rzekła do córki—cóż przyjdzie Zygmuntowi z róży zerwanej—jeżeli pragnie jej woni, niech przyjdzie i niech poi się nią do woli!

— Pozwól mi mama tylko jedną zerwać!—błagała Karola.

— Zerwij i więcej jeżeli ci koniecznie potrzeba—zwracam tylko twoją uwagę na to, że dla zrobienia komuś małoznaczącej przyjemności, grzechem jest pozbawiać życia tak piękne i rzadkie róże.....

Karola już była zerwała różę. Smutno patrzała teraz na nią. Przy róży były jeszcze dwa zupełnie nierozwite pączki.

— Widzisz ile szkody zrobiłaś!—mówiła matka — te pączki już są stracone! Czy ty wiesz że one tego nie czują co straciły?... A one straciły całą przyszłość swoją!

Karola posmutniała.

— Czemuż mama pierwej mi tego nie powiedziała, co teraz słuchać muszę? — rzekła z wyrzutem—tem się tylko pocieszam, że tego nie zrobiłam dla siebie, ale dla Zygmunta.

— Dla siebie zrobiłaś, ale nie dla Zygmunta! Zygmunt ani się nie popatrzy na biedną różę konającą!

— Zygmunt jest dzisiaj szczególnie dobry dla mnie Z takiem szczęściem przyjmował moje pieszczoty!

Twarz pani Augusty pokraśniała. Ucałowała w czo-

ło Karolę, przycisnęła jej głowę do piersi i rzekła z uśmiechem:

— Powiadasz, że Zygmunt jest szczególnie dobrym dzisiaj dla ciebie—co mnie bardzo cieszy—ale zważ dziecie, że jeżeli mąż ma coś złego na myśli, to wtedy najserdeczniejszemi pieszczotami obsypuje żonę.

Karola nagle pobladła.

— Cóż ci to?—zapytała przestraszona matka.

— Czemu mnie mama straszysz? z wyrzutem odrzekła Karola.

— Przecież wiesz o tem, że żartuję tylko! Zkądże mogłabym męża twego podejrzywać o wiarołomność.

Karola nic na to nie odpowiedziała. Odeszła z różą do męża, ale była smutna i zamyślona.

Zygmunt obaczył w ręku Karoli żółtą różę.

— Widzę żeś o mnie myślała!—rzekł z uśmiechem sięgając po różę.

Karola cofnęła rękę z różą.

— Za tę różę coś mi się należy—rzekła na pół smutno, na pół żartobliwie—należy mi się najprzód serdeczny...

— Ależ wiem, wiem moja droga—przerwał jej mowę gorącym pocałunkiem—a teraz róża moja!

— Jeszcze nie!—zawołała Karola.

— Jeszcze nie?...

— Przysięgnij mi, że nie masz nic złego na myśli!

— Że nie mam nic złego na myśli? — powtórzył Zygmunt i zmarszczył czoło, jakby się namyślał.

— Tak—że nie masz nic złego na myśli!

— Kogóż ma się tyczyć to złe?

— Mnie—mojej miłości dla ciebie i twojej dla mnie!

— I dlaczegóż żądasz przysięgi?

— Tak... choćby z kaprysu!

Zygmunt patrzał z upodobaniem czas niejaki w pię-

kne, szczere oczy Karoli—potem objął ją rękami za szyję i serdecznie ucałował.

— Jeżeli tak... to przysięgam ci bez żadnego ograniczenia.

Dla Karoli była to jedna z najpiękniejszych dzisiejszych chwil jej życia, które zaczęło coraz więcej zasępiać się chmurami. Uścisk męża był dla niej jakby czarodziejską kąpielą, która obmyła ją ze wszelkich podejrzeń, jakie kiedykolwiek wzruszały boleśnie jej duszą i serce niemiłosiernie rozdzierały. Widziała, jak wszystkie te mgły odpływały teraz od niej gdzieś daleko, a przy niej coraz jaśniejsza świeciła atmosfera szczęścia i pogody....

Czasami tylko jak błyskawica gdzieś na krańcu widnokręgu przelatywały po tej atmosferze słowa matki żartobliwe: że mąż wtedy najczulszy dla żony, gdy ją oszukać zamyśla.... ale te słowa blakły prędko i przepadały w ciemności.

W tej chwili zaturk tały koła przed gankiem.

Karola jak spłoszona sarna odskoczyła od Zygmunta i wyjrzała przez okno.

Przed gankiem stał jakiś wózek.

— Ktoś przyjechał!—rzekła do niego—mój Boże, czemuż mi ludzie skracają najprzyjemniejsze chwile moje!

— Aby po małej przerwie były tem przyjemniejsze! — odparł Zygmunt całując żonę w czoło.

Karola szybko wymknęła się od niego. Na progu obejrzała się jeszcze raz, rzuciła mu ręką całus serdeczny, uśmiechnęła się rozkosznie i znikła.

Zygmunt wyszedł teraz na ganek, a za chwilę wszedł razem z nim Maryusz do pokoju.

Maryusz był dzisiaj ubrany z niezwykłą troskliwością. Czarny tużurek wyglądał jakby co dopiero wyszedł z pod żelazka krawca, głowa miała widoczne ślady sztucz-

nej fryzury, wąsy były zupełnie podobne do wąsów Napoleona III, a piersi szerokie okrywała z pewną ostentacyą świeżo wykrochmalona kamizelka. Jakaś woń wyszukana tchnęła od niego, jakby nią chciał czyjeś zmysły przyjemnie odurzyć.

Zygmunt obejrzał starannie Maryusza do koła. Był w dobrym humorze i miał wielką ochotę zażartować sobie z przyjaciela.

— Niechże cię nie znam! — zawołał,—dzisiaj jesteś w pełnym rynsztunku nieodpartego zdobywcy. Powiedz mi co się święci z tobą?

Maryusz rozśmiał się z należytą powagą, którą chciał widocznie zneutralizować zbyt wesoły humor swego przyjaciela.

— Jeżeli chcesz, – ozwał się po chwili, – abym otwarcie na twoje zapytanie odpowiedział, to pierwej musiałbym cię widzieć w odpowiedniejszym humorze! W tej chwili bowiem zajmuje mnie rzecz bardzo ważna.

— Zlituj się! Pewnie masz odbyć pojedynek na śmierć lub życie..... i dla tego, stosownie do regulaminu armii francuzkiej, ubrałeś się na ten bój śmiertelny w najparadniejszy mundur!... Siadaj tymczasem i zapal cygaro!

Zygmunt przysunął przyjacielowi szkatułkę z cygarami.

— Nie daleko odbiegłeś od prawdy — rzekł po niejakim czasie Maryusz zapalając cygaro — krok który właśnie postanowiłem zrobić, nie o wiele różni się od tych kroków, które prowadzą do walki o życie!

— Zaczynasz mnie rozciekawiać!

— To jeszcze zamało!

— Budzisz we mnie niepokój!

— Niedosyć jeszcze!

— Drżę z obawy, aby ci się co złego nie stało!

— Teraz już dobrze.... jestem bowiem przekonany, że mi w troskliwości swojej nie odmówisz pomocy.

Zygmunt podał rękę Maryuszowi.

Maryusz siedział niejakiś czas w milczeniu. Chciał pewnym odstępem przedzielić wesołą rozmowę z towarzyszem od tego, co teraz nastąpić miało.

Po niejakim czasie, okryty chmurą dymu ozwał się:

— Szczerze mówiąc — trudno wiedzieć dzisiaj, gdzie się żart kończy a prawda zaczyna.... Przerobiliśmy całe życie nasze na żart i na dowcip. Znajomy znajomego, przyjaciel przyjaciela wita słowem dowcipnem. Kochanka nawet wymaga takiego powitania, bo słowa sentymentalne są nudne i śmieszne.... Ojciec do syna i syn do ojca odzywają się żartem, bo i w rodzinie zapanował ton nowożytnej francuzkiej komedyi... najpiękniejsze i najwznioślejsze legendy starożytnego świata, jak naprzykład: wyprawa Orfeusza do krainy ciemności, aby tam odszukać to co kochał i do życia swego napowrót wcielić... ta legenda śliczna może nas tylko dzisiaj szyderstwem ubawić, musimy przy niej śmiać się z głupiego Orfeusza i jeszcze głupszych bohaterów starożytnego świata!....

— Stój Maryuszu! — przerwał mu Zygmunt — bo widzę, że z całej obecności chcesz jednym zamachem utworzyć kupę gruzów i potem jak na gruzach Kartaginy chodzić pomiędzy niemi z załamanemi rękami!....

— Zaprawdę, że dzisiaj wiele gruzów mamy w koło siebie, których nie widzimy... zdaje nam się, że to kwiaty wiosenne na łące życia....

— Nie poznaję dzisiaj ciebie!

— Bośmy przywykli tylko w powszedniej odzieży widzieć siebie—przy preferansie lub djabełku......

— W jakąż grę chcesz grać?...

— Jest wielka gra życia... o której nie można mówić z uśmiechem na twarzy, z dowcipem na ustach....

— Czy chcesz—łez moich?

— Chcę tylko przyjaźni, nic więcej!

— Przecież to posiadasz dawno! Licz na to!

— Przyjaźń twoją—nie gniewaj się — uważam za niedostateczną.... chciałbym ją uzupełnić!

— Bądź otwartym!

— Wybierając się do ciebie już to postanowiłem.... Człowiek bez pewnych marzeń i rojeń nie może być szczęśliwy!

— Któż ci w marzeniach może przeszkadzać?

— Przeszkodzono mi już nieraz w życiu.... Widziałem niejeden kwiat, który wonią i barwą przynęcał mnie do siebie.... nieraz sięgałem do niego.... i nieraz zdawało mi się, że już łaskawie na mnie patrzy.... a tymczasem zawistny los odwrócił go odemnie!...

Maryusz westchnął. Zygmunt patrzał na niego z uwagą.

— Przecież niejeden kwiat wyrasta nam na drodze życia—rzekł po chwili do smutnego przyjaciela.

— Prawda – i to może jedyne nasze szczęście!

— Czegóż więc chcesz? Możesz co kilka kroków schylić się i—iść dalej, jeżeli kwiatek niełaskawy!

— Tak się też robiło, gdy się było młodym!

— Przecież do różańca się jeszcze nie wpisałeś!

— Ale ludzie gwałtem wpychają ten różaniec do rąk człowiekowi.

— Przecież nie wszyscy są tak.... niedyskretni!

— Otóż tem goręcej rozpala się w sercu marzenie, jeżeli ktoś miłościwym względem nas się okaże!

— Czy masz jakie powody....

— Z tem większą radością przyjmujemy uścisk ręki, który nam się dostaje w jesieni życia....

— Z tego wszystkiego wnoszę, że się chcesz—ożenić!

— Zgadłeś!.... Trzeba raz to niepewne i burzliwe życie porzucić! Człowiek tęskni już do cichego kominka i kółka rodzinnego!

— Winszuję ci tej tęsknoty! Tylko radzę ci rozsądnie wybierać.

— Już wybrałem!

— Kogo?

— Znasz ją dobrze.

Zygmunt z uwagą spojrzał na przyjaciela.

— Znam ją dobrze?... Czy nie.... pani Florentyna?

Maryusz podał rękę przyjacielowi.

— Tak jest—zgadłeś! - odpowiedział z naciskiem.

Kilka chwil trwało milczenie.

— Przepraszam cię,—przerwał milczenie Zygmunt— że twego wyboru natychmiast ci nie powinszowałem, bo przyznałeś się jakoś tak nagle, że jeszcze dobrze w całej tej sprawie nie mogłem się zoryentować.... Rzeczywiście powinszować ci takiego wyboru! Piękna, z niezwykłem wykształceniem, sierota... niesłusznie w sąsiedztwie prześladowana.... niebiedna... czegóż chcieć więcej? Wybór z jednej strony korzystny, z drugiej strony rzuca na ciebie dobre światło, że w obec plotek parafialnych bierzesz w opiekę kobietę.... ale...

— Ale....—przerwał szybko Maryusz—zlituj się, bądź ostrożnym z tem „ale“, bo mówisz do człowieka, który ją kocha!

— Właśnie dla tego winienem jak twój przyjaciel patrzyć i za ciebie—bo ty w takim razie źle widzisz!

— Niezawsze jest dobrze odsłaniać oczy zakochanemu....

— Poczuwam się właśnie do tego obowiązku.

— Taki obowiązek mógłby mi wielką krzywdę wyrządzić!

— Mimo to, nie zwalnia mnie...

— Mogą to być tylko fałszywe pozory!

— Patrzę tylko na fakta, ale nie na pozory.

— I fakta czasem łudzą!

— To o czem chcę mówić nie podlega złudzeniu. Jest jasne jak na dłoni.

— Życzę ci, abyś jeszcze raz rozważył...

— Nie należy to do zdań, które zmienić można.

— Ludzie nieraz są tak okrutni!

— Dla tego chcę o tem z tobą mówić!

— Z komara zrobią wołu!

— Ale ten komar może dla ciebie stać się wołem!

— A zresztą i słońce może mieć skazy!

— Ale nie trzeba wierzyć, że jest bez skazy!

— Czasem zbieg okoliczności jest tak fatalny, że nawet najsurowsza cnota może się zachwiać....

— Dla tego trzeba jasno widzieć swoją pozycyę.

— Jeżeli ta pozycya nie może się już zmienić?

— Przecież nie jest jeszcze po ślubie!

— To prawda.... ale, jednem słowem — cofać się nie chcę! Teraz mnie pojmujesz. Bądź więc ostrożnym w słowach swoich.

— Chcę tylko na to zwrócić twoją uwagę, czego sam doświadczam boleśnie.

— Czego sam doświadczasz? — powtórzył Maryusz i lekką piersią odetchnął—ja mniemałem, że o czem innem chcesz mówić.

Widoczna radość wróciła na zafrasowaną twarz kandydata do stanu małżeńskiego. Groźba Zygmunta wypowiedzenia czegoś, czegoby w tej chwili słyszeć nie chciał,

mocno go przestraszyła. Ucieszył się, że w przypuszczeniach swoich pomylił się, że Zygmunt bynajmniej tej strony poruszyć nie chciał, której on się tak obawiał.

— Cóż więc miałeś mi do powiedzenia? — ozwał się uspokojony Maryusz po chwili do przyjaciela.

— Przedewszystkiem - rzekł Zygmunt smutno, zwracam twoją uwagę na to, że pani Florentyna ma znaczny majątek i że dla tego majątku żenisz się!

— Cóż ztąd? Przecież to nie jest grzechem?

— Grzechem nie jest... ale jest to chleb bardzo niestrawny! Wierzaj mi, mówię o tem z doświadczenia. Nie mówię już nic o piekle, jakie zazwyczaj w takim razie w lat parę powstaje między małżeństwem, jeżeli ono wyższego nie ma wykształcenia - ale mówię o małżeństwie nawet dobranem i wyrozumiałem. Mimo największego afektu, mimo najsubtelniejszej wzajemnej wyrozumiałości — jest między niemi cień czarny, który ich ustawicznie przeciw sobie rozdraźnia, jest jakiś sam wyrzut prostego faktu, że mąż je chleb żony, że jest niczem—który może sprowadzić tak tragiczne zawikłania, jakich nawet nikt nie mógłby się domyślić!... Ja ci to mówię z doświadczenia — a moje doświadczenia są bardzo bolesne! Bolesnem było najprzód odkrycie, gdzie jestem i na czem stoję.... boleśniejszem jeszcze było postanowienie po odbytej walce, że z takiej pozycyi trzeba wyjść... więc dziś wychodzę powoli... a zabijającą jest niepewność—dokąd zajdę!

Zygmunt spuścił smutno głowę na piersi.

Nastąpiła długa pauza milczenia.

Zygmunt przebiegał myślą wszystkie swoje cierpienia, a Maryusz patrzał z uwagą na przyjaciela, a nawet z pewnym niepokojem.

— Twoja przestroga nie jest bez podstawy — ozwał się po niejakim czasie—i wdzięczny jestem ci za nią. Zwra-

cam tylko twoją uwagę, że tutaj inne są jak u ciebie warunki.

— Warunki mogą być inne — ale sytuacya zostanie zawsze ta sama!

— Pani Florentyna nie ma matki.... nie ma w domu służby tradycyjnej, w koło niej jest wszystko nowe, własną ręką dobrane, ja nawet mogę to wszystko odmienić....

Zygmunt smutno patrzał przed siebie.

— Być może zresztą, — odpowiedział z pewnem znużeniem, — że te warunki inaczej wpłyną na twoje szczęście!

— Przecież i twoja pozycya nie jest tak rozpaczliwa...

— Jest straszną — ale zaczynam jakoś ją potroszę łagodzić sobie.

— Jeden jest tylko na to sposób.

— Umieć być panem w domu. Nieprawda?

— Zgadłeś!

Zygmunt wstał i wyprostował się z dumą.

— Zdaje mi się, że to zaczyna mi się już udawać, — rzekł patrząc na siebie w zwierciadło — już tu i owdzie rogi pokazałem, a zrobię jeszcze więcej, jeżeli potrzeba będzie!

— Jedyny ratunek! W niczem nie ustępować, we wszystkiem mieć własną wolę, a nawet robić to, czegoby się może nie robiło, gdyby nie trzeba tem w oczy sąsiadom rzucić dowodu, że się jest panem w domu.

— Tak... tak! takiej maksymy trzymam się teraz, i coraz dalej pójdę! Ani zięciem, ani mężem malowanym nie będę!

— Któżby zniósł taką hańbę przed światem!

— Wolałbym żebrać, na drogach rozstajnych rękę wyciągać, niżeli potulnie jeść chleb żony i być niczem!

Zygmunt przeszedł się tutaj kilka razy po pokoju.

Maryusz z niepokojem patrzał za nim.

— Wracając do mego interesu — rzekł po chwili — miałbym jeszcze małą prośbę do ciebie.

— Tak.... trzeba umieć być panem u siebie — mówił Zygmunt jakby do własnych myśli — ani na krok w niczem nie ustąpię..... mówiłeś o jakiejś prośbie?

— Abyś był tak dobry i chciał być pośrednikiem....

— Ani kroku nie ustąpię—okażę, że mam własną wolę.... jakim pośrednikiem?

— Abyś pojechał do pani Florentyny i w mojem imieniu solennie jej się oświadczył!

— Okażę że mam własną wolę.... chcesz abym do pani Florentyny pojechał? — powtórzył Zygmunt i zatrzymał się w swoich przechadzkach po pokoju.

— Tak jest, o to bardzobym cię prosił.... Tembardziej, że okazałbyś tem własną wolę, jeżeliby w domu kto nie uważał tego za stosowne....

— Co! krzyknął Zygmunt — w domu by kto tego nie uważał za stosowne? A cóż mi do zdań cudzych? Czy jestem malowany? Mam moje własne zdanie i w każdym razie mogę tego dowieść!

Zygmunt poczerwieniał w tej chwili na twarzy. Obejrzał się kilka razy za siebie czy nie ma tam kogo, ktoby praw jego zaprzeczył, spojrzał na portret żony, który nad biurkiem wisiał, ale portret milczał a nawet słodko uśmiechał się do niego... Nie było nigdzie nikogo, ktoby chciał mu się sprzeciwić, ktoby to co miał zrobić, uważał za niestosowne.

Maryusz z uwagą patrzał na przyjaciela.

— Sprawa już w połowie wygrana! — rzekł z uśmiechem — nigdzie nie ma oporu, jesteś panem nieograniczonym!

— Czy tego koniecznie ci potrzeba?—zapytał po chwili Zygmunt i zamyślił się.

— Koniecznie. Nie idzie tu o decyzyą pani Florentyny — jestem jej już pewny.... jest to tylko mały kaprys kobiety. Będzie to dla niej przyjemnem, a nawet podchlebi to jej, jeżeli ty imieniem mojem od niej ręki zażądasz!

— O tem zaraz w sąsiedztwie wiedzieć będą!

— I owszem, tego właśnie tobie potrzeba, aby się dowiedzieli, żeidziesz za własnem zdaniem, nie mówiąc pacierza za panią matką!...

— Prawda... masz słuszność! Zaraz każę zaprzęgać! Wszak pilno ci—widzę jesteś ubrany!

— Zaczekaj.... jeszcze coś. Wiesz dobrze, że jeżeli ktoś się oświadczy a panna lub wdowa go przyjmie, to wtedy jak sfora psów rzucają się na nich znajomi i nieznajomi, nicują całą przeszłość i przyszłość szczęśliwej pary, dają zbawienne rady i ostrzeżenia, a często nawet jedna i druga strona odbiera anonimy z długim regestrem mniemanych grzechów, jakich niby mieli się dopuścić ludzie, dzisiaj w zgodzie świętej idący do stopni ołtarza....

— Prawda, prawda! Sam tego doświadczyłem! Karola otrzymała dziesięć listów, które proroczym duchem ostrzegały ją od tego strasznego potworu, jakim mnie zrobiono!...

— Otóż w takim razie—chciałbym, aby dzisiejsza nasza wizyta mogła pozostać w tajemnicy.....

Zygmunt namyślał się.

— Trudno to urządzić... moi ludzie nie będą milczeć, a gdybym im milczenie nakazał, to z komara zrobią wołu, jak to zwykle bywa!

— Pojedziesz na moim wózku..... powiesz w domu, że mnie odwiedzasz w pewnym interesie gospodarskim..... Czy zgadzasz się na to?

Po niejakim namyśle odrzekł Zygmunt:

— Zgadzam się na to, chociaż wolałbym, aby to się inaczej stało. Masz jednak słuszny powód do tego. Jedna i druga strona wolałaby w takim razie nie wiedzieć o sobie.

— Rozumie się o głupich pozorach, które później w chwilach namiętnych mogłyby jednej lub drugiej stronie dostarczyć materyału do wzajemnej kalumnii!

— Masz słuszność—zaraz ci służę. Tylko żona moja, dawnym obyczajem przygotowała zapewne dla nas kawę poobiednią!

— Jeszcze mały interesik. Potrzebuję koniecznie na kilka dni tysiąca guldenów. Wiem, że nie masz gotówki, ale podpis twój jest dostateczny. Oto weksel.

— A gdzież wierzyciel?

— Czeka na mnie w karczmie na rozstajnej drodze.

Zygmunt pomyślał chwilę. Potem wziął szybko pióro i weksel podpisał.

— Nie wiem, jak ci podziękować za tyle dobroci!

Zygmunt nic nie odpowiedział, tylko przyjaciela ścisnął za rękę.

Za chwilę wyszli do salonu, gdzie ich serdecznie powitała Karola.

— Nie powinnaś mnie pani dzisiaj tak serdecznie witać,—ozwał się Maryusz—gdyż zabieram pani Zygmunta!

— Zabierasz mi pan Zygmunta?—powtórzyła z niepokojem Karola — gdzież to wybierasz się pan tak niezwykle wystrojony?

— Do domu... pod moją ubogą strzechę!... A ten paradny mundur był przeznaczony do miasta, zkąd wracam.

— A! tak!.... Pamiętaj pan, abyś Zygmuntowi co złego nie zrobił!..... Kiedy powrócisz Zygmuncie?

— Zapewne późno w nocy—kawałek drogi!

Rozmowa już nie szła dobrze. Urywała się co słowo, Karola była zamyślona i roztargniona. Pani Augusta do kawy nie wyszła.

Zygmunt przebrał się naprędce, zarzucił na siebie płaszcz podróżny, aby Karola staranniejszego jego stroju nie spostrzegła i już chciał żonę żegnać, gdy ta nagle ozwała się do niego:

— Weź z sobą różę! Gdzieżeś ją podział?

— Czy ta prześliczna thea?...—zapytał Maryusz—leży tam na biurku!

— Weź ją..... będzie ci talizmanem..... — od złamania żebra na złej drodze!—rzekła Karola z wymuszonym uśmiechem, bo właśnie coś ją w tej chwili w sercu zabolało.

— Pozwolisz pani, — ozwał się Maryusz, — że ja sam będę talizmanem na złej drodze!

Rzekłszy to wskoczył na kozioł i silną ręką uchwycił lejce. Konie stanęły cicho jak wryte.

Za nim podążył teraz Zygmunt. Karola jeszcze raz uśmiechnęła się do niego, a gdy wózek za żywym płotem w kurzu zniknął, odwróciła się szybko, aby z oczu łzy obetrzeć.

Nie mogła zrozumieć dzisiaj swego smutku. Zygmunt tyle razy odjeżdżał, a przecież nigdy nie było jej tak ciężko na sercu, nigdy tak żywo nie czuła, że Zygmunta koło niej nie było!

Westchnęła i odeszła do matki.

XX.

Już wszyscy dobrze spali we dworze, gdy przez tylną bramę zajechała fura i ostrożnie do oficyn się zbliżyła.

Stróż nocny dojrzał ją i zbliżył się.

Z fury wyłaził właśnie jakiś staruszek z wielką ostrożnością, podpierając się na dużym kosturze.

W świetle księżyca poznał stróż starego Onufrego.

— Czy to z odpustu tak późno panie Onufry?—zapytał z uśmiechem szczerego przyjaciela.

Onufry zamiast odpowiedzi syknął z bólu.

— Ot, lepiej podajcie mi rękę a nie naśmiewajcie się zezłej przygody biednego człowieka!—odpowiedział Onufry.

— O dla Boga! Przecież na Kalwaryi nie odtłukli wam dziady nogi!

— Nieszczęście nie chodzi po lasach ale po ludziach!

Stróż dopomógł Onufremu na ziemię.

Powoli weszli obaj do oficyn, gdzie była izdebka Onufrego.

— Święty Antoni! — zawołała stara Onufrowa obaczywszy wystraszone oblicze męża i nogę powyżej buta białą szmatą obwiązaną!

— Milcz stara! Po co krzyczysz! – zawołał Onufry— trzymaj język za zębami, choćby jak swędziło!

Onufrowa z zadziwieniem spojrzała na męża.

— O czem mam milczeć?—zapytała z niepokojem.

— Milczeć o wszystkiem. Rozumiesz? Jak mi tylko jedno słówko piśniesz tam we dworze, to mówię ci, że godzina twojej śmierci wybiła!

— O święta Małgorzato! Cóż się tobie stało? Mówisz od rzeczy!.... Czy może co wypiłeś?

— Patrzcie Wojciechu,—zawołał z indygnacyą Onufry do stróża — i ta stara Ksantypa jeszcze pijaka zrobi z człowieka! Czyście słyszeli?

— Et dajcie pokój.... Cóż to, noga was boli?

— Upadłem.... i na pniaku skaleczyłem się!

— Już tam trzeźwy człowiek nie upada!—rzekła nieprzejednana małżonka.

— Lepiej nic nie mów i milcz jak grób! Rozumiesz babo--milcz jak grób! Najlepiej jest nic nie mówić, nic nie widzieć, nic nie słyszeć! Rozumiesz stara?

— O święta Małgorzato! Czy rozumiecie go Wojcie chu? Czy co do niego przystąpiło?

— Co przystąpiło? krzyknął Onufry i zamachnął się kosturem na żonę—do biednych ludzi nie przystępuje, ale zły duch bierze się do bogatych, do tłustych ludzi, na pańskim choćby cudzym wypasionych chlebie! To dla niego smaczny kąsek! A cóż mu tam z biednego charłaka! Zęby by połamał i basta!

Staruszka pokiwała głową.

Onufry wyprostował się, lewą ręką podparł się na kosturze, a prawą wzniósł do góry.

W takiej pozie wyglądał jak patryarcha.

— Powiadam wam ludzie—rzekł głosem uroczystym —że przyjdzie wkrótce czas, gdzie to wszystko co było ja-

sne, zczernieje jak kłoda drzewa leżąca na dnie wody, a gdzie wesołe ptaki śpiewały, zagnieżdżą się sowy i puszczyki i straszyć będą tych, którzy tu przytułku szukali!... Gniew Boga jest straszny, prawica Jego trzyma miecz obosieczny, a ten miecz nie wybiera gdzie ma paść!... każde ciało jest równe dla Jego miecza, szyja bogacza nie jest twardszą od szyi pospolitego zbrodniarza!...

Stróż i Onufrowa patrzeli z zadziwieniem na siebie.

— Patrzycie jak mężowie Galilei—mówił dalej w proroczym nastroju stary Onufry—a ja wam powiadam że nic nie ujrzycie! Ja tylko widziałem, ale co widziałem nie powiem nikomu, choćby mi język z gardła wydarto!... Zły duch nie próżnuje ale zarzuca wędkę na biednego człowieka .. biedny człowiek może się jeszcze jako tako wyśliznąć, ale bogaty ma barki szerokie i szyję grubą, a sznur wciśnie się w ciało i już go nie zdejmiesz!... Czy widzicie ten dwór piękny i okazały?... A ja wam powiadam, że za krótki czas będzie tu płacz i zgrzytanie zębów, bo zły duch nie próżnuje!... A wtedy kto będzie na dachu niech nie złazi, a kto będzie w polu niech nie spieszy do domu, bo tam zapanował już zły duch, którego zwą antychrystem!...

Stary Onufry byłby jeszcze dalej reprodukował zasłyszane w kościele rzeczy, gdyby żona nie była mu przeszkodziła.

— Czy ciebie zły duch opętał, że takie bezbożne rzeczy wygadujesz? zawołała z energią.

— Nie mnie opętał zły duch, ale kogo innego!

— Kogóż? Czemu nie mówisz?

— Pst! aby nikt nie słyszał! Rozumiesz? Aby nikt tutaj nic nie wiedział, bo to byłoby wielkiem nieszczęściem. Zresztą ja nic nie mogę mówić, bo to nie uchodzi — byłem, jadłem i piłem—nie wypada! Mówię ci, trzymać język za zębami! Może to przeminie jak przemija każda złowroga

chmura, może się rozejdzie i znowu słonko boże zaświeci... dla tego nic o tem teraz! Pamiętajcie abyście ani słówkiem o tem nikomu nic nie mówili, co słyszeliście odemnie!

Rzekłszy to rozpłakał się stary i zaczął powoli oglądać się za łóżkiem. Po chwili usiadł na łóżku i kazał żonie przynieść wody zimnej, aby nogę sobie obmyć.

Staruszka nie mogła zrozumieć co dzisiaj stało się mężowi. Stary wprawdzie miał od niejakiego czasu zwyczaj mówienia stylem biblijnym, a nawet czasem bawił się w proroctwa jeremiaszowe, ale takim jakim był dzisiaj nie widziała go nigdy. Dzisiaj wybiła się jakaś boleść na jego twarzy, w oczach malował się obłęd a ciemne słowa jego kazały się domyślać, że coś z nim zaszło nadzwyczajnego.

Nie mogąc się niczego od niego dowiedzieć, poprosiła stróża aby świeżej wody przyniósł, a sama wzięła się do opatrzenia skaleczonej nogi.

Najprzód rozwiązała białą szmatkę.

Onufrowa za młodszych lat była praczką we dworze. Gdy białą szmatkę do ręki wzięła, przekonała się natychmiast, że to nie była prosta szmata, ale najcieńsza chustka, z prawdziwego, paryskiego batystu.

Prócz tego na jednym rogu był haft nadzwyczaj artystyczny, a śród pięknych arabesków jaśniała litera F.

— Gdzieżeś był? zapytała zdziwiona.

— Gdzie byłem! W mieście byłem—a w powrocie upadłem i nogę skaleczyłem!

— Ktoż ci dał tę szmatę?

— Szmatę?... Zdaje mi się, że miałem z sobą!

— Nieprawda! Kłamiesz! Kto ci ją dał?

— Być może, że kto dał, ale dobrze sobie nie przypominam! Zresztą mniejsza o szmatę!

Kobiecym instynktem odgadła Onufrowa, że tu o jakąś tajemnicę chodzi, do której odnosiły się poprzednie sło-

wa Onufrego. Kazała więc stróżowi odejść pod pozorem, że mąż trochę się napił i spoczynku potrzebuje, zamknęła starannie drzwi od sieni, i postanowiła energicznie wziąść się do badania.

Onufry przejrzał zamysły żony. Postanowił bronić się do upadłego i nic nie powiedzieć.

W samej rzeczy wiedział on w tej chwili bardzo wiele, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Gdy go bowiem do pałacu z bijącą fontanną na dziedzińcu przywieziono, zdjęto go z elastycznych poduszek i zaprowadzono do bocznej oficyny, aby tam trochę odpoczął, nogę zimną wodą obmył i przygotował się do odjazdu na furze, na której miano go odwieść do Złotej Wiszni.

Jakkolwiek Onufry całą tę przygodę za wymysł złego ducha uważał i gorąco Pana Boga prosił, aby mu pozwolił wyjść żywym ze szponów nieczystych; mimo to smakowała mu pieczeń, którą mu kucharz przyniósł, jako też wyborną była wódka z ręki pierwszej kameryery pani Florentyny, która imieniem pani dowiadywała się o jego nogę i żołądek.

Onufry podziękował za pamięć, pocałował nawet w rękę kameryerę i od pokojowca przyjął z należytem uznaniem sporą sztukę białej bułki ze świeżem masłem, które miało kolor szafranu.

I tak jasne i ciemne chwile przeplatały pobyt jeńca w pałacu. Czasami modlił się do Boga, aby go wyrwał jak najprędzej z pazurów czartowskich, a czasami połykał z pewnem zadowoleniem tłuste sztuki pieczeni, mieszając je z kawałkami białej jak słońce bułki. Przytem rozmawiał z kucharzem, stróżem, panną Agatą a nawet z ogrodnikiem, który mu w kieszeni przyniósł kilka ładnych jabłek.

Powoli zaczarowany zamek bezbożnicy zaczął przybierać kształty coraz łagodniejsze, ludziska byli jakoś po-

czciwi i miłosierni, a nawet sama pani Florentyna nie wyglądała tak strasznie, jak ją wymalowano.

I powoli zaczął się Onufry ułaskawiać, zaczął nawet posądzać panią Augustę o zbyteczny rygor domowy, że tej kobiety przyjąć nie chciała, i za każdym kęsem pieczeni i bułki poczuwał się do większej wdzięczności i sam sobie wyrzucał, że poważył się nieszlachetnym sposobem godzić na nią i w tym celu zasadzkę w krzakach zrobił: gdy nagle coś mu mignęło przed oczyma, co krew jego we wszystkich żyłach na raz zamroziło.

Na dziedziniec wjechał wózek pana Maryusza, a przy Maryuszu siedział—Zygmunt!

Florentyna wybiegła na ganek i z przymileniem serdecznej znajomej podała rękę Zygmuntowi.

Zygmunt wszedł z nią do ocienionej werandy... Maryusz tymczasem zajął się końmi i rozpoczął rozmowę z ekonomem.

Onufry patrzał aż mu oczy na wierzch wyłaziły. Teraz dopiero widział jasno zrządzenie Opatrzności, która go powiodła tak dziwną drogą do celu, do którego sam chciał zmierzać....

Upłynęło kilka godzin. W tym czasie zaszła scena, której nie mógł dobrze sobie wytłumaczyć Onufry.

Po wczesnej herbacie wyszła Florentyna na przechadzkę do cienistej alei, która prowadziła aż do samych oficyn. Zygmunt sam prowadził Florentynę, a Maryusz gdzieś został w pokoju.

Był już zmierzch wieczorny, gdy Zygmunt i Florentyna zbliżyli się do końca alei.

Onufry widział, że Zygmunt żywo z nią rozmawiał. Często brał jej rękę i coś jej prawił. Ona czasem robiła giest, jakby go odpychała od siebie, potem śmiała się głośno swoim srebrnym głosikiem aż się po alei rozlegało....

Rozmowa ta trwała dosyć długo... wreszcie zwrócili się w inną stronę, która jeszcze więcej cienia miała, tak, że już Onufry dojrzeć ich nie mógł.

Tymczasem zajechała po niego fura.

Przyszedł kucharz i ogrodnik, wsadzili go na wóz, dali mu nawet na drogę flaszczynę wódki i kawałek chleba z pieczenią i Panu Bogu polecili.

Onufry patrzał teraz na gwiazdy boże, chciał to co widział jasno odczytać, ale w głowie wszystko mu się pomąciło! Nie mógł jednego z drugiem związać.

Jasnem było, że dawne jego podejrzenia są prawdziwe. Widział Zygmunta na własne oczy, widział Florentynę..... ale cóż robić? Czy wszystko wypowiedzieć?

Nad tem zastanawiał się długi czas Onufry. Wreszcie przyszedł do przekonania, że milczeć trzeba.

A miał do tego różne powody.

Najprzód pani Florentyna nie wyglądała tak strasznie po djabelsku jak sobie wyobrażał, kazała mu dać kawał pieczeni i sztukę białej bułki a w dodatku furę do domu.

Potem wyobrażał sobie zmartwienie pani Augusty i Karoli w tak żywych barwach, że się ich przestraszył i postanowił wszystko to co widział i słyszał rzucić na dno morza.

Inną zaś drogą postanowił złemu zapobiedz. Postanowił najprzód pościć we środy i piątki i przez dwa tygodnie odmawiać pacierze i koronki do świętych patronów i męczenników, a gdy w tym czasie jaki znakomitszy święty przypadnie, postanowił uczcić go hejnałem na klarynecie, jak to czasem praktykował.

Tym sposobem miał przebłagać zagniewane niebiosa i od domu uchylić grom, który mu groził.

Z takiem postanowieniem powrócił do domu i byłby

niezawodnie wytrwał przy niem, gdyby nie ciekawa córa Ewy, która niczem uspokoić się nie dała.

Prócz tego batystowa chustka z cyfrą znanej sąsiadki podniecała tę ciekawość prawie do namiętności.

Biedny Onufry opierał się jak mógł, groził nawet pięścią i kosturem, ale to wszystko nic nie pomogło.

Podczas gdy on był przekonany, że tajemnicy nie zdradził, że ani słówkiem o tem co widział, nie wygadał się— żona wiedziała już prawie wszystko.

Umiała zręcznemi pytaniami, pozorną negacyą tego, czego on nawet nie powiedział, tak go zręcznie powikłać, że biedny stary broniąc uparcie tajemnicy, tak niezręcznie na szystko odpowiadał, że wreszcie żona prawie wi edziała o wszystkiem.

I jeszcze dobrze spał nad ranem stary Onufry, gdy chustka batystowa poszła do garderoby a ztamtąd do pani Augusty.

Panna Agata nie mogła wytrzymać aż się Onufry przebudzi, pobiegła do niego, obudziła go i znowu spory zapas różnych wiadomości nadszedł do dworu.

Wkrótce słuchała Karola w osłupieniu tak dziwnych rzeczy, że omało co nie skamieniała!

Tymczasem zasypiał słodko Zygmunt, który bardzo późno do domu wrócił.

Twarz jego rumieniła się we śnie, jakby śnił o czemś bardzo przyjemnem, a nawet usta jego otwierały się, jakby kogoś chciał całować....

Karola nie mogła już dłużej wytrzymać i lekko stuknęła klamką.

Zygmunt przebudził się, a widząc już późną godzinę zaczął się szybko ubierać.

Gdy cały ubrany do jadalnego pokoju wyszedł, zadzi-

wił się, widząc siedzące tam kobiety, które jeszcze śniadania nie jadły.

— Dla czego mama na mnie czeka?—zapytał z zadziwieniem całując rękę pani Augusty.

— Nie chciałyśmy pić bez ciebie! — odpowiedziała Karola.

Zygmunt tkliwie spojrzał na żonę. Na jego twarzy malowało się zadowolenie, oczy błyszczały jasnem światłem, a nawet usta były pełniejsze niżeli zwykle. Okazywało to, że był w dobrym humorze, że z dnia wczorajszego prawdopodobnie jest bardzo kontent, że mu się poszczęściło.

Gdy Karola to wszystko ujrzała, zbladła nieznacznie.

— Jakże ci poszedł wczorajszy gospodarski interes u pana Maryusza?—zapytała z pewną trwogą!

— Doskonale!—odpowiedział Zygmunt wesoło, bardzo się nawet z tego cieszę!

— Czy nigdzie więcej nie byłeś?—zapytała pani Augusta.

— Gdzież miałem być? Nigdzie! Sam interes zabrał nam czas aż do późnej nocy!

Matka zacisnęła usta, ale nic nie powiedziała. Karola zachwiała się, ale siłą moralną utrzymała się przy stole.

XXI.

Przez kilka dni panowała we dworze jakaś głucha, bliską burzą ciężarna cisza. Służba domowa szeptała sobie do uszu różne rzeczy, a zapytany o potwierdzenie stary Onufry, jakkolwiek nic nie mówił, tak jednak wymownie oczy do góry podnosił, że każdy odszedł od niego przekonany, iż wszystko jest prawdą.

Pani Augusta przyjęła te wiadomości z głęboką boleścią, ale postanowiła zachować się rozsądnie.

Na nicby się przydała nagła, gwałtowna burza. Namiętność taka o jaką posądzano Zygmunta nie da się nagłym gniewem zażegnać. Przeciwnie, rozpala się ona tem więcej, im więcej usiłuje się ją nagle przytłumić.

Pani Augusta postanowiła inaczej działać. Chciała ona trochę wyczekać i potem za pomocą opinii publicznej wpłynąć na zięcia.

Karoli nic nie powiedziała. Wzięła nawet Zygmunta w obronę i pobyt jego równoczesny w dwóch miejscach tłumaczyła naturalnym zbiegiem okoliczności.

Zapytywany Zygmunt o to nie przyznawał się, a to wypieranie się jego wzięła pani Augusta za dobry znak, że

uwiedziony może przez Maryusza, wstydzi się teraz swego postępku.

Tak stały rzeczy, gdy opinia publiczna, na którą pani Augusta czekała, zjawiła się we dworze.

Nietrzeba nawet wcale było całej awantury Onufrego, aby się o wszystkiem dowiedzieć.

Onufry jeszcze mało widział—opinia publiczna więcej od niego widziała i wiedziała!

Opowiadano najprzód, że Zygmunt zajął się piękną swoją sąsiadką i że już oddawna przy świetle księżyca odbywały się schadzki. Zygmunt wyjeżdżał na koniu, a małym karyklem zbliżała się do niego Florentyna. Mówiono nawet, że pewna kuźnia na rozdrożu stojąca służyła kochankom za schronienie się przed deszczem lub wiatrem, co nawet kowal miał raz przy szklance piwa w mieście swemu przyjacielowi wyznać.

Dotąd sięgała dopiero ekspozycya tej wieści parafialnej, teraz zaczęto rzecz dramatyzować.

Rzeczy chociaż tak idyliczne, nie mogły się długo ostać w tym stanie. Potrzeba było jakiegoś parasola, któryby zakrył czułych kochanków. I opinia publiczna wynalazła taki parasol. Był nim Maryusz. Zygmunt dawniej miał grywać razem z nim fałszywie w karty, a teraz sprowadził go i za pewne wynagrodzenie zaproponował mu ślub z Florentyną.

Nowa ta sytuacya miała ułatwić i przed opinią publiczną zasłonić romans idylicznych kochanków. Oba domy miały być w dobrej zażyłości i często siebie wzajem odwiedzać. Maryusz miał nawet często wyjeżdżać na wojaż, a Zygmunt miał w tym czasie wyręczać go w prowadzeniu gospodarstwa.

A że to wszystko jest prawdą, dowodzi ten fakt, że Zygmunt już się w imieniu Maryusza o rękę Florentyny

oświadczył, która to oświadczenie z pewnym uśmiechem przyjęła—a za to Maryusz przed tem oświadczeniem dostał od Zygmunta weksel na tysiąc guldenów, na który już w karczmie na Roztopach czekał Lajb Goldbrun i gotówką za niego zapłacił!

O tem wszystkiem wiedziała opinia publiczna

Zkąd o tem wiedziała? Jakim sposobem powiązała się tutaj prawda z fałszem? Trudno odgadnąć.

Zdaje się, że Florentyna w całym powiecie miała wielu nieprzyjaciół. Być może, że różne zawody składały się na to, aby liczba tych nieprzyjaciół sporo urosła. Były tam może nadzieje zawiedzione, były rachunki źle zrobione, były może i dawne fawory, o których zapomnieć było trudno — dosyć, że był znaczny kontyngens malkontentów. Liczba ta zwiększyła się jeszcze, gdy wiadomość o grożącym ślubie Florentyny pomimo wszelkiej tajemnicy się rozeszła. Taka ładna fortuna! Taka piękna, młoda kobieta! I któż znowu to chwyta? Oto — jakiś wędrowny rycerz, który Bóg wie zkąd przyszedł do powiatu!...

Sytuacya taka mogła słusznie wywołać gniew, zawiść i oburzenie, a że w chwilach namiętnych człowiek zazwyczaj jest najwięcej twórczym—więc zrodziła się ta dziwnie prawdopodobna legenda powiatowa, w której Zygmuntowi, Florentynie i Maryuszowi tak charakterystyczne dostały się role.

Trzeba przyznać, że opinia publiczna była tym razem istnym artystą. Wszystko miało pewną całość, wszystkie szczegóły zgadzały się z główną myślą.

Gdy to wszystko powoli do Złotej Wiszni doszło, sprawiło tam wrażenie bardzo smutne.

Z małym wyjątkiem prawie wszyscy sąsiedzi dowiedli teraz, że w ich sercach, napozór złotych, kryło się na dnie wiele żółci dla Złotej Wiszni.

Nie zapomniano tego pani Auguście, że zamiast znanego w całym powiecie ładnego Pawełka i z hrabią X. spokrewnionego Piotrusia, wybrała sobie na zięcia człowieka nieznanego w powiecie, który nawet do korony hrabiowskiej i książęcego paliusza nie chciał się przyznawać!...

Zjeżdżano się teraz z różnych stron na wizytki, aby z uśmiechem jak miód słodkim pytać mamę o zdrowie i kanarki, Karolę o kwiatki w ogródku i... o Zygmunta w dodatku — a Zygmunta, czy bywa często w pewnem sąsiedztwie—to jest u swego przyjaciela Maryusza...

Wizyty takie posypały się teraz jak z worka. Pani Augusta potrzebowała całego stoicyzmu, aby na siłach nie upaść, aby przy tej haniebnej komedyi nie unieść się gniewem i wszystkich za drzwi nie wyrzucić!...

Dziwne było teraz położenie Zygmunta. Wizyty po większej części skierowane były do pani Augusty. Ona była zawsze na pierwszym planie, do niej zwracano się, bo ona jako główna ofiara zasługiwała na politowanie, które oraz miało być karą dla niej. Po niej dano miejsce Karoli Pocieszano ją przezroczystemi frazesami, a biedna Karola nie mogąc sumiennie zaprzeczyć temu co słyszała, musiała się na to uśmiechać i brać to wszystko za żart dobrotliwy.

Zygmunt widocznie był teraz w zacieniu. Zaledwie przypominano sobie że istnieje. Czasami tylko dostało mu się jakieś słowo, jakaś rozmówka przelotna.

Widział to Zygmunt i znowu gniewał się na siebie, na położenie swoje, że mimo wszelkich sił nie może odpowiedniejszego dla siebie znaleźć stanowiska.

Zachowanie się matki i żony wytłómaczył także sobie jak dawniej. Zdawało mu się, że na to zachowanie się wpłynęły wizyty dzisiejsze. One to miały być wyrachowane na jego poniżenie, a matka i córka zastosowały się zaraz do tej miary.

I znowu mierzono go w domu tą miarą dawną, znowu dawano mu wyraźnie do poznania, że on tutaj jest niczem, że je tylko chleb żony ale na niego nie zarabia.

To widział teraz w zaciśniętych ustach pani Augusty, widział w bladej twarzy Karoli—a gdy ją gdzie w kącie płaczącą przydybał i o przyczynę tych łez pokątnych zapytał, dostawał na to takie odpowiedzi ciemne a jednak wiele znaczące, że je sobie tak wytłómaczył, jak tego żądało dzisiejsze jego usposobienie.

Do tego jeszcze popełniał bezwiednie tę niezręczność, że czasem do rozmowy wprowadzał Florentynę, wszystko chwalił, a nawet raz wyraźnie wspomniał o potrzebie rewizyty.

Pani Augusta skorzystała z tego, aby raz się z zięciem w tej mierze rozmówić.

— Tyle razy nieopatrznie wymawiasz nazwisko pani Florentyny, że dajesz nawet ludziom powód do różnych plotek! Zwracam na to twoją uwagę.

Zygmunt zrazu spojrzał na matkę z zadziwieniem a potem zadziwienie to przeszło w ironię.

— A ja najwięcej na tych plotkach cierpię! dodała Karola i prędko zasłoniła oczy.

Rozśmiał się szydersko Zygmunt.

— Broń inna, zawołał—ale rękę poznaję dobrze! Czy znowu źle zrobiłem, że przyjęcia nie odmówiłem biednej kobiecie, którą powiat cały prześladuje dla tego, że zdołała posiąść jeden z najpiękniejszych majątków, na który sentymentalniejsze od niej panny liczyły!

— Chcesz się tylko tem wykręcić—rzekła z powagą pani Augusta—ale na słowa moje nie odpowiadasz. Opinia publiczna wiele o tem mówi.

— Więc znowu mam słuchać kazania, że źle zrobiłem,

że w ogóle coś robię, bo właściwie mnie nic robić niewolno, bo ja tu jestem niczem!

— Jeżeli się rzeczywiście ku temu poczuwasz—któż temu winien? odpowiedziała w rozdrażnieniu pani Augusta.

— Dziękuję za wyraźne słowa!—zawołał zarumieniony Zygmunt—dotąd były te słowa miodem smarowane!

— Sam na nie zarobiłeś!

— Czyż ja winien, że ojciec nie zostawił mi fortuny? Czy mam dla tego codzień znosić upokorzenia, że nic nie mam, że tutaj niczem nie jestem?

— Tego przecież nikt ci nie wypomina, a jeżeli sam tem się dręczysz że nic nie masz — to przecież nie nasza w tem wina, ale twoja własna! Miałeś przecież przed sobą otwartą drogę—mogłeś korzystać z nauk i czemś zostać na świecie!

Krew uderzyła Zygmuntowi do głowy. Wyrzut matki był słuszny, ale w tej chwili nie widział w tem słuszności.

— Nie wszyscy ludzie potrzebują dyplomów uniwersyteckich, aby czemś być na świecie! odfuknął z szyderskim uśmiechem.

— Prawda! Często wystarcza namacalny dyplom pracy dokonanej. Rzemieślnik pracą rąk swoich nabywa dom w mieście, inny takąż samą pracą żywi rodzinę, trzeci jest przedsiębiorcą i t. d.

— A dla mnie nigdzie miejsca nie ma!

— Przeciwnie, miałeś miejsce niepoślednie. Otworzyłyśmy tobie serca nasze, dałyśmy tam tobie pierwsze miejsce... i jakże nam za to płacisz?

— Cóż winienem, że jestem niedołęgą, że ani rzemiosła ani spekulacyi żadnej nie umiem? A gospodarstwo jest jak na nieszczęście tak urządzone, że mnie wcale nie potrzebuje! Cóż bowiem znaczy to udawane krzątanie się koło

gospodarstwa, te rozmówki o siejbie rzepaku i buraków przy amerykańskiem cygarze, kiedy ekonom to wszystko lepiej rozumie od nas i sam lepiej zrobi!... To przecież nie jest robotą ani pracą!

— Prawdę mówisz, ale cóż my winne, że dla siebie stosownego zajęcia nie możesz znaleść? Gdybyś był się do czego aplikował...

— Chciałem służby publicznej.

— To chciałeś zawiele! Do służby publicznej nie aspiruje się próżniactwem! Być może, że są takie powiaty. gdzie tylko próżniaków wybierają, ale nasz powiat chce pierwej dowodu, że się umie dobrze na własnym zagonie racować, lub że się ma potrzebną naukę—aby komuś powierzyć urząd publiczny. Słyszałeś co ci powiedziano, gdyś się ubiegał o wybór do rady!

Zygmunt wyrwał sobie garść włosów. Karola przyłożyła chustkę do oczu i zaczęła płakać.

— Widzę,—odparł namiętnie, — że mi nic innego nie pozostaje jak tylko sobie w łeb wypalić! Jestem tu niepotrzebny!

Karola głośno załkała.—Ozwała się pani Augusta:

— Jeżeli rzeczywiście stworzyłeś sobie taką sytuacyę, z której innego wyjścia nie ma, to sam sobie winieneś. Słowa twoje dowodzą tylko, że to co ludzie mówią jest prawdą, bo tylko człowiek silną i dziką szarpany namiętnością może się tak wyrażać!

— Cóż ja winienem że ludzie mówią!

— Przedewszystkiem nie trzeba im dawać pozorów!

— Pozorów? Jakich pozorów?

— Bierzesz na siebie skórę niewinnego baranka!... patrz na Karolę! Czy nie widzisz na jej twarzy strasznego dla siebie wyroku?

— Wyroku?... Nic nie rozumiem!

— Jest w tobie dobry materyał na złoczyńcę, który sędziemu śledczemu odpowiadać musi. Umiesz sobie nada wszelkie pozory niewinności!

Zygmuntowi zdawało się, że mu głowa pęknie.

— Dla Boga! Cóżem za zbrodnię popełnił!

— Wszyscy ludzie mówią o tem — my dowiadujemy się najpóźniej! Teraz dopiero wyjaśnia się nam, dla czego to z takiemi pochwałami mówiłeś o pani Florentynie, dla czego ją tak gościnnie w domu moim przyjmowałeś, dla czego teraz jeszcze o niej mówisz i Karolę namawiasz, aby się hańbą okryła idąc w progi takiej kobiety!...

Zygmunt pobladł na twarzy, a potem zarumienił się jak pąs. Odetchnął głęboko całą piersią i zaśmiał się głośno i przykro.

— Ha, ha, ha! Teraz pojmuję do czego to wszystko dąży! Aby mi okazać, że ja tutaj mojej woli nie mam, że jej nigdy mieć nie mogę, że jestem niczem, że mi nic robić i nic mówić niewolno — starano się moje postępowanie względem pani Florentyny za nierozsądne wystawić, a gdy do tego nie było dowodów, oczerniono biedną kobietę i powiedziano, że ona hańbę domowi wyrządza..... a gdy i to mnie nie odstraszyło, wymyślono historyjkę, że między mną a piękną kobietą istnieje stosunek czuły!.... ha, ha, ha! Tego już zawiele! To już nawet nie jest zręczne!... Lepiej prosto powiedzieć: nic tu nie znaczysz, nie możesz mieć własnej woli, masz robić to co my każemy—a za to dostaniesz rano kawę z bułką, na obiad możesz grzecznie zjeść cztery potrawy, a na wieczór możesz wypić dwie szklanki herbaty nie biorąc za wiele cukru!... Nieprawda, że poza tem wszystkiem ten sens moralny siedzi?...

Pani Augusta była już w wysokim stopniu rozdrażniona.

— Czy sądzisz, że z nami taki łatwy będziesz miał

interes jak z panem Maryuszem, który kontentował się wekslem na tysiąc guldenów?

Zygmunt spojrzał na matkę z zadziwieniem. Po chwili odrzekł:

— Może być, że to źle zrobiłem—ale prosił mnie o tę wygodę!

Karola wybuchnęła teraz głośnym płaczem.

— Więc to prawda! załkała boleśnie.

— Wszystko prawda! — powtórzyła w rozdrażnieniu matka — czy i to prawda, że wtedy do późna w noc byłeś a pana Maryusza w interesie gospodarskim?

Zygmunt roześmiał się.

— Jak widzę, — odpowiedział — nawet tutaj danego słowa honoru dotrzymać mi niewolno, bo jestem ze wszystkich stron szpiegowany! Dałem słowo honoru, że tego przed czasem nie wyjawię, ale złośliwość ludzka zmusza mnie do tego! Otóż w owym dniu—nie byłem u Maryusza, ale byłem u pani Florentyny!

Karola dostała płaczu spazmowego.

— I oświadczyłem się jej w imieniu Maryusza! — dodał z pewnym tryumfem.

Pani Augusta roześmiała się.

— Za wiele szczerości z twojej strony! — odrzekła—żałujemy, że u nas takiej samej szczerości i ochoty do wiary nie zastajesz!

— Jakto? Czyż mógłby mnie kto podejrzywać?

— Zapytaj ludzi w całem sąsiedztwie.

Zygmunt zgrzytnął zębami.

— To istny spisek! Spisek na człowieka, który jest wszystkim solą w oku, że tu przyszedł bez niczego, i wziął w posiadanie ładny majątek, na który tyle rąk czychało!... To spisek piekielny, do którego nawet należą domowi, aby mi dowieść, że ja tutaj tylko słuchać powinienem, że tutaj

niewolno mi żadnych nowych rzeczy i znajomości wprowadzać, że jestem tylko... na łaskawym chlebie żony!...

— Od ciężkich zarzutów chcesz się wykręcić dawnem utyskiwaniem, że tutaj wszyscy cię prześladują!

— Czyż tak nie jest? Czy to nieroztropne posądzenie mnie, jakoby miał się sprzeniewierzać obowiązkom moim nie okazuje jasno, że tu tylko o to chodzi, aby to wszystko co mówię i robię, znieważyć i błotem zwalać? Czyż nie widać w tem jasnej tendencyi, aby na swojem postawić— a skoro raz klątwę na biedną kobietę rzucono, aby nawet kosztem tej kobiety iść dalej i jakieś niesłychane zbrodnie powymyślać, byle tylko dowieść, że ja zawsze niedorzeczności popełniam!... Wiem, gdzie jest źródło tego wszystkiego... jestem tu rzeczywiście jakby na łaskawym chlebie żony.... tego zmienić nie mogę, ale będę się starał o tyle tę smutną sytuacyę poprawić, że od dzisiejszego dnia we wszystkiem tylko moją własną wolę mieć będę!... Im dokuczliwiej mi jej odmawiać będą, tem więcej szorstką ona się objawi! Nie ulęknę się żadnych spisków ani służby domowej, która mi we wszystkiem dokucza, ani zacnego sąsiedztwa, które mi mego ubóstwa zapomnieć nie może!

Rzekłszy to wyszedł Zygmunt z pokoju, a obie kobiety zaczęły teraz dopiero swobodnie płakać, bo pani Augusta już oddawna przemocą łzy wstrzymywała.

Karola rzuciła się na szyję matki i zawołała:

— O jakżem ja nieszczęśliwa!...

XXII.

Niewiele dni upłynęło od tej sceny domowej, a jednak wszystkim wydały się te dni wiekami.

We dworze była teraz strasznie ciężka atmosfera. Niczego wprawdzie nie dowiedziono i nic nie wyjaśniono, ale podejrzenia straszne zostały jak czarne chmury wiszące na niebie, o których nie wiedzieć, czy spadną na ziemię deszczem ulewnym, czy zabójczemi piorunami.

Atmosfera ta drażniła Zygmunta jeszcze więcej. Jeszcze dotkliwiej dawało mu się uczuć jego anormalne położenie w majątku żony, w którym nie umiał żadnego wybitnego zająć stanowiska. Zdawało mu się, że dla tego wszyscy go prześladują, że wszyscy spiskują przeciw niemu, że nawet Karola, jakkolwiek okazuje mu zawsze miłość bez granic, ulega teraz temu dziwnemu wpływowi i z szyderstwem patrzy na niego, jak się patrzy na towar kupiony, na męża zapłaconego! Nawet jej pieszczoty bolały go teraz, bo w nich widział tylko prawo właściciela do nabytej własności!

Drażliwość jego przeszła już prawie w chorobę. Nikt mu w niczem nie dogodził, dla wszystkich był opryskliwy, często gniewał się za niewypełnione niby rozkazy, których nigdy nie dawał.

Słowem był to stan okropny. Zazdrościł teraz najlichszemu wyrobnikowi, który z ciężko zapracowanym groszem przychodzi wieczór do rodziny i chlebem ją obdziela!... On nie mógł nic zarobić, on nie miał własnego chleba on nie mógł swego chleba dać nikomu.

Tak stały rzeczy, gdy Zygmunt po długiem szamotaniu się, przyszedł wreszcie do tego przekonania, że trzeba się koniecznie czemś zająć, aby przynajmniej o dolegliwościach swoich nie myśleć.

W tym celu kazał sobie z księgarni przysłać pewną książkę naukową, którą chciał na polski język przełożyć. Nie miał w tem żadnego innego wyrachowania, jak tylko aby czas zabić.

Gdy książka nadeszła a Karola o tę książkę zapytała, powiedział jej co czynić zamyśla.

Gdy Karola to usłyszała, uśmiechnęła się z radości że mąż przecież czemś się rozerwie.

Życzyła mu powodzenia i pożegnała uściskiem.

Chorobliwy umysł Zygmunta widział w uśmiechu Karoli jakąś ironię, w jej uścisku coś szyderskiego.

Nic na to jednak nie powiedział, tylko nakazał służącemu, aby do niego po lada co nie przychodzić, aby miał spokój potrzebny do pracy.

Z wewnętrzną rozkoszą rozłożył książkę, dobrał sobie pióra i papieru i już zaczął nad przedmową autora przemyśliwać—gdy nagle w jadalnym pokoju, który do jego gabinetu przytykał, usłyszał olbrzymi koncert dziesięciu kanarków, które widocznie prześcigały się wzajemnie, który z nich głośniej zagwizdać potrafi.

Zygmuntowi mało wszystkie nerwy nie popękały. Zerwał się z krzesła i wybiegł do pokoju.

W pokoju jadalnym wisiało pięć klatek kanarków, które zazwyczaj były w pokojach pani Augusty.

Na widok Zygmunta zaśpiewały biedne jeńcy jeszcze krzykliwiej.

Zygmunt szarpnął za dzwonek.

Zjawił się pokojowiec.

— Kto te kanarki tutaj zawiesił!

— Nie wiem! zastraszony odpowiedział pokojowiec.

— Jak to nie wiesz—wszak przez kredens ktoś szedł z niemi!

— Prawda... ale ja sobie nie przypominam!

— Czy starsza pani tu była?

— A była starsza pani... była i młodsza pani, była i panna Agata...

Zygmunt trzasnął drzwiami i usiadł smutno na krześle.

— Nie! ja tutaj już nic nie poradzę – tu wszyscy mają mnie za nic! Chcą nawet wyraźnie ażebym się im ustąpił!...

W tej chwili ulubiony piesek pani Augusty rozpoczął śmiertelną walkę z Filusiem kotkiem Karoli. Walka odbywała się w salonie tuż obok gabinetu Zygmunta.

Zygmunt podskoczył jakby go kto upiekł rozpalonem żelazem. Wziął gruby cybuch do ręki i właśnie wybierał się do salonu, aby tam na czyją stronę interweniować, albo obu kombatantów trupem położyć — gdy na szczęście walczących zaturkotał wózek przed gankiem.

Do pokoju wszedł Maryusz.

Zygmunt powitał go chmurnem czołem.

— Wyglądasz strasznie,—zawołał wesoły towarzysz —jak Cassius przed zamordowaniem Cezara!

— Daj mi pokój!—odparł szorstko Zygmunt, prędzej podobny jestem do samobójcy!

— Cóż tam znowu nowego?

Zygmunt machnął ręką.

— Wynaleziono nowe rzeczy na mnie!

— Jakie?

— Powiadają, że mam romanse!

— Śmiej się z tego! To właśnie dobrze—jeżeli żona nie podejrzywa, to nie kocha!

— Dziękuję ci za taką miłość!... To nie podejrzliwość, to tylko wymysł, aby mnie przybić do ziemi, abym był potulny jak trusia i siedział cały boży dzień przy dwóch spódnicach! Oderwać mi się niewolno, niewolno mieć własnego zdania — niewolno nawet zapomnieć o mojej nędzy jak widzisz! Chciałem się zająć pracą—mam kajecik, atrament i pióro—a tu w mig przynoszą mi w sąsiedztwo dziesięć kanarków i szczują kota nieznośnym Amorkiem!...

Maryusz pokiwał głową.

— Sam sobie winieneś. Zaraz z początku nie było się dać. Trzeba było od razu okazać energię, zakneblować gęby kobietom i okazać, że się jest w domu panem! Teraz rzecz trudna—ale odwagi tracić nietrzeba. Można jeszcze naprawić co się popsuło—tylko postawić się ostro — ząb za ząb, oko za oko!

Zygmunt chodził szerokiemi krokami po pokoju.

— Inaczej zmarnujesz się, tak jak się wielu podobnych mężów na chlebie żony zmarnowało! Staniesz się papinkowatym, będą cię wszyscy potrącali jak manekina, śmiać się będą z ciebie, bo całemu powiatowi będziesz służył za materyał do różnych dowcipów!...

Zygmunt coraz szybciej chodził po pokoju.

— Abyś jednak choć na chwilę—mówił dalej Maryusz —o dolegliwościach swoich zapomniał, przynoszę ci wcale niezłą propozycyę.

Zygmunt stanął nagle.

— Jaką?—zapytał jak tonący człowiek.

— Pojedziesz dzisiaj..... albo pojedziecie oboje z Karolą do pani Florentyny. I tak należy się jej wizyta Karoli. Dzisiaj odbędą się tam nasze zaręczyny. Kilku gości przyjechało ze stolicy.

Zygmuntowi zabłysły oczy. Myśl była niezła, miał sposobność wyborną postawić znowu na swojem, okazać swoją wolę....

Ale po chwili namysłu zachwiał się. Spuścił głowę smutno i odrzekł:

— Mówisz słusznie—ale to rzecz prawie niepodobna. Wywołam w domu tak wielką burzę, jakiej jeszcze nie było! Lękam się tej ostateczności!

Maryusz uśmiechnął się nieznacznie.

— Takiem biernem zachowaniem się nic nie wywalczysz! Będziesz zawsze pochyłem drzewem!

— W każdym innym razie.... ale w tym.

— Zawsze się znajdzie jakaś wyjątkowość — będziesz ulegał ciągle, a groźną postawę będziesz odkładał z dnia na dzień. Jest to już znamie upadku!

— Musisz mieć to na względzie.

— Żadnych względów nie powinno być, gdy chodzi o dowód, kto tu właściwie jest panem!... Gdyby mi Florentyna podobny los gotowała.... sacré Dieu!...

Zygmunt zaczął znowu chodzić po pokoju.

Maryusz patrzał za nim i uśmiechał się z ironią.

Zygmunt zatrzymał się przed nim.

— Więc nic z tego nie będzie?—zapytał biorąc czapkę do ręki.

— Nic—odpowiedział Zygmunt—za wiele kosztowałoby to zmartwienia Karolę.

— Więc cię żegnam—bardzo mi to przykro!

— Nie odchodź przecież jeszcze!

— Czy masz dla mnie jaką nadzieję?

Zaledwie Maryusz napowrót na fotelu usiadł, a Zygmunt jak najlepszego cygara dla przyjaciela swego w biurku szukał—rozległ się za drzwiami, które z gabinetu do tak zwanej biblioteki prowadziły, jakiś głos dziwny, przejmujący.

Maryusz wstrząsł się, a Zygmunt stanął nieruchomy jak martwa statua.

Z poza drzwi wydobywał się coraz głośniej głos krzykliwy donośnego a niewiadomego jeszcze instrumentu.

Głos ten rósł coraz więcej, szedł do góry, spadał na dół, trząsł się jak listek na wietrze, to znowu płynął głośnym, równym potokiem!...

Był to znany klarynet Onufrego.

Po tej dziwnej awanturze swojej zrobił stary Onufry votum, że na intencyą odwrócenia nieszczęść od domu, będzie pościł dwa razy na tydzień, a znakomitszemu świętemu obiecał hejnał na klarynecie!

Otóż nadchodziło właśnie Narodzenie N. P. Maryi. Stary Onufry postanowił wywiązać się z swego ślubu, i Przenajświętszej Pannie odegrać ku wieczorowi hejnał na intencyę swoją sekretną.

Podobne hejnały wyprawiał dawniej często staruszek nabożny. Pani Augusta nie miała nic przeciw temu, bo wpływ nabożeństwa na służbę domową uważała za zbawienny. Często nawet zgromadzała się służba pod wodzą Onufrego przy figurach i szła z nabożeństwem i swemi głosami za klarynetem swego przewódzcy.

Dzisiaj stary Onufry nie chciał służby wtajemniczać w swoje sekretne intencye i postanowił sam odegrnć hejnał na cześć Najśw. Panny. Ponieważ zaś w tak zwanej bibliotece znajdował się obraz z wizerunkiem Maryi, dla którego Onufry miał szczególne nabożeństwo — hejnał więc dzisiej-

szy wypadł przed tym obrazem, zaraz za drzwiami Zygmunta.

Zrazu obaj nie wiedzieli, co się stało. Jeden patrzał na drugiego, ale żaden nie umiał na takie spojrzenia odpowiedzieć.

Klarynet widocznie silił się, aby wziąć tony jeszcze wyższe, jeszcze pisklíwsze. Niezawsze to się mu udawało, często wymknął się ton fałszywy, przerażający, a czasem zamiast tonów słychać było tylko dosadne sapanie!

Po chwili przyszedł Zygmunt do siebie. Zestawiając ten klarynet z kanarkami i walką psa z kotkiem, zrozumiał, co to znaczy.

Poczerwieniał cały na twarzy.

— Powiedz mi Zygmuncie — ozwał się z śmiechem Maryusz—któż to wyprawia ci taką serenadę?

Zygmunt przypomniał sobie, że stary Onufry grywał czasem na klarynecie pieśni nabożne. Zestawiwszy jednak dzisiejszy ten koncert z dawniejszemi i zważywszy to, że ten koncert odbywa się tuż pod jego drzwiami jakby umyślnie na jego umartwienie, przyszedł Zygmunt do tego przekonania, że spisek domowy zewsząd go ogarnął, że po prostu wykurzają go ztąd jak lisa z jamy!...

Zakąsił usta aż do krwi.

— To stary Onufry chwali w ten sposób Pana Boga! zagadnął po chwili do Maryusza.

— Ależ Pan Bóg tylko rozgniewać się może za takie tony fałszywe!

Zygmunt chodził ciągle po pokoju.

— I dziwna rzecz, że drzwi twoje wybrał sobie na oddanie chwały Bogu! Znać dobrą mają rezonancyę!

Zygmunt chodził po pokoju.

— Zostałbym dłużej u ciebie—ale tak niedogodne nabożeństwo starego Onufrego wypędza mnie!

I Maryusz podał rękę Zygmuntowi.

Zygmunt zatrzymał się nagle.

— Już odchodzisz? zapytał roztargniony.

— Odjeżdżam!

— Na mnie nie czekasz?

— Mówiłeś, że nie możesz pojechać!

— Nie mogę? Któż to powiedział, że nie mogę! Ja tego przecież nie powiedziałem!

— Powiedziałeś przed chwilą!

— Nie zrozumiałeś mnie dobrze. Pojadę, bo chcę pojechać!

— Czy sam?

Zygmunt namyślił się chwilę.

— Wszak mówiłeś, abym z Karolą pojechał!

— Mówiłem, bo takby się należało!

— Więc dobrze, pojedziemy oboje!

Maryusz uznał za stosowne nie być świadkiem sceny, która nastąpić miała.

— Pojadę naprzód i przywiozę Florentynie tę miłą wiadomość!—rzekł do Zygmunta.

— Więc do widzenia! — rzekł tenże podając mu rękę do uścisku.

Zaledwie wózek za żywym płotem zniknął, zadzwonił Zygmunt silnie na służącego.

— Niech młoda pani natychmiast się ubiera — rzekł głośno do służącego—pojedziesz ze mną!

Służący odszedł.

Zygmunt wziął frak na siebie.

Wpadła zadziwiona Karola.

— Gdzież pojedziemy?—zapytała trwożliwie.

— Przecież nie do piekła—odrzekł surowo Zygmunt —mężowi możesz zaufać..... być może że na spacer!

— Mogę pojechać jak jestem!

— Nie zawadzi wziąść coś lepszego. Może gdzie wstąpimy!

— Ale gdzie—bo od tego zawisło ubranie.

— Sam nie wiem gdzie — zależyć to będzie od namysłu w drodze i fantazyi!

Karola smutno spojrzała na męża.

— Czy się wahasz? Wszak przysięgałaś mężowi posłuszeństwo..... czy chcesz iść po radę do matki?

Jasne łzy zabłysły w oczach Karoli.

— Ty mnie tylko próbujesz, nieprawda?—rzekła z pieszczotą do niego, przytulając się do jego piersi.

— Być może,—chłodno odpowiedział Zygmunt.

— A widzisz żem odgadła, nieznośny tyranie!

— Może nie odgadłaś!

— Odgadłam! Odgadłam!—wesoło odpowiedziała Karola—i zaraz pospieszę rzucić się w świetną tualetę!... Ale może darujesz mi tę prośbę?

— Nie,—odparł surowo Zygmunt.

— Niedobry!—zawołała Karola i znikła.

Za pół godziny lekka amerykanka unosiła lotem ptaka młode małżeństwo drogą zwirową ku Podgórzu.

Na koźle obok pięknie ustrojonej Karoli siedział Zygmunt z jakimś dziwnym wyrazem na twarzy.

Było coś w nim prawdziwie szatańskiego, gdy rumaki zagrzewał do prędszego biegu..... a cała ta szalona jazda przypominała mimowoli ten wiersz z ballady:

„Umarli prędko jadą!“

XXIII.

Pałac z bijącą fontanną na froncie jaśniał dzisiaj rzęsi-

stem oświetleniem. Noc była ciemna i sprzyjała sztucznemu światłu, które w sposób czarodziejski rozlewało się na około.

Na gzemsach pałacu stały różnobarwne kagańce, a na krużgankach wieżyczki gotyckiej paliły się ognie w dużych wazonach, jakby czary ofiarne. Ogród był oświecony lampionami, a wytryskująca z fontanny woda rozbryzgiwała się w tem świetle w tysiące drogich kamieni.

Od czasu do czasu z po za klombu akacyi strzelała ku niebu ognista kula, a ukryta za dzikim winogradem muzyka witała każdy fajerwerk nową, wesołą melodyą.

Drzwi od salonu były otwarte. Wychodziły z nich i wchodziły jakieś postacie eteryczne z mgły i puchu utkane, za któremi snuł się orszak mężczyzn w czarnych frakach.....

Wnętrze pałacu gorzało ogniem. Tysiące świeczników rozlewało w koło morze światła!...

Służba w liberyi snuła się po pokojach i roznosiła na srebrnych tacach różne przysmaki.

Pani Florentyna obchodziła dzisiaj swoje zaręczyny.

Była ubrana nadzwyczaj wytwornie. Zwyczajem młodziutkich panienek nie miała na sobie żadnych jedwabi. Jakaś eteryczna, koronkowa tkanina, zaledwie przesłaniała jej cudowne kształty, włosy rozpuszczone *à l'imperatrice* spadały bujną falą na białe ramiona, oczy błyszczały ogniem najczystszych brylantów, na licach i ustach kwitły róże....

Na tę uroczystość zjechało się ze stolicy kraju kilkanaście gości, którzy temu zebraniu poufnemu niemało dodawali blasku.

Goście ci składali w zimie najściślejsze kółko pani Florentyny, gdy w stolicy bawiła. Bliższa zażyłość wiązała ich z gospodynią i bohaterką dzisiejszą.

Do pierwszego rzędu należała pani Alicya, silna brunetka z małym pieprzykiem nad okiem, z czarnemi jak węgiel oczyma. Pani Alicya była mężatką, ale z mężem nie mieszkała, z powodu, jak się później okazało, niedobranych charakterów. Mogła liczyć lat dwadzieścia kilka. Rozprawiała wiele o potrzebie reformy istniejących obyczajów, które kobiecie tak ciasne granice dają.

Po niej następowała prześliczna blondynka z uciętemi włosami, pani Sylwia, tego samego mniej więcej wieku co i Alicya. Nie chciała ona gwałtownych reform, nie rozprawiała o potrzebie szerszych granic i o zatraconych prawach kobiety — ale była nadzwyczaj sentymentalną, spuszczała co chwila oczy i ze łzami opowiadała, że z nią mąż mieszkać nie chce—poszedłszy za jakąś inną.

Nieszczęśliwa ofiara obojętności mężowskiej wyglądała bardzo ponętnie i za wyrządzoną jej krzywdę odbierała sowite wynagrodzenie. Patrzano na nią z wielką czułością, nadskakiwano jej, prowadzono ją pod rękę na przechadzkach przy świetle księżyca, a biedna, przez męża opuszczona, dziękowała ze łzami za tyle dobroci i uprzejmości.

Trzecią z kolei była szatynka dosyć dobrej tuszy. Kształciła się u różnych mistrzów zagranicznych na prymadonnę opery narodowej, miała wiele ofert od włoskich teatrów, ale nie chciała żadnej przyjąć, chociaż bardzo się podobała. Na wypadek, gdyby głos jej nie dopisał, brała także naukę w sztuce dramatycznej, a osobliwie z wielkiem zamiłowaniem studyowała role tak zwanego pół-świata, które w dzisiejszej komedyi francuzkiej na pierwszem miejscu stoją.

Czwarta, wątła, eteryczna panienka, mająca lat kilkanaście, przyjaciółka brunetki z pieprzykiem--wychowywała się na literatkę i sił swoich próbowała nawet w powieści, do czego, jak mniemała, nie potrzeba wiele umieć. Złośli-

wy jednak krytyk wytknął jej brak znajomości życia — co też uznając młoda literatka, zaprzyjaźniła się z dzisiejszą swoją opiekunką. Biedna jednak autorka tak mocno wierzy w złośliwość krytyki, że jest już przygotowaną na to, iż w najbliższym utworze zarzucą jej—zbyt wielką znajomość życia.

Były jeszcze dwie damy, dla określenia których brakło pewnych danych. Były dosyć młode, jedna szatynka, druga brunetka — miały wiele złota na sobie a szat za mało.

Męzkie towarzystwo było zupełnie dobrane.

Na pierwszym planie stał młodzieniec już niemłody, z kołnierzem *à l'enfant*, włosami zafryzowanemi na połowie głowy, rozdzielonemi *à la Jesu*. Miał rękawiczki lapisowe nieposzlakowanego koloru i koszulę suto haftowaną. Gdyby nie język francuzki, możnaby go wziąść za czeladnika od fryzyera. A był to przecież jeden z lwów nadpełtewskiej stolicy, który w czasie karnawału prowadzi tańce, ciągle mówi o hrabinach, chociaż sam jest synem biednego urzędnika—a hrabiów nazywa zawsze po chrzestnych imionach.

Drugi jego towarzysz, mdły blondyn, to bohater buduarów stołecznych. Gra wybornie w karty, nie ma żadnego majątku, jeździ zawsze remizą hotelową i ubrany jest podług ostatniego żurnalu.

Trzeci to znany najznakomitszy bilardzista z kawiarni wiedeńskiej. Był dawniej wojskowym, dziś nie ma stanowiska określonego, ale ma za to ładne wąsy i postać Apollina belwederskiego.

Czwarty jest wielkim malarzem — in spe. Ma już wiele planów do wielkich historycznych obrazów, ale brak mu czasu do wykonania, gdyż towarzystwa zanadto go rozrywają.

Piąty jest skończony poeta. Ma w manuskrypcie dwie powieści i trzy tragedye, ale nie uważa współczesnych za godnych słuchaczy — chowa więc na później, a tymczasem jak prawdziwy geniusz upija się po kawiarniach i szynkach i pisze zjadliwe krytyki na tych, co drukują.

Szósty to artysta pierwszej wody. Ma już długie włosy, brak mu tylko jeszcze laurów na tych włosach. Osobnego koncertu jeszcze nie dawał, a jeśli go da kiedy, to da dla wyborowej publiczności po 5 guldenów krzesło. Tymczasem patrzy z góry na wszystko, uśmiecha się z ironią i nic się nie uczy, bo „gorące dusze“ chłodzą się nauką.

Było jeszcze kilka innych figur, ale te tak łatwo nie dadzą się określić.

Gospodyni domu wierzyła, że zbiór takich gości nazywa się z francuzka—salonem.

To też widać dumę na jej twarzy, że potrafiła przez stosunki swoje zgromadzić tak znakomite towarzystwo, w którem wszystkie piękne i niepiękne sztuki należycie były reprezentowane.

Maryusz przechadzał się także rozpromieniony po salonie. Być może, że nie tak bardzo przyczyniało się towarzystwo do tego rozpromienienia, jak myśl że staje dzisiaj na wyższym szczeblu do przyszłego szczęścia swego, że ten pałac dzisiaj tak czarodziejski będzie wkrótce jego własnym domem!...

Już wieczór był nadszedł, już sztuczne ognie porozpalano, a państwa ze Złotej Wiszni jeszcze nie było.

Pani Florentyna wyglądała często na drogę, bo przyjazd Zygmunta z żoną miał w oczach dzisiejszych gości podnieść jej wartość w sąsiedztwie.

Tymczasem towarzystwo bawiło się bardzo swobodnie. Jedni śpiewali, inni politykowali, tu znowu zajmo

wano się ploteczkami, tam nicowano dobrą sławę bliźniego, słowem zabawa szła wybornie.

Po kilku kieliszkach szampana jeszcze swobodniej było w gościnnnych salonach gospodyni.

— Pani masz dzisiaj tak błyszczące oczy, że tylko raz pamiętam takie u pani... szepnął Florentynie do ucha lew karnawałowy.

Pani Florentyna uderzyła go zlekka wachlarzem po ramieniu i położyła przytem różowy paluszek na różowych usteczkach.

— Przecież pan Maryusz o całą wieczność od nas!— odrzekł na ten giest bohater kotylionu.

— Lubię pana tylko wtedy, gdy pan jesteś dowcipnym!—rzekła Florentyna z uśmiechem.

— W taki sposób pani nigdy nie możesz go lubić!— wpadł basowym głosem niezrozumiany poeta, podając Florentynie ramię do przechadzki.

— Pan zaś zachwycasz mnie tylko jako samotnik!— ozwała się do poety Florentyna i przed grożącą ręką na bok się usunęła.

— To w takim razie nigdy on pani nie zachwyci—oddał za nadobne bohater polkowy—bo jeżeli nie jest przy ładnej kawiarce z wiedeńskiej kawiarni, to pewnie przy nim jest Chaim, jego najserdeczniejszy wierzyciel.

Wszyscy zaśmiali się.

W tej chwili spienione rumaki przytoczyły amerykankę przed ganek.

Zygmunt i Karola przyjechali.

Gospodyni i Maryusz rzucili się na przywitanie tak upragnionych gości.

Zygmunt wyglądał dzisiaj jak istny Mefistofel. Miał usta ironicznie zakąszone, w oczach uśmiech złośliwy, na policzkach niezwykły rumieniec.

Karola była śmiertelnie blada.

Nastąpiły przywitania i przedstawienia.

Florentyna była w siódmem niebie....

Karola zachwiała się—spostrzegł Zygmunt—podał jej rękę i do fotelu przyprowadził.

Karola usiadła.

W tej chwili poza oknami pałacu ozwał się jakiś głos dziwny, a gdy wszyscy oczy na okna zwrócili, widzieli jakąś czarną postać, pomykającą szybko w gęstwinę ogrodu.

Za chwilę słychać było tentent konia pędzącego cwałem.

XXIV.

Już dobrze się zmierzchło, gdy pani Augusta, która była w ogrodzie na przechadzce, wróciła do dworu i o Karolę zapytała.

Dowiedziała się z niemałem zdziwieniem, że Karola z Zygmuntem pojechała.

Zrazu mniemała, że to jest tylko przejażdżka dla świeżego powietrza. Gdy jej jednak powiedziała panna Agata, że Karola się przebrała, i że prawdopodobnie gdzieś z wizytą pan Zygmunt pojechał, jakieś złe przeczucie ogarnęło duszę biednej matki.

Zaczęła zgadywać, gdzieby Zygmunt mógł pojechać. Wszystkie jednak zgadywania nie uspokoiły jej. Dziwiło ją przedewszystkiem, że Karola nic jej o tem nie powiedziała. Przewidywała, że tylko jakaś gwałtowna scena mogła ją zmusić do tak nagłego wyjazdu.

Cóżby to być mogło? Gdzie mogli pojechać? Przecież ze spaceru powinni już wrócić? Co się to stało? Czy dostał przystępu waryacyi?...

I biedna matka załamała ręce a zdrój gorzkich łez potoczył się po jej twarzy.

Zaczęła chodzić niespokojnie po pokoju, a ucho jej chwytało każdy szelest za oknami.

I jakże smutne obrazy stawały teraz koleją jej przed oczyma.

Zaledwie półtora roku minęło od czasu, jak w tym dworze odbywało się świetne wesele.

Jakże uroczo widziała wtedy szczęście córki.

Karola szła za mąż z czystej miłości — wybrała sobie męża według własnego serca, nawet mimowoli matki — matka na ten tak czysty i serdeczny związek zezwoliła, aby tylko córkę szczęśliwą widzieć!... Zygmunt tak kochał, tak ubóstwiał Karolę!... Jakże tu nie było wierzyć w ich szczęście zobopólne!...

Z tego pokoju wychodzili oboje do ślubu, wszyscy zazdrościli im szczęścia, wszyscy winszowali im z całego serca—i cóż się teraz z tego wszystkiego zostało?....

Pani Augusta zalała się łzami.

Przyłożyła ucho do samego okna—nic nie słychać—nic nie widać!...

Zawołała Onufrego, zawołała ekonoma, kazała się rozejść, kazała iść po za wieś, po za dwór, pytać ludzi, czy gdzie nie widzieli jadących.

I usiadła znowu i znowu czarne obrazy stawały przed nią i straszyły ją.

Minęła jedna godzina i druga—nie ma żadnego śladu.

Onufry zaproponował powszechną modlitwę. Przytem kiwał głową poważnie i ręką wskazywał na północ...

Pani Augusta odwróciła się od niego, zakryła twarz rękoma, aby jej łez nie widział.

I minęła jeszcze jedna godzina.....

Zdala dał się słyszeć tentent konia.

Pani Augusta przystąpiła do okna i chciwie słuchała tego zagadkowego głosu.

— Cóżby to być mogło? — mówiła sama do siebie— wszak to jeden jeździec tylko jedzie!... Miałożby stać się jakie nieszczęście?... Może jaki przypadek..... Może jeszcze gorzej od przypadku....

Tu ścisnęło się jej serce, myśl zlodowaciała.

Tentent samotnego jeźdzca zbliżał się coraz więcej..... coraz bliżej słychać był stuk kopyt o drogę zwirową....

Wreszcie w przezroczu bramy ukazał się czarny jeździec.....

Pani Augusta zamknęła oczy, bo zdawało się, że czarna postać gońca przynosi jej jakąś wieść straszną!.....

Za chwilę przyprowadził Onufry gońca do pokoju.

Pani Augusta spojrzała z trwogą....

Był to — złoty Wiktor.

Biedny młodzieniec miał na sobie frak czarny, ale tak był kurzem okryty, że trudno było poznać w jakim właściwie jest ubiorze.

Wiktor przywitał się należycie, przeprosił za ubiór zaniedbany i że rękawiczek nie miał czasu włożyć na ręce.

Z zapartym oddechem słuchała go pani Augusta.

— Zkąd pan przybywasz? — zapytała nagle przy pierwszej pauzie.

Wiktor nie odpowiedział odrazu na zapytanie.

Zaczął od tego, że jest bardzo nieszczęśliwy, że nawet ciocia jego sama to przyznała. Zakochał się bowiem w pani Florentynie i zdawało się nawet, że ona wzajemnie go kocha. Wyliczał różne dowody, które nietylko jego, ale nawet i ciocię Alinę w tej wierze utwierdzały.

Tymczasem pani Florentyna zbywała go tem i owem. Raz była dla niego serdeczna, wylana, jak najwierniejsza kochanka, obiecywała mu wiele rzeczy, byle tylko ciocię Alinę kiedy do niej przywiózł, a innym razem odpychała go

jak psa, była szorstka a nawet nieraz drzwi mu pokazywała.

Z takich jasnych i ciemnych chwil splątało się biedne życie złotego młodzieńca, którego aż trzy ciocie wychowywały, a któremu mimo to zabrakło hartu, aby to wszystko mógł znieść, co dla pani Florentyny musiał wycierpieć....

Do cierpień jego niemało przyłączała się także i zazdrość. Pani Florentyna miała szczególną passyę budzić w nim zazdrość. Bawiła się nim jak kot myszą. Gdy był w zimie w stolicy, to często spotykał u niej różnych mężczyzn, którzy go mocno martwili. A mężczyzni ci byli z panią Florentyną w stosunkach bardzo poufałych. Kiedy biedny Wiktor Florentynie tu wyrzucał, śmiała się z niego i mówiła mu, że to tylko pozory a nic więcej!...

Długo jeszcze mówił Wiktor o swoich cierpieniach, o których także i ciocie jego wiedziały, wreszcie przyszedł do tego, że dowiedział się o dzisiejszych zaręczynach z panem Maryuszem. To tak go zabolało, że postanowił tam pojechać i na środku salonu w łeb sobie strzelić.

Już był przy oknie, już widział takie rzeczy, na które pękał z zazdrości, już chciał sobie pistolet do czoła przyłożyć, gdy nagle ujrzał tam Zygmunta i Karolę.....

Pani Augusta o mało co z fotelu nie spadła.

— Zygmunt i Karola!—zawołała łamiąc ręce.

— Tak jest pani—ich widziałem! I przypomniałem sobie, żeby dobrze było, aby pani o tem powiedzieć—dla tego w łeb sobie nie strzeliłem!

— I cóż tam za towarzystwo? Co tam robią?

— Jedzą, piją, śpiewają i chodzą parami po ciemnych aleach. Jest ich kilkadziesiąt osób. Słyszałem nawet co do siebie mówili, ale tego proszę pani powtórzyć nie mogę, ale powiem to cioci Alinie! Od niej może się pani dowiedzieć! To szatan nie kobieta ta pani Florentyna! Mówię

pani, oczarowała mnie! Ciocia Alina znalazła dla mnie ładniejszą, bogatszą i młodszą, ale cóż z tego—ani rusz! Nie mogę jej kochać, a za tamtą przepadam, mówię pani przepadam!... Wiem, że ta kobieta nie zasłużyła na taką miłość jak moja, wiem, że nawet kogoś innego kocha, jak to się o tem przekonałem, a jednak upadłbym jeszcze dziś do jej nóg, gdyby tylko palcem kiwnęła!... Tak nieszczęśliwą jest moja miłość!....

— Cóż tam robi Karola?

— Nic nie robi, ale jest blada, bardzo blada, śmiertelnie blada.....

Pani Augusta szarpnęła za taśmę od dzwonka.

— Natychmiast zaprzęgać!—zawołała do służącego.

Służący odszedł w milczeniu.

— Przepraszam pana — rzekła do Wiktora — każ pan tu dać sobie herbaty—co pan chcesz—ja muszę odejść.

— Dziękuję za wszystko—odparł Wiktor—muszę jechać do domu, bo tam zostawiłem dla cioci Aliny list z pożegnaniem, że sobie w łeb strzelam. Trzeba się spieszyć, aby ciocia temu nie uwierzyła.

Za chwilę słychać było turkot powozu w jednej stronie, a w drugiej tentent konia.

XXV.

Wesołe towarzystwo bawiło się coraz swobodniej w jasno oświeconym pałacu. Już późną porą zjawili się nowi goście. Kilku oficerów kawaleryi z pobliskiej stacyi przybyło na zabawę. Zabawa ożywiła się jeszcze więcej, gdyż autorament wojskowy dodał jej nowych sił. Butelki szampana pękały jedna za drugą jak ogień rotowy.

Zygmunt był cały w gorączce. Twarz jego pałała, oczy paliły się, cała postać była dziwnie przemieniona.

W początkach umilkł jakoś i był niejaki czas zamyślony. Być może, że towarzystwo mu się nie podobało. Tu i owdzie słyszał rozmowę, na którą czoło jego zmarszczyło się. Była nawet chwila, że jakoś dziwnie patrzał wkoło siebie, a nawet na Karolę spojrzał takiem okiem, jakby ją chciał do odejścia zawezwać...

W tej jednak chwili zbliżył się Maryusz do niego z lokajem, który na srebrnej tacy niósł kieliszki szampana.

— Jeżeli mnie kochasz, wypij za moje zdrowie! — zawołał przyjaciel całując go.

Zygmunt odepchnął lekko przyjaciela i skrzywił się.

Przybiegła w pomoc Florentyna.

Zygmunt był już po kilku kieliszkach.

— Przecież za moje zdrowie pan wypijesz! — rzekła z czarującym uśmiechem.

Zygmunt zawachał się.

— Jakto nasz kochany sąsiad! —zawołał rotmistrz od dragonów, od którego niedawno konie kupił.

Trzeci, czwarty i piąty przyszedł do niego — zbliżyła się i brunetka z pieprzykiem — proszono, zaklinano, Zygmunt wpadał w coraz większą gorączkę, chwycił jeden kieliszek i wychylił!

— A teraz za moje zdrowie!—zawołała brunetka.

Zygmuntowi zaćmiło się w oczach. Machinalnie wziął drugi.... i trzeci i znowu wychylił.

Strumień gorącej lawy rozlał się teraz po jego żyłach, światła zapłonęły jaśniej przed jego oczyma, snujące się postacie eteryczne w dziwnych ugrupowaniach, wyglądały tak upajająco,—do tego mieszały się tony wesołej muzyki, śpiewki dowcipne, pełne lekkiego humoru, wszystko to odurzyło Zygmunta.

Odurzenie to było mu bardzo przyjemne. Zapomniaprzy niem o wszystkich cierpieniach swoich.

Rzucił się w prąd zabawy, bez myśli, bez przytomności.

Biedna tylko Karola nie mogła stracić swojej przytomności. Była blada i drżąca jakby febrę miała. Starano się ją zabawić, ale naprózno. Kobiety odstąpiły ją, bo wydała im się zasztywna, zanadto wiele miała dla nich pruderyi. Jakaś zimna atmosfera wiała od niej na ich rozgorączkowane nerwy.

Dla mężczyzn miała więcej ponęty. Otaczali ją koleją, próbowali różnego nastroju rozmowy, próbowali jak daleko można się odważyć w dowcipac aluzyach niezupełnie przesłonionych—i w końcu zwątpili.

Karola cierpiała tortury. Bladła i czerwieniała, i bła-

galnie patrzała na Zygmunta, kiedy ją wybawi od tych mąk piekielnych, ale Zygmunt wpadał w coraz większą gorączkę, wychylał kieliszki jeden po drugim, jakby go coś tam wewnątrz paliło.

Około północy dał się tymczasem wielki artysta ubłagać i siadł do fortepianu, aby przyszłej primadonnie towarzyszyć przy śpiewie.

Prymadonna chciała śpiewać z „Pięknej Heleny".

Artysta wziął kilka akordów a śpiewaczka zaczęła:

„Evoe! jak te boginie"!...

Podczas kiedy niektórzy tej głośnej kompozycyi z uniesieniem się przysłuchiwali, zabawiali się inni rozmową i przechadzką po cienistych aleach ogrodu.

Sentymentalna blondynka zbliżyła się do Zygmunta i zaprosiła go do przechadzki, Zygmunt podał jej rękę.

Mówiono wiele o prawach i cierpieniach kobiety.

— Przecież pan nie należysz do tych tyranów—rzekła w końcu—którzy kobiecie wszelkiej swobody społecznej odmawiają.

— Uchowaj Boże!—odparł Zygmunt—żaden rozsądny człowiek nie może im tego prawa odmówić.

— A przecież spotykamy się dzisiaj w tej wielkiej kwestyi z tak licznemi antagonistami.

— Ja pani to zaraz wytłumaczę. Kwestya emancypacyi czyli równouprawnienia, albo jak tam inaczej jeszcze mówią, jest kwestyą wielką i poważną. Kobieta, przy dzisiejszych stosunkach, ma prawo żądać od społeczeństwa przestronniejszego miejsca dla siebie, dla swojej pracy i nauki, o którą dzisiaj walczy. Ale zachodzi w tem pewne nieszczęście.

— Jakie nieszczęście?—zapytała blondynka.

Zygmunt zapomniał gdzie i z kim mówi.

— Nieszczęście to, że tę wielką i poważną kwestyę

chwytają najczęściej kobiety lekkie, chwytają ją ze strony bardzo trywialnej, wywieszają ją jako sztandar, rozprawiają o niej, walczą niby za nią, mówią wiele o ciasnych granicach obyczajów, po za któremi zaczyna się pozór złego, hociażby to była najczyściejsza cnota!... występują do walki przeciw tym odwiecznym nadużyciom pozorów, a to wszystko w gruncie rzeczy jest najczęściej tylko płaszczykiem dla wolnych praktyk życia wszelkiego rodzaju!...

Sentymentalna blondynka spojrzała z niedowierzaniem na Zygmunta.

— Jeszcze jest inna smutna strona tej kwestyi — mówił dalej Zygmunt — oto wojujące dzisiaj kobiety, zostawiwszy odłogiem cały obszar prac kobiecych, dotąd wcale przez nie niezajętych, przechodzą odrazu do uroszczeń takich zajęć, do których albo wcale nie są usposobione, albo którym sprzeciwia się sama istota kobiecej natury! Taka walka oczywiście rzuca cień na wojujących i każe słusznie podejrzywać ich istotne zamiary. To wyradza antagonizmy, które w gorącej walce naturalnie wychodzą po za granicę słuszności. Podczas, gdy jedna strona uderza na tak zwanych zatwardziałych zacofańców, druga utrzymuje, że w tej pozornej walce kobiecej nietyle chodzi o prawo prawdziwej nauki i pracy pożytecznej, jak tylko o zwolnienie obyczajów.

— To prawda—odpowiedziała sentymentalna kobieta — tak nas niesłusznie obwiniają mężczyzni niektórzy.... zapominając o tem, że i serce ma swoje prawa, że sercu nie może obyczaj tego i owego narzucić!...

Zygmunt chciał na to coś swojej pięknej towarzyszce odpowiedzieć, gdy nadchodząca pani Florentyna temu przeszkodziła.

— Dobrze, że pana spotykam, — ozwała się do Zy-

gmunta — rozstrzygniesz pan pewną kwestyę między mną a panem rotmistrzem.

Rotmistrz podkręcił wąsy.

— Pan rotmistrz, — mówiła dalej pani Florentyna, — utyskuje nademną, że idąc za mąż tracę swobodę moją, którą dotychczas się cieszyłam. Czy to ma być prawdą, jak pan uważasz?

— Część tej swobody składa się na ołtarzu ogniska domowego, — odparł z uśmiechem Zygmunt — a nawet żona moja może to poświadczyć.

— Nie mówisz pan szczerze — odparła z kaprysem Florentyna — albo dziękuję Bogu, że pan moim mężem nie jesteś. Maryusz inaczej swoje prawa i obowiązki pojmuje. Patrz pan jak wybornie bawi się z panią Aliną... patrz pan jak czule coś sobie do uszka szeptają... dalibóg, mogłabym być zazdrosną.... ale nie, tylko równe prawo i dla mnie. Pójdźmy panie rotmistrzu do najciemniejszej alei ogrodu, jeżeli to Maryusza od pięknej towarzyszki nie oderwie, to nie będzie nasza wina.... nieprawdaż? Wet za wet i wzajemna wyrozumiałość.

Wesoła gospodyni roześmiała się tutaj swoim srebrnym głosikiem i znikła w cienistej alei.

Nie tak wesoło mijał ten czas dla Karoli. Wprawdzie bohater kotylionowy stolicy starał się jaknajlepiej ją zabawić, ale dotąd nie widział skutków swojej pracy.

— Ja lubię nadzwyczaj kobiety lękliwe, mówił do niej podgarniając czupryne jak lew grzywę, bo kobiety takie są prawdziwym specyałem. Jeżeli mężczyzna może na twarzy kobiety grać jak na klawiszach, jeżeli wie na jakie słowo kobieta się rumieni, a kiedy oczy spuszcza lub udaje że czegoś nie słyszała lub nie zrozumiała, to jest to dla mnie prawdziwą rozkoszą! .. A pani — *parbleu* — należysz do tych kobiet.

— Jeżeli pan do nich mnie zaliczasz — odpowiedziała z powagą Karola — to mogę panu z doświadczenia powiedzieć, że nie ma dla takiej kobiety większej hańby, jak w ten sposób się rumienić i udawać, że się czegoś nie rozumie. Spodziewam się, że od takiej hańby pan mnię uwolnisz!

— Pani niewłaściwie używasz tutaj tego słowa: „hańba“....

— Przyznaję się — to słowo odnosi się w takim razi do drugiej strony. Postępowanie mężczyzny, który kobietę do rumienia się zmusza swoją nieoględną rozmową, jest prawdziwie haniebne....

— Muszę jeszcze pani powiedzieć, że bardzo lubię kobiety gniewające się.

— Czy gniew ich nie wzrusza pana?

— Spokojnie patrzę na pioruny i błyskawice, jak posąg ze śpiżu!

— W takim razie musiałbyś pan mieć — czoło miedziane!

— Za tyle odwagi należy się... nagroda!—rzekł bohater polkowy i sięgnął po różowy paluszek Karoli, chcąc go ucałować.

Karola w tył się cofnęła. Towarzysz jej chciał swego dokazać. Przychylił się do niej, sięgnął po rękę, sięgał za uchodzącą jeszcze dalej a ufryzowana głowa jego zbliżała się coraz więcej do bladej z gniewu i przestrachu Karoli.....

W tej chwili koło fontanny stało się jakieś zamieszanie.

Czarno ubrana kobieta z grubą woalką na twarzy zbliżała się krokiem odmierzonym....

Ujrzała właśnie Karolę....

Przyspieszyła kroku. Widać było w jej ruchach jakąś gorączkową namiętność.....

— Chodź do matki! — ozwała się głosem dziwnie brzmiącym.

Karola krzyknęła z radości i rzuciła się jej na szyję.

Kilka par przybiegło na tę scenę.

— Przyszłam po moją córkę — rzekła pani Augusta zmienionym od gniewu głosem — aby ją wziąść z miejsca gdzie być nie powinna.

Wszyscy zadziwieni spojrzeli po sobie.....

A podczas gdy pani Augusta z Karolą koło pałacu przechodziła, rozległ się z otwartego salonu okrzyk pijanej drużyny i brzęk kieliszków, a śród tego dzikiego okrzyku śpiewała dalej przyszła prymadonna:

„Evoe! jak te boginie“....

Była to w tej chwili istna parodya tryumfalnego marszu.

XXVI.

Wkrótce przyjechał Zygmunt do Złotej Wiszni.

Nie poszedł jednak ani do matki, ani do żony.

Zamknął się w swoim pokoju.

Długi czas chodził po pokoju.

W jego głowie paliły się dzikie, okropne myśli.

Scena jaką mu wyprawiła matka, zabiła go.

Czemże on teraz był po tej scenie?

Czyż taki fakt nie jest ostatecznym dowodem, że on właściwie jest niczem?...

Wybiła godzina jedna i druga....

Zygmunt chodził ciągle.... od czasu do czasu rzucał się na fotel i —płakał.

Po dłuższym takim płaczu siadł do biurka, wyjął papier listowy i zaczął pisać.

Łzy kapały mu na papier... pisał ciągle.

Wreszcie skończył i zapieczętował.

Potem zaczął się rozbierać.

Zdjął wszystko co miał na sobie.

Otworzył szafę i z samego spodu zaczął wybierać jakieś ubrania.

Były to jego rzeczy jeszcze kawalerskie. Nie były wcale modne a nawet sterane....

Ubrał się w nie, wziął starą czapkę na głowę, i stary parasol do ręki i miał już wyjść, gdy jeszcze coś sobie przypomniał.

Zapalił woskowy stoczek i cicho udał się do pokoju Karoli.

Po przebytych wzruszeniach tak gwałtownych, zasnęła Karola. Zygmunt oświecił jej twarz i chwilę w nią się wpatrywał.

Karola była teraz cudownie piekną. Na twarzy nie miała żadnych przykrych wrażeń, wszystkie ustąpiły przed złotym snem, który w tej chwili zarumienił jej twarz bladą i znękaną....

Zygmunt stał długo, a łzy padały mu po twarzy.

Potem ukląkł, ucałował koniec jej szaty nocnej i cicho wymknął się na palcach.

Wyszedł na dziedziniec.

Na dworze była noc jeszcze, ale biała smuga na krańcu widnokręgu wskazywała już nadchodzącą jutrzenkę.

Zygmunt obejrzał się w koło i łzy otarł z oczu. Potem puścił się powoli drogą, tą samą, którą ongi po raz pierwszy do tego dworu jechał.....

Przy bramie rzuciły się psy na niego... ale wkrótce poznawszy go umilkły. Zaczęły się nawet łasić i odprowadziły go do kopców granicznych.

Od kopców szedł już Zygmunt sam jeden, szedł w starej czapce i ze starym parasolem, jak biedny, żebrzący wędrowny......

Gdy dzień się zrobił, klęczała Karola koło łóżka matki i oblewała łzami jej ręce.

— To być nie może!—mówiła matka — tak nadal po-

zostać nie może! On cię nie kocha!... Trzeba pomyśleć o separacyi!

Karola wybuchła płaczem.

— Zlituj się matko,—zawołała—nie wymawiaj tego słowa, bo ja—kocham go nad życie!

— On nie wart ciebie!

— Kocham go, kocham nadewszystko!...

W tej chwili wszedł stary Onufry i ze łzami w oczach przyniósł list pisany wczoraj przez Zygmunta.

Pani Augusta szybko wzięła list do ręki.

— A co pan robi?—zapytała żywo.

Onufry wzniósł oczy do nieba, a łzy potoczyły mu się po twarzy. Machnął ręką i wyszedł z pokoju, aby czemprędzej zagrać hejnał, na cześć Matki Boskiej, od której tylko wyglądał teraz pomocy.

Tymczasem pani Augusta rozerwała pieczątkę i zaczęła czytać:

Karola klęczała oparta o łóżko jak statua z białego marmuru. Tylko jej oczy utkwione w twarz matki zdradzały gorączkowe życie.

List brzmiał:

„Najdroższa matko!

„Gdy przed dwoma laty twoją błogosławiącą rękę na mojej głowie uczułem, zdawało mi się, że nademnie nie ma szczęśliwszego człowieka. Kochałem całą duszą Karolę i widziałem jasno, że i ona równą miłością mnie kocha.

Ale między nami już z samego początku był nieprzyjaciel, którego nie widziałem.

Karola miała majątek—ja nic nie miałem!

Nie miałem żadnego tytułu do niezarobionego majątku, nie zdobyłem sobie pracą lub nauką żadnego społecznego stanowiska—poszedłem poprostu—na chleb żony.

Pracy na tym chlebie prawie żadnej nie było dla mnie.

Gospodarstwo było urządzone wzorowo, rządca i ekonom robili wszystko dobrze, jak ja bym nawet nie potrafił.

Takie niezarobione niczem przy żonie stanowisko zaczęło mi dokuczać. Zacząłem poznawać moją nicość, zacząłem gniewać się na siebie, że do niczego nie doprowadziłem tylko do bogatego ożenienia się, że mógłbym korzystając z nauk zostać pożytecznym człowiekiem, że mógłbym był pracą osobistą dobić się poważania współbraci, a tak byłem tylko na łaskawym chlebie żony!

Gdyby mniej szlachetności było w mojej duszy, byłbym może kontent z takiego chleba, do którego tylu młodzieńców u nas wzdycha i za nim po całym kraju uganiа Ale mnie nie mógł taki chleb smakować.

Wyrzuty sumienia, że sam niczego się własną pracą nie dorobiłem, zrodziły pewną chorobę w mojej duszy, która się stała dla mnie męczarnią....

Zacząłem wszystko i wszystkich podejrzywać, że mi moją nicość wyrzucają, że mnie temi wyrzutami prześladują, że się śmieją ze mnie, że mnie urągają....

Ta choroba wzrastała coraz więcej i przeszła w końcu w gorączkę trawiącą.

Po całych nocach bezsennych przemyśliwałem nad tem, jakimby sposobem zdobyć sobie niezależne stanowisko, ale wszystko było napróżno.

Zapragnąłem przynajmniej pozorów niezawisłości i wolnej woli. Chciałem sam w siebie wmówić, że przecież jestem tutaj panem, że mnie wszyscy za pana uważają....

W tej gorączce szedłem coraz dalej.... i robiłem rzeczy, którychbym może kiedyindziej nie był zrobił...

Po wczorajszej katastrofie przesiliła się moja gorączka widzę, żem źle robił i że osobom ukochanym wielką krzywdę wyrządziłem.....

Poznaję teraz, że w gorączce walki o stanowisko mo-

je, widziałem rzeczy w odmiennej barwie, a nawet w pewnych rozumowaniach moich mocno się myliłem.

A wszystko to ztąd pochodziło, że chciałem gwałtem zasłonić czemś moją nicość społeczną, a nie miałem czem.

Otóż dzisiaj przyszedłem do przekonania, że tej nicości niczem nie zasłonię.

Trzeba więc stanowczo jej się pozbyć.

Ale czem?

Oto tem, że podejmę napowrót to, com tak lekkomyślnie odrzucił.... pójdę pracować!

Najdroższa matko! Nie bierz tego za fantazyą przelotną, jest to prawda, do której doszedłem bardzo bolesnym kosztem życia!....

Wprawdzie droga mojej pracy już zwichniona, ale to bynajmniej mnie nie odstrasza.

Pójdę pisać do moich dawnych kolegów, pisać za kilkadziesiąt centów dziennie, będę mieszkał na poddaszu w ubogiej izdebce, powyciągam z pracy żyły, abym tylko mógł być—na własnym chlebie!

„Własny chleb" to dzisiaj moja gwiazda, która mnie do nowego życia prowadzi, a gdy tym własnym chlebem moim będę mógł z Karolą się podzielić, wtedy nie będzie nademnie szczęśliwszego człowieka na całym świecie!...

Wtedy znikną z pomiędzy nas wszelkie podejrzenia i nieporozumienia, bo światła oczu naszych nie będzie żadna fałszywa barwa zasłaniać.

Karmiąc żonę „własnym chlebem moim", będę rzeczywistym panem domu, bo chleb taki nietylko inaczej działa na ustrój nerwowy serca kobiecego, ale nawet i na mistyczne tkanki mózgu wpływa, i odmienną tworzy tam logikę—spraw małżeńskich.

Taki jest skutek, jak mniemam, chleba mężowskiego;

jaki zaś skutek wywiera „chleb żony“, tego w najłagodniej-szej może formie już doświadczyłem.

Zygmunt.“

Gdy pani Augusta ten list skończyła, krzyknęła Karola i załamała ręce.

— Nie płacz dziecię, rzekła matka z pewnem zadowoleniem—to jeszcze najlepsza rzecz jaka się stać mogła!... W słowach Zygmunta jest wiele prawdy—a pociechą dla nas jest to, że podejrzenia pewne zupełnie upadają.... Gorączka jego za jakiem stanowiskiem tłumaczy nam teraz wiele rzeczy, i odsłania bardzo szlachetny grunt w jego duszy.... Droga jest dobra, którą sobie obrał, a naszem zadaniem teraz będzie, aby tę drogę mu jakoś uprzyjemnić.....

Karola westchnęła głęboko a łzy polały się po je twarzy.

— Więc on mnie przecież kochał! — wyszepnęła zcicha, a jasne światło szczęścia przemknęło po jej twarzy.

Inną wcale była rada, jaką w tej chwili dawał Zygmuntowi krewny jego i dobroczyńca, który mu właśnie do bogatej żony dopomógł.

— Źle się pokierowałeś, mówił do niego w gniewie—gdy go ujrzał wchodzącego w wytartym surducie, miałeś dobry obrok w żłobie, a nie umiałeś go jeść!

— Obrok nie był mój, tylko żony—nie smakował mi! —odpowiedział Zygmunt z pewną dumą.

— Potrzeba było do spółki małżeńskiej dać to, coś miał, a to był przecież skarb nie mały! Radziłem ci!

— Nic nie miałem!

— Jakto? Masz herb Korybutów, a nawet z paliuszem książęcym, który łatwo na królewski zamienić można! Koronie hrabiowskiej byłoby na nim dobrze!

— W takie kapitały nie wierzę. Przeciwnie uważam to za dług, z którego uiścić się trzeba.

— A przecież niejedna jest szczęśliwa, jeżeli na jej karecie każe mąż taki specyał wymalować!...

— Matka i córka są za rozsądne na takie rzeczy!

— To dziwna! Tyle panien tak drogo płaci za to!..' Innej rady nie mam dla ciebie!

— Nie żądam żadnej. Proszę tylko o kilkogodzinny wypoczynek.....

— Przecież twój przyjaciel pan Maryusz... żeni się także tylko do majątku żony! Nic nie ma!

Zygmunt machnął ręką i odrzekł:

— Może być, że są ludzie, którym taki łaskawy chleb u żony smakuje, ale za to drogo muszą płacić!

— Widać, że to ich niewiele kosztuje, jeżeli płacą.

— Kto nic nie ma—tego nic nie kosztuje.

— Więc pan Maryusz nie ma żadnej fortuny?

— Nie odnosiłem tego do fizycznego majątku — ale myślałem o majątku serca i duszy.

Krewny Zygmunta skrzywił się.

— Obawiam się, odrzekł, że się poświęcisz teatrowi.

— Nie wujaszku, poświęcę się pracy, aby mieć—chleb własny.

Na tem skończyła się rozmowa i na tem także kończy się powieść o „chlebie żony".

* *

*

Zygmunt dotrzymał słowa. Poszedł do stolicy kraju i tam zaciągnął się do pracy.

Zrazu była to praca bardzo skromna. Zaledwie mógł na poddaszu mieszkać i skromny chleb pożywać. Ale był to juz własny jego chleb i smakował mu jakby na uczcie królewskiej.

Wprawdzie pani Augusta znalazła sposób omaślić mu ten chleb, czego nawet Zygmunt nie domyślił się.

Do tego sprawiła mu Karola małym, sekretnym liścikiem wielką radość. Zygmunt odczytał go w zachwyceniu kilka razy, potem spoważniał i długo chodził zamyślony po izdebce.

A gdy do niego dawny kolega a dziś generalny sekretarz banku krajowego przyszedł i o powód tak poważnych myśli zapytał, odpowiedział Zygmunt z uśmiechem szczęśliwego człowieka:

— Każda praca jest twardą — ale staje się słodką, gdy się pracuje dla żony i — dzieci.

Sekretarz wziął to za żart, bo liściku Karoli nie czytał.

Zygmunt mu także tej sprawy nie wyświecił, bo właśnie w tej chwili myślał o tem, jak to kiedyś będzie z dumą ojca rodziny obdzielał swoim chlebem wszystkich domowych i już nikt nie będzie mu zaprzeczał prawa woli i rozkazów!......

* *

*

Od czasu owego liściku Karoli prosi czasem Zygmunt swego pryncypała o urlop kilkodniowy, a łaskawy pryncypał chętnie mu go daje.

Zygmunt wtedy cieszy się jak student, który jedzie na ferye do domu rodzicielskiego.

W Złotej Wiszni także wtedy wielka radość, pani Augusta i Karola prześcigają się w pieszczotach, a stary Onufry w wilią przyjazdu „panicza“ gra zawsze hejnał na klarynecie.

W sąsiedztwie coraz lepiej mówią o nim. Słychać nawet, że wkrótce w mieście powiatowem ma Zygmunt zostać reprezentantem pewnego banku krajowego.

Wprawdzie mówią niektórzy, że to pani Augusta stara

się o to, ale Zygmunt o tem nic nie wie i jest mocno przekonany, że to czem będzie, zawdzięcza wyłącznie swojej pracy.

Będzie to zawsze jego „chleb własny“.

* *
*

A cóż Maryusz porabia „na chlebie żony“?

Powodzi mu się wybornie. Utył i poczerwieniał. Zajada w mieście najsmaczniejsze kąski, spija najlepsze wino, gra wysoko w karty, więcej mu nietrzeba.

Żonie jego powodzi się także dobrze. Jest dla niej wyrozumiały, sprowadza jej wesołe towarzystwo, w podróży nosi torby i pieska—i nigdy nie jest zazdrosny.

Florentyna powiada, że takie małżeństwo jest ideałem dla kobiety, jeżeli tylko „kupiony mąż“ należycie swoje stanowisko zrozumiał.

A Maryusz zrozumiał to.

„Na chlebie żony“ jest mu wygodnie, o więcej nie dba.

Brak wiary w obowiązki społeczne, brak dumy męzkiej i wstydu jest czasem także—szczęściem.

Kilku nawet młodzieńców z powiatu zazdroszczą mu takiego szczęścia.

Starsi tylko marszczą czoła.

KONIEC.